

ANTTI TUOMAINEN

**CZARNE
JAK MOJE SERCE**

FENOMENALNY KRYMINAŁ KRÓLA GATUNKU **HELSINKI NOIR**

O książce

Uznana za najlepszą fińską powieść kryminalną opublikowaną po 2000 r.

KIEDY SZUKANIE SPRAWIEDLIWOŚCI STAJE SIĘ OBSESJĄ...

Pewnego deszczowego dnia matka trzynastoletniego chłopca wychodzi z domu i nigdy nie wraca.

Po dwudziestu latach Aleksy wie, że została zabita. Wie nawet, kto jest mordercą. Zdaje sobie z tego sprawę, widząc w telewizji twarz znanego przemysłowca, Henrika Saarinen. Niestety policja nie podziela jego opinii. Chcąc zdobyć dowody, Aleksy zatrudnia się jako dozorca w wiejskiej posiadłości Saarinen.

Grzebanie w rodzinnych sekretach jest jednak niebezpieczną zabawą, a zemsta może drogo kosztować.

ANTTI TUOMAINEN

CZARNE JAK MOJE SERCE

Z fińskiego przełożyła
EDYTA JURKIEWICZ-ROHRBACHER



Wydanie elektroniczne

ANTTI TUOMAINEN
(ur. 1971 r. w Helsinkach)

Fiński pisarz, autor pięciu powieści kryminalnych, których tłumaczenia ukazały się w 27 krajach. Zanim poświęcił się karierze literackiej, pracował w agencjach reklamowych jako copywriter. Debiutował w 2006 r. Międzynarodowy rozgłos przyniosła mu wydana w 2011 r. powieść *Uzdrowiciel*, która zdobyła tytuł Najlepszej Fińskiej Powieści Kryminalnej i była nominowana do prestiżowej skandynawskiej Nagrody Szklanego Klucza.

Czarne jak moje serce jest właśnie filmowane przez fińskiego producenta Making Movies LTD.

www.anttituomainen.com

Tytuł oryginału:
SYNKKÄ NI IN KUIN SYDÄMENI

Copyright © Antti Tuomainen 2013
All rights reserved
Published by agreement with Salomonsson Agency

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c. 2016

Polish translation copyright © Edyta Jurkiewicz-Rohrbacher 2016

This work has been published
with the financial assistance of FILI – Finnish Literature Exchange



Redakcja: Monika Strzelczyk

Zdjęcie na okładce: © Nikki Smith/Arcangel Images

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Andrzej Kuryłowicz s.c.

ISBN 978-83-7985-301-4

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ S.C.
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [88em](#)

Spis treści

[Początek](#)
[Dwadzieścia lat później](#)
[Wrzesień 2013](#)
[Grudzień 1993 – czerwiec 2003](#)
[Wrzesień 2013](#)
[Sierpień 1993](#)
[Wrzesień 2013](#)
[Kwiecień 2003](#)
[Wrzesień 2013](#)
[Wrzesień 2013](#)
[Sierpień 2003](#)
[Wrzesień 2013](#)
[Kwiecień 2008](#)
[Wrzesień 2013](#)
[Sierpień 1993](#)
[Wrzesień 2013](#)
[Czerwiec 2013](#)
[Wrzesień 2013](#)
[Wrzesień 2013](#)
[Wrzesień 1993](#)
[Wrzesień 2013](#)
[Wrzesień 2013](#)
[Sierpień 1993](#)
[Wrzesień 2013](#)
[Wrzesień 2013](#)
[Wrzesień 2013](#)
[Wrzesień 1993](#)
[Wrzesień 2013](#)
[Wrzesień 2013](#)
[Październik 2013](#)
[Sierpień 1993](#)
[Październik 2013](#)
[Przełom października i listopada 2013](#)
[Przełom października i listopada 2013](#)
[Listopad 2013](#)
[Listopad 2013](#)
[Listopad 2013](#)
[Listopad 2013](#)

Mojej mamie

*Mojej zmarłej matce śpiewałem
rozumiała, o co chodzi mi.
Wycisnęła pocałunek na czole
i przyciągnęła do piersi:
„Kto wierzy w prawdę, kto w marzenie,
tak jak ty wierzysz w nie!
Prawda to bowiem jest wiara twa
Wierz, synu, w marzenia!”*

Eino Leino, *Hymyilevä Apollo* (Uśmiechnięty Apollo)

Początek

Poznała mężczyznę, a teraz usta zalewała jej krew. Te dwie sprawy jakoś się łączyły, a jednocześnie nie miały ze sobą związku.

Co takiego zrobiła źle?

Jej zdaniem – nic.

A jednak...

Wybito jej szczękę, dwa złamane palce lewej dłoni – mały i serdeczny – sprawiały, że nieomal wyła z bólu, a najgorsze było dopiero przed nią.

To niesamowite, jak szybko pędziły jej myśli, na co trafiały, co oglądały i pamiętały.

Przez ostatni rok jej życie całkowicie się zmieniło. No, może całkowicie to przesada. Całkowicie życie zmieniło się trzynaście lat temu, kiedy urodziła syna. Ale w ciągu ostatniego roku otworzyło się przed nią, jakby ktoś wygładził zmięty papier, jakby burza ucichła, a zza horyzontu wyszło schowane przez wiele lat słońce.

Słyszała, że nie trzeba się bać najgorszego: albo umrzesz od razu, albo wpadniesz w potworną panikę, doznasz szoku i nawet nie zauważysz, że umierasz. To oczywiście nie była prawda. Myślała jaśniej niż kiedykolwiek.

Widziała, jakie wszystko jest piękne, wszystko, co zostawało po drugiej stronie długiego, błyszczącego noża. Jej syn. Jej życie. W tej kolejności.

Myśli rzęsiście oświetlały wnętrze samochodu, ciasne, duszne pomieszczenie, w którym sztuczna zieleń deski rozdzielczej migotała, jakby to było wnętrze łodzi podwodnej, która zeszła kilometr pod powierzchnię wody. Myśli nie zabawiły długo w środku. Oświetlały także gnijące paździenikowe popołudnie, szarą, grubą zasłonę deszczu, która przypominała mgłę, tylko bardziej wodnistą i lodowato zimną. Myśli przeleciały przez trzydzieści dwa lata jej życia i teraz wiedziała, co miało znaczenie, a co nie.

Gdyby miała czas, może by się nawet zaśmiała. Gdyby miała czas, pomyślałaby – jako osoba pragmatyczna i optymistyczna – że mogłoby być gorzej. Mogłaby przeć przez życie, nie rozumiejąc jego piękna, nie widząc ludzi przed sobą i wokół siebie. Nawet teraz mogłaby być zajęta jakimiś drugorzędnymi sprawami.

Zamiast tego rękami broniła się przed nożem.

Długi nóż znów przekłuł jej skórę. Jej drobną, wąską dłoń. Szerokie, zimne ostrze. Rozpłatało rękę od kłykci do nadgarstka.

Znów wytłumaczyła sobie, że to przez to, że poznała mężczyznę, że się z nim spotykała.

Mówiła to sobie wiele razy. Prawda ją porażała. Poznała mężczyznę, odpychała ciosy rękami. Między tymi dwiema sprawami chyba nie mogło być już większej różnicy. A jednak ta pierwsza prowadziła do drugiej. Przypomniała sobie amerykański film, w którym stary policjant próbuje streścić młodszemu koledze sens życia. Każdemu może się przytrafić wszystko, powiedział.

Najwyraźniej.

A jednak.

Znów pomyślała o synu. Nagle było tyle spraw, o których koniecznie trzeba porozmawiać.

I natychmiast zaczęły się pchać na siebie, zadeptywać, popychać, tratować pod naporem nowych, silniejszych.

Jej syn. Przynajmniej on powinien wiedzieć...

Jak bardzo go kochała...

To wymagało poświęcenia.

Musiała sięgnąć ręką daleko. A to oznaczało, że jej klatka piersiowa i brzuch były narażone na ciosy miotanego wściekłego noża.

Pochyliła się do przodu, na ile pozwalał na to pas bezpieczeństwa. To chyba ironia losu, że nazwano to pasem bezpieczeństwa.

Złapała za coś, wbiła w to paznokcie. Drapała kark, zatapiała paznokcie tak głęboko, na ile starczyło jej sił. Była pewna, że końcami paznokci przebijała skórę, była pewna, że pod palcami wyczuwa krew i mięso.

Nic nie ma jednak za darmo. Odśloniła brzuch. Nóż trafił w klatkę piersiową.

Siły ją opuściły. Nie czuła już rąk. Po chwili dotarło do niej, że trzyma się za brzuch, i zobaczyła, że pod paznokciami, przynajmniej pod tymi, które się nie złamały, i tymi na złamanych wcześniej palcach, jest mnóstwo skóry i krwi, która ma inny kolor niż jej własna.

To było coś.

Miotanie nożem ustało.

Samochód się poruszał.

Uświadomiła sobie, że nie wstrzymuje oddechu. Ponieważ w ogóle nie była w stanie oddychać.

Chciała wydostać się z samochodu. Myślała – jasno i logicznie – że musi uciec, wymknąć się.

W tym samym momencie poczuła, że leci, unosi się w stronę ciepłego, przyjaznego słońca.

Jej życzenie się spełniało.

Leciała do syna.

DWADZIEŚCIA LAT PÓŹNIEJ

Wrzesień 2013

W innym miejscu, o innym czasie już bym się zdecydował.

Znałem swoje miejsce.

Jej błyszczące czarne włosy, ściągnięte w gruby węzeł, spływały na ramiona i okrywały plecy, krótka grzywka odsłaniała ostro zarysowane brwi. Na tle bladej, niemal białej skóry włosy przypominały krucze pióra rozsypane na czystej zaspie. Ta sama nieprzenikniona czerń osnuwała jej długie, spokojne rzęsy. Oprawione w nie szaroniebieskie oczy miały uporczywe spojrzenie.

Stanowiła mieszaninę spokoju, wyniosłości i czegoś, czego przynajmniej na razie, przy pierwszym spotkaniu, nie mogłem uchwycić. Żeby zgłębić ten temat, musiałbym przede wszystkim podnieść się z ciemnobrązowego skórzanego fotela i obejść owalny, orzechowy, antyczny stół. Następnie musiałbym usiąść obok drobnej kobiety na miękkiej jasnożółtej kanapie. Z wielu powodów nie zamierzałem tego robić.

Przede wszystkim przeszkadzało mi to, kim była moja towarzyszką. Nazywała się Amanda Saarinen. Właśnie odstawiła kieliszek wina na stolik. Na krawędzi szkła pozostał pasek ciemnoczerwonej szminki wielkości małego palca.

– Więc jesteś nowym dozorcą.

Trzy górne guziki przy jej bluzce z szerokim kołnierzem były rozpięte. Już wcześniej zauważyłem, że ta szczupła kobieta inwestowała w chirurgię plastyczną. Ostateczny rezultat przypominał pseudoantyczne meble, na których siedzieliśmy. Kompozycja kwiatowa na stole naśladowała rozciągający się na tapecie za plecami Amandy pomarańczowo-żółty wzór z kwiatów i herbów. Wyglądało to, jakby kobieta siedziała w obrazie.

– Nie wyglądasz mi na dozorcę – powiedziała, wyciągając do mnie rękę ponad stołem. – Zapomniałam się przedstawić. Amanda Saarinen.

– Aleksii Kivi. Nic się nie stało – odpowiedziałem, uściśnąłem jej dłoń i z powrotem usadowiłem się w fotelu. – Domyślałem się, że to ty jesteś Amandą. Pracuję tu dopiero od tygodnia. Może jeszcze upodobnię się do dozorczy.

Prawie się uśmiechnęła. Była ode mnie dwa lata młodsza, miała trzydzieści jeden lat. Znow sięgnęła po kieliszek. Było wpół do dwunastej, przed południem.

– Dozorcy to niskie, krępe ciamajdy koło pięćdziesiątki. Noszą bojówki, przy pasku dzwoni im tysiąc kluczy, multitoole i taka specjalna wodoodporna komórka. Za paznokciami mają żałobę. Nie słuchają, kiedy się do nich mówi, a ty, zdaje się, że mnie słuchasz. Myle się?

– Tak, słucham cię.

– I masz czyste paznokcie. To nie w stylu dozorczy. – Amanda upiła z kieliszka. – Naprawdę chcesz tu pracować?

– Tak.

– Dlaczego?

– Dla odmiany.

Spojrzała na mnie niebieskoszarymi oczami.

– Z całą pewnością. Jakiej odmiany?

– No, na przykład remontów mieszkań. Z zawodu jestem stolarzem, dziesięć lat doświadczenia.

Głównie remonty mieszkań. Coś, na czym można się w spokoju skupić i porządnie wykonać.

To ostatnie było prawdą. Może nie całą, ale prawie.

– Też chciałabym znaleźć coś, co miałabym ochotę robić.

– Myślę, że i na to przyjdzie pora.

– A ja mam wrażenie, że ten czas już minął.

Nic nie odpowiedziałem.

– A co poza tym? – zapytała Amanda – Oprócz bycia stolarzem?

– Nic specjalnego. Półtora roku prowadziłem antykwariat w centrum Helsinek. Ale interes się nie kręcił. Sprzedawałem książki za tanio, bo chciałem, żeby ludzie je czytali.

– Ciekawe – skomentowała Amanda, ale nie zabrzmiało to nawet odrobinę szczerze. Popiła wino.

Na dnie kieliszka kręciła się już tylko mała perełka. – Co ci mówiono o tym miejscu?

– Jest ważne dla rodziny, przyjeżdżacie tu raczej w celach rekreacyjnych, niż żeby pomieszkać.

– Chyba można to tak określić. Nie mówiono ci, że tak naprawdę mieszka tu trzydziestoletnia kobieta, która nie ma już żadnych przyjaciół?

Spojrzałem na nią.

– Trudno mi w to uwierzyć.

– Trudno ci uwierzyć, że ktoś tu się ukrywa, czy że nie ma w ogóle przyjaciół?

– Jedno i drugie, ale przecież to nie moja sprawa.

– Raczej nie – przyznała cicho Amanda.

Siedzieliśmy naprzeciwko dwuskrzydłowych przeszklonych drzwi. Biel framug jeszcze lśniła po ostatnim malowaniu. Za oknami panował jasny, bezchmurny dzień, jak to na początku września. W rześmistym świetle liście dębu i klonu mieniły się na żółto, złoto i ciemnoczerwono. Za drzewami rozciągało się aż po horyzont migoczące morze. Nad tym wszystkim wisiało ciemnokobaltowe niebo. Trudno było sobie wyobrazić, że za tym jasnym i czystym bezmiarem kryje się ciemny i zimny kosmos. A jednak tam był. Na pewno.

Amanda najwyraźniej zapomniała o mojej obecności. Jej wzrok zatonął w podwórzu lub morzu. Znów przypomniała mi się Miia. Pomyślałem, ile dobrego w moim życiu zdarzyło się dzięki niej i jak musiałem to wszystko porzucić, żeby dostać się tutaj i zrobić to, co miałem do zrobienia.

Rozejrzałem się. Ten pokój nazywano salą. Dobra nazwa dla pomieszczenia o powierzchni, na oko, siedemdziesięciu metrów kwadratowych, największego we dworze. Przygaszona żółta tapeta kończyła się na wysokości pasa, dół ścian wyłożono szarą boazerią. Z sufitu zwisały dwa identyczne kryształowe żyrandole. W ciągu pierwszego tygodnia mojej bytności nie zapalono ich ani razu.

Właściwie nie przebywałem tutaj. Miałem własny mały pokój z kuchnią na końcu budynku gospodarczego.

– Poznałeś go już? – spytała nagle Amanda.

– Kogo?

– Ojca, oczywiście.

Oczywiście.

– Nie.

Oczy Amandy rozbłysły.

– A Markusa?

– Chodzi ci o Markusa...

– Tak, o Markusa Harmalę, kierowcę taty.

– Nie. Skąd miałby się tu wziąć, skoro sam Henrik jeszcze tu nie był?

Nic nie wskazywało na to, żeby Amanda zamierzała odpowiedzieć na moje pytanie. Patrzyła mi prosto w oczy.

– Przez ile rozmów kwalifikacyjnych musiałeś przejść? – spytała.
– Przez trzy.
– Wliczając w to te śmieszne testy psychologiczne?
– Wcale nie były takie śmieszne. I jeżeli je doliczyć, to cztery.
– Tata chce mieć chyba stuprocentową pewność – powiedziała Amanda bez przekonania. Wzięła do ręki pusty kieliszek, przyjrzała mu się, po czym podniosła wzrok.
– Co robiłeś, kiedy cię tutaj wezwałam?
– Zamierzałem zejść na dół, żeby sprawdzić zużycie wody i takie tam, ostatnio zainstalowano nowy...
– Ach tak. Powinieneś wracać do pracy. Oczywiście. Ja i tak muszę jechać. Samochód zostawiłam przed wejściem, prawda?
– Tak – odparłem. – Jeżeli ten czarny range rover należy do ciebie. Stoi przed drzwiami.
Amanda czytała mi w myślach.
– Jeden kieliszek wina – powiedziała z uśmiechem. – Mogę prowadzić.
Nie zamierzałem się z nią spierać. Wstała i włożyła płaszcz, ja też sięgnąłem po kurtkę. Odprowadziłem ją do wyjścia. Wiatr rozwiewał włosy i chłodził rozgrzane ciało. Amanda szła pewnym krokiem. Gdzieś nieopodal śpiewał ostatni tego roku kos. Dotarliśmy do auta.
– Chciałam cię poznać – oznajmiła. – Mnie nie jest wszystko jedno, kto zajmuje się utrzymaniem dworu. Z wielu powodów.
– Rozumiem.
Dzielił nas mniej niż metr. Z bliska oczy Amandy wydawały się błyszczące i twarde. Wiatr owiewał jej twarz czarną falą. Przy sprzyjających podmuchach czułem w powietrzu zapach alkoholu.
– Do zobaczenia – rzuciła, wślizgując się do samochodu.
Koła terenówki zostawiły w żwirze ciemnobrązowe ślady. Range rover zniknął w alejce wysadzonej brzoza, a ja odetchnąłem rześkim wrześnieowym powietrzem. Dosłownie odetchnąłem z ulgą.
Nie to miejsce, nie ten czas.
Może kiedy indziej.
W każdym razie nie teraz.



Policja zadzwoniła do drzwi, kiedy siedząc przed telewizorem, właśnie skończyłem jeść batonik muesli. Odbiornik był włączony, chociaż nic nie oglądałem.

Dwaj mężczyźni przedstawili się, powiedzieli, że są z dochodzeniówki, i zapytali, czy mogą wejść do środka. Nic nie odpowiedziałem, miałem trzynaście lat i usta zapchane zimnym mlekiem i płatkami.

Policjanci nie czekali, aż przełknę jedzenie. Weszli do środka i skierowali się do salonu. Poprosili, żebym usiadł. Byli w garniturach z wąskimi, wyraźnie poluzowanymi krawatami. Przyglądali mi się z nosami spuszczonej na kwintę. Pod oczami mieli niebieskofioletowe, zapuchnięte, ciężkie wory. Po chwili milczenia zapytali, czy mam jakichś krewnych, do których można by zadzwonić, żeby przyszli.

Mama, powiedziałem.

Ktoś inny, odparł policjant. Miał żółte zęby.

Pokręciłem głową.

Tata? – zapytał drugi. Miał najwyższe i najbardziej błyszczące czoło, jakie kiedykolwiek widziałem.

Pokręciłem głową.

Ciocia? Wujek? Babcia? Dziadek?

Wciąż kręciłem głową. Byliśmy z mamą we dwojkę. Niczego nam nie brakowało.

Zadzwońię do opieki społecznej, powiedział żółtozęby do tego z wysokim czołem, wstał i wyszedł do kuchni.

Siedzieliśmy z tym z wysokim czołem w ciszy. Żółtozęby mamrotał za ścianą. Wstał i skinął na towarzysza. Ten odchrząknął, chociaż nic mu nie przeszkadzało w gardle.

Twoja mama zniknęła, powiedział.

Wcale nie, odpowiedziałem.

W ustach poczułem ostry kwaśny smak i nieprzyjemnie ciepłe mleko.

Pójdiesz z nami. Musimy porozmawiać.

Na komendzie usiadła obok mnie kobieta w niebieskim szaliku na szyi. Oprócz tego jednego szczegółu była biała od stóp do głów. Jej włosy, twarz i ubranie prezentowały różne odcienie bieli. Od czasu do czasu kładła mi rękę na ramieniu. Czuję się dziwnie. Ta ręka nie należała do mamy.

Policjanci spytali, czy mogą kontynuować przesłuchanie. Kobieta zapytała mnie, czy jestem zmęczony.

Nie byłem. Chciałam odzyskać mamę.

Wszystkie pytania dotyczyły jej.

Jakie było ostatnio jej życie?

Czy mama się z kimś spotykała?

Czy mama miała chłopaka?

Czy ktoś przypadkiem nie groził mamie?

Czy widziałem jakichś mężczyzn kręcących się wokół mamy?

Czy ich znałem?

Czy mama była szczęśliwa? Normalna? Wesoła? Smutna?

W co mama ubrała się rano? Co mama powiedziała przed wyjściem do pracy? W jaki sposób powiedziała to, co powiedziała? Czy mama kiedykolwiek mówiła o ludziach, z którymi się spotykała? A jeżeli tak, to czy zapamiętałem kogoś szczególnie?

I tak dalej.

Mijały tygodnie. Policjanci się zmieniali, pytania nie.

Mijały miesiące i chociaż pytania pozostały te same, to coraz rzadziej je zadawano. A potem pytania całkiem ustały.

Miałem trzynaście lat.

Wiedziałem, że policja nigdy nie ustali, co się stało z mamą.

Nadal to wiedziałem.

Majątek Kalmela położony był dziewięćdziesiąt kilometrów na zachód od Helsinek, w miejscu, które już w 1850 roku miało swoją renomę. Cały teren liczył dwieście szesnaście hektarów, z czego połowę stanowiły tereny uprawne. Drugą połowę zajmowały lasy, część zagospodarowana. Brzeg morza należący do posesji ciągnął się na kilometr, ale tylko dziesięć procent, może sto dwadzieścia metrów na wschodnim skraju, było zaorane. Na zachód od długiego pomostu rozciągały się setki metrów kamienistego, krzewiastego terenu. W przynajmniej dwóch miejscach przecinały go niemal pionowe ściany czerwono-szarych skał.

Dwór zbudowano tam, gdzie ziemia wynosiła teren na okrągły wzgórek. Na jego szczycie pysznił się żółty budynek, który przypominał zarówno rozmiarem, jak i kolorem słońce królujące nad światem w bezchmurny dzień. Do pozostałych zabudowań zaliczały się budynek gospodarczy z garażami, domek dla gości, hangar na łodzi i sauna nad brzegiem morza.

Tereny uprawne wydzierżawiono lokalnym rolnikom. We wrześniu pola wyglądały pusto i cierniście. W zależności od przejrzystości powietrza i położenia słońca robiły się żółtozłote, brązowe lub szare jak filc. Wiosną miały tu znów wzejść żyto, owies, buraki cukrowe i ziemniaki.

Ogromny las należący do posesji nawet jesienią był ciemny i gęsty.

Główny budynek dworu odnowiono na początku tego tysiąclecia. W kolorystyce przewodziła przygaszona jasna żółć, którą ładnie podkreślały białe ramy okien i grube jak worki treningowe kolumny okalające wejście. Odnowiony piętrowy dom składał się z ośmiu pokoi i ogromnej kuchni. Na parterze znajdowały się wspólne pomieszczenia, w centrum przestronna, jasna sala, w której przyjmowano gości, również mnie. Za nią urządzono jadalnię, a dalej kryła się kuchnia. To pomieszczenie wraz ze spiżarnią zajmowało sporą część parteru.

Na dole znajdowała się także biblioteka wyposażona w dwa przepiękne angielskie skórzane fotele, barek i ciągnące się wzdłuż dwu ścian pokoju ciemne witryny. Za szkłem ustawiono mnóstwo książek, przeważnie starych.

Wszystkie sypialnie urządzono na piętrze. Największa powstała z połączenia trzech dawnych pokojików. Do niej należała także zbudowana z podobnym rozmachem łazienka. Hol na środku piętra, z dwuskrzydłowymi drzwiami na balkon, przypominał salę na parterze, chociaż nie dorównywał jej gabarytom.

Z balkonu rozpościerał się widok na morze. Widać było także wypielegnowany, gładki trawnik: równe rzędy jałowców, stare, pocięte klony o czerwonych i żółtych liściach. Po prawej stronie stał hangar na łódzie. Obok niego, przy pomoście, cumował piętnastometrowy biały jacht. Na lewo od przystani zbudowano z brązowych desek saunę z tarasem, a przy niej pomost kąpielowy dla amatorów szybkiego schłodzenia się.

Z balkonu można było zaobserwować i inne rzeczy. Brak sąsiadów. Jedynym kompanem był tutaj wiatr. Gdziekolwiek się ruszyć, targał włosy, szumiał w lesie i pozostawiał słony, ostry zapach morza w każdym miejscu, nawet w budynkach. Kiedy się uspokajał, a nawet cichł, zapadała cudowna cisza.

Mieszkała tu tylko dwójka stałych pracowników: kucharka Enni Salkola i ja. Najwyraźniej istniało między nami jakieś porozumienie, koleżeństwo. Było to chyba instynktowne; niewypowiedziana świadomość, że jesteśmy tu oboje w pracy – w przeciwieństwie do innych, którzy tu mieszkają, goszczą; podział na nich i nas stawiał mnie i Enni w jednym szeregu.

Drugiego wieczoru, kiedy po całym dniu pracy na dworze na chłodnym wietrze szedłem o zmierzchu przez podwórko do swojego mieszkania, Enni krzyknęła do mnie, żebym przyszedł do kuchni na kolację. Długie kromki żytniego chleba posmarowane masłem, na nich marynowana sieja, pierwszorzędny ementaler i cierpkie jabłka z przydomowego ogródka. Byłem głodny. Rozmawialiśmy chwilę o pracy i drugie tyle o pogodzie, ale głównie jedliśmy. Cisza nas nie krępowała. Kiedy skończyłem, spojrzałem na Enni, a ona uśmiechnęła się i zapytała tylko, czy chcę dokładkę. Chciałem.

Stałem na balkonie i patrzyłem na morze. Rozciągało się przede mną niebieskie i płaskie, miało się wrażenie, że można po nim chodzić. Nagie ramiona smagał wrześnieowy wiatr. Sprawdziłem, czy naprawione przeze mnie deski w podłodze nie trzeszczą, skrzypią bądź uginają się pod stopami. Słabe miejsca wzmocniłem klinami lub spiłowałem i wyszlifowałem, żeby podłoga była równa. Dawało mi to satysfakcję. Nie oczekiwałem, że ktoś spędzi jesienny weekend we dworze, ale cieszył mnie ten mały sukces.

Wchodząc do środka, zamknąłem drzwi balkonowe, wziąłem skrzynkę z narzędziami do prawej ręki i zszedłem po schodach. Ruszyłem przez podwórko do schowka, odłożyłem tam narzędzia, a potem przeszedłem na drugą stronę budynku, gdzie mieszkałem.

Osobne schody prowadziły do mojego mieszkania na piętrze. Drzwi były otwarte. Nie widziałem powodu, by je zamykać. Miałem mało rzeczy i jeżeli w ogóle przedstawiały dla kogoś wartość, to tylko dla mnie. Przy drzwiach zostawiłem ciężkie obuwie robocze, zrobiłem sobie mocną kawę i dwie kanapki. Na dwóch kromkach żytniego chleba rozsmarowałem pasztet upieczony przez Enni.

Usiadłem przy oknie i patrzyłem, jak słabe, szare popołudniowe światło zwiłokrotnia się w ustawionym przeze mnie na parapecie wazonie o chropowatej powierzchni.

Grudzień 1993 – czerwiec 2003

Wcześniej w ogóle tego nie zauważyłem.

Czułem na plecach spojrzenie pracownicy socjalnej, kiedy szedłem przez ciche mieszkanie w stronę okna w salonie.

Mieszkanie moje i mamy wystawiano na sprzedaż. Tłumaczono mi kilkakrotnie i na wiele sposobów, że nie mogę mieszkać tutaj sam. Powiedziano mi, że mam tylko trzynaście lat i potrzebuję wokół siebie troskliwych dorosłych. Nie sprzeciwiałem się. Byłem innego zdania, ale rozumiałem, że opór nie ma sensu. Wszystko, co działo się po zniknięciu mamy, było ostateczne i nieuniknione. Zupełnie jakby ciężka, mocna dłoń pociągnęła granicę między przeszłością i teraźniejszością, a jeden mały chłopiec nie mógł nic poradzić przeciw tej sile.

Pracownica socjalna poszła do kuchni. Wziąłem do ręki wazon, poczułem, jak kiedyś mama trzymała go w rękach. Może dostała go od swojej mamy, o której nie wiedziałem nic, tak jak o wielu innych rzeczach. A może mama znalazła go gdzieś i przyniosła do domu. W każdym razie dotykały go kiedyś ręce mamy. Poszedłem do swojego pokoju po koszulkę i zawinałem w nią wazon.

Zapytałem pracownicę socjalną, czy mógłbym jedną noc przenocować w domu.

Nie, to niemożliwe.

Przez chwilę patrzyłem jej w oczy. Widziałem, że jest jej przykro. Wszystkim było. Ale to nie wróciło mamy ani nie tłumaczyło, co się z nią stało.

Poszedłem do swojego pokoju. Było to najmniejsze pomieszczenie w tym mieszkaniu, mój własny pokój. Przypominałem sobie, jak mama powiedziała, że mam teraz coś, czego ona nigdy nie miała. Widziałem, że w jej oczach pojawiły się łzy. Czasem tak się zdarzało. Zwłaszcza kiedy opowiadała o swoim życiu, zanim się urodziłem. Powiedziała, że czuje się szczęśliwa, że może mi to dać. Myślałem wtedy, że mówi tylko o pokoju.

Otworzyłem szuflady kupionego z drugiej ręki, odrapanego biurka. Pełno w nim było różnych przedmiotów. Zabawki, rysunki, klasery, ołówki, gumki, gazety, rzeczy znalezione i przyniesione do domu. Ciężka ręka dotarła tutaj przede mną. Uświadomiłem sobie, że nie jestem już tym samym chłopcem, który rysował obrazki, czytał gazety i grał w gry. Byłem kimś innym. Poprzedni ja poszedł tam, gdzie moja mama.

W pokoju mamy usiadłem na skraju łóżka. W pomieszczeniu pachniało mamą, a każdy przedmiot wyglądał, jakby za chwilę miała go wziąć do ręki. Rzeczy były już w ruchu: zeskakiwały ze stołu, zsuwały się z wieszaków, podnosiły z podłogi. Nie wiedziałem, co robić. Myśl, że rzeczy mamy miały gdzieś zniknąć, była jak drugie zaginięcie. Jednocześnie zrozumiałem, że nie mogę tego wszystkiego ze sobą zabrać. Nawet małej części.

Rozejrzałem się.

Do ozdobnego zwieńczenia czarnej ramy lustra przyczepiono dwie białe wstążki szerokości palca. Pamiętałem, jak mama przyczepiała je do metalowych zawijasów, pamiętałem, że z obydwoma kokardami łączyła się historia. Pierwszą, tę powieszoną wyżej i bardziej zaplątaną, zawiązała mama. Łatwo ją rozpoznałem. Pętle były wesołe i mocne. Kiedy patrzyłem na nią, przypominały mi się ręce i palce mamy podczas pracy.

Udało mi się ściągnąć kokardę z lustra, nie rozwiązując jej. Drugą tasiemkę przypięto wcześniej, według relacji mamy, do czekoladowego tortu. Był to bardzo szczególny wypiek domowej roboty, który w ważnej chwili podarował mamie na imieniny ważny człowiek. Czyniło to tasiemkę wyjątkową. Zawsze uważałem, że ta druga nie pasuje do pierwszej, chociaż była z tego samego materiału, a węzeł miał wiele pętelek. Jednak był o wiele grubszy, a pętelek przynajmniej cztery. Oglądając go z bliska, miałem wrażenie, że nie wiązano wcale kokardy. Węzeł był mocno zaciśnięty i pod palcami robił wrażenie twardego jak kamień. Była w nim czyjaś inna ręka. Wyciągnąłem wstążkę z ozdobnych zawijasów, zacisnąłem dłoń i z obiema kokardami w garści podszedłem do okna. Wrzuciłem je do wazonu i wziąłem go pod pachę.

Zapytałem pracownicę socjalną, co się stanie z rzeczami mamy.

Na pewno trafią w dobre miejsce, odpowiedziała.

Skoro to miejsce jest dobre, czy ja też tam mogę pójść?

Starła się ze wszystkich sił uśmiechnąć, ale nie wyszło jej to szczerze

Nie do końca to miałam na myśli, sprostowała.

Nic odezwałem się już ani słowem. Wiedziałem, że *nie to miała na myśli*. Wycofała się z progu do pokoju.

Mamy nie było w tych rzeczach. Nie byłaby zła, gdybym nie wziął ich ze sobą dużo. Miałem trzynaście lat, ale wiedziałem, o co chodzi.

Protestowałem przeciwko mówieniu o zniknięciu mamy. Nikt nie wraca żywy po latach zaginięcia. To się nie zdarza. Moją mamę zamordowano.

Akurat wyszedłem z wojska, wynająłem kawalerkę o powierzchni siedemnastu metrów kwadratowych w podrzędnej dzielnicy w centrum miasta i zacząłem pracę jako pomocnik stolarza. Lubiłem tę pracę i lubiłem szefa, który nazywał się Kauko Ranne. Był ode mnie o głowę niższy, pracował od świtu do późna wieczór i bardzo mnie wspierał.

– Moje zadanie skończy się, kiedy będziesz znał się na tej robocie lepiej ode mnie – powiedział. – Nikt nie chce być pomocnikiem, każdy chce być szefem.

Braliśmy podwykonawstwa i samodzielnie remontowaliśmy mieszkania. Ranne wymagał wiele i dobrze płacił.

Pewnego upalnego, leniwego letniego wieczoru włączyłem telewizor. Przed chwilą splukałem pod prysznicem kurz placu budowy, zjadłem zupę i przesiadłem się na kanapę, żeby wypić kawę.

W programie publicystycznym mówiono o najgorszej fazie kryzysu, od której minęło niemal równo dziesięć lat. Wspominano tych, których zatopiła fala kryzysu, i przeprowadzano wywiady z tymi, którzy przetrwali zły czas. Jednym z nich był biznesmen Henrik Saarinen.

Poły marynarki redaktora powiewały na silnym wietrze, a krótkie, cienkie włosy sterczały każdy w inną stronę, kiedy dziennikarz stał plecami do wejścia do siedziby firmy Saarinen na Południowej Esplanadzie w samym sercu Helsinek. Dziennikarz wyliczał udziały inwestora: jedna piąta spółek z branży medialnej, prawie pięć procent w gigantach produktów spożywczych oraz różne pakiety akcji w dziesięciu średniej wielkości fińskich spółkach.

Kamera przeniosła się do wnętrza budynku, wywiad z Saarinenem odbywał się w przyjemnej sali konferencyjnej, która przypominała raczej wykwinny salon sprzed stu lat niż współczesne pomieszczenie biurowe. Na ścianach za plecami Saarineny wisały fińskie dzieła sztuki. Jedno przedstawiało kobiety powracające do domu z prac polowych o zachodzie słońca, kiedy światło na horyzoncie pulsuje czerwienią i fioletem. W poszarpanych ubraniach, z umorusanymi, szczupłymi twarzami wydawały się przegrane i do cna wyczerpane. Henrik Saarinen oparł prawy łokieć na masywnym oparciu skórzanej kanapy i uśmiechnął się.

Jak to się dzieje, że niektórzy wyglądają jednocześnie przyjaźnie i absolutnie okrutnie?

Należałoby o to zapytać inwestora Henrika Saarineny. Miał prawie sześćdziesiąt lat i sprawiał

wrażenie, jakby czuł się świetnie właśnie w tym wieku i rozmiarze. Był to ogromny mężczyzna, pod każdym względem. Niebieskoszary garnitur i biała koszula pękały na nim w szwach, choć na pewno uszyte były na miarę; złotawożółty krawat pobłyskiwał. Włosy Saarineny były ciemne, przyprószone siwizną, wypielęgnowane w sposób świadczący o sporym majątku i władzy. Lekko napuchnięta twarz była albo opalona, albo też z natury nieco smagła. Okrągłe okulary ocieplały spojrzenie zimnoniebieskich oczu, zgodnie z zamierzeniem. Za każdym razem, kiedy dziennikarz o coś pytał, spojrzenie Saarineny sygnalizowało pogardę. Ale ponieważ udzielał odpowiedzi uprzejmych, błyskotliwych i wyczerpujących, robił wrażenie mężczyzny, którego źle oceniano, a który tak naprawdę chciał dobrze, czynił dobrze i, w dodatku, bezinteresownie.

Charyzma Saarineny działała na redaktora. Chociaż wywiad rozpoczął się kontrowersyjnie, już przy czwartym pytaniu zamienił się w spotkanie z fanami. Saarinen przedstawił swoją wersję kryzysu, opowiedział, jaki to odniósł sukces i jakie, jego zdaniem, wspaniałe z punktu widzenia całej fińskiej gospodarki decyzje podjął, wierząc w siebie i często w wymaginowaną niewidzialną rękę.

Nie mogłem nie słyszeć o Henriku Saarinenie. Wszyscy go znali. Szczególnie moja mama. Pracowała w firmie, której był właścicielem.

Czułem, że oglądam coś więcej niż tylko wywiad. Najpierw zwróciłem uwagę na dłonie. Jedna leżała na oparciu, a druga dyskretnie podkreślała słowa i zachęcała do zrozumienia i uwierzenia. W tych rękach coś było. Podobnie jak w ustach, na które patrzyłem, nie zwracając uwagi na mowę. A kiedy nie wsłuchiwałem się w poszczególne słowa, głos brzmiał tak, jakby ktoś mówił obok mnie z głową zwróconą w moją stronę.

Odstawiłem kubek z kawą na parkiet przy kanapie, pochyliłem się i przyjrzałem twarzy Henrika Saarineny. Wypełniała cały ekran mojego dwudziestojednocalowego telewizora. Starłem się zrozumieć, czego wcześniej nie zarejestrowałem w liniach kości policzkowych i dyskretnie zamaskowanych, kiedyś usuwanych, workach pod oczami. Co takiego było w rysach twarzy Saarineny, w ruchach małych, wąskich ust, że poczułem, jakbym wszedł do ciemnego pokoju, przez który musiałem przejść, by znów ujrzeć światło dzienne.

Kamera oddaliła się i ponownie zobaczyłem jego dłonie. Lewą, która na przemian spoczywała na kolanie, a potem wlatywała w powietrze, tłumacząc niejednoznaczności i zachęcając do słuchania. Palce unosiły się jeden po drugim, kiedy Saarinen wyliczał swoje przedsięwzięcia. Niemal czułem na włosach, czubku głowy i ramionach dotyk grubych paluchów wcale niepasujących do czystej papierkowej roboty.

Właściwa część wywiadu dobiegła końca.

Dziennikarz znów opowiadał o Henriku Saarinenie, jednocześnie na ekranie ukazała się cała postać biznesmena. Chodził i rozmawiał z kimś w tym samym, udekorowanym cennym obrazem gabinecie. Jak na postawnego sześćdziesięciolatka poruszał się lekko i sprężysto. Nie żaden tam słoń w składzie porcelany. Najwyraźniej nie miał kłopotów z kolanami czy biodrami ani nawet typowego dla tego wieku usztywnienia stawów.

A kiedy odwrócił się – akurat wtedy dziennikarz wieńczył swój raport wyliczeniem hobby Saarineny: kolekcjoner sztuki, kulinaria, łowiectwo – znów wszedłem do wyobrazonego wcześniej ciemnego pokoju. Ruch Saarineny nie był ani gwałtowny, ani szybki, ani w żaden inny sposób nadzwyczajny. Był charakterystyczny. Tak charakterystyczny, że w ciemności nie widziałem niczego poza tym człowiekiem i jego pokrytą ciemnoszarymi włosami, opaloną głową. Głowa mówiła. Głos dobiegał z bliska, obok mnie, a jednak nie słyszałem, co mówi.

Zgasiłem telewizor, usiadłem i pospiesznie wymaszerowałem z powstałego w moim umyśle ciemnego pokoju w słoneczny letni wieczór.

Zrozumiałem, że coś się wydarzyło. Doświadczyłem czegoś jedyne w swoim rodzaju. Pokazano mi coś, o czym już wcześniej wiedziałem albo wiedzieć powinienem.

Wrzesień 2013

Zamknąłem drzwi i zatrzymałem się na ganku. Na dachu dworu siedziały w bezruchu dwie napuszone wrony. Na tle szarego nieba przypominały czarne kartonowe wycinanki, które ludzie kupowali kiedyś w wesołych miasteczkach i wieszali na ścianach, żeby pokazać innym to, co ci już i tak wiedzieli: jak wygląda profil tego, co przedstawia wycinanka. Jesień brała krajobraz w chłodne ramiona. Słuchałem, jak wiatr łopocze porywiście w wysokich świerkach i otaczających dziedzińiec brzozech. Powietrze było rześkie, czuło się w nim lekko żywiczny, słodki zapach.

Wciąż miałem wrażenie, że wkroczyłem w inną epokę, inny świat. Nigdy nie mieszkałem poza Helsinkami, za to dzielnice miasta zmieniałem jak rękawiczki. Dzieciństwo spędziłem z mamą w Pihlajamäki, po jej zniknięciu wylądowałem u rodzin zastępczych w Hermanni, Lassila, Malmi i wreszcie u Reijo i Sinikki w Laajasalo. Byli starszym małżeństwem, ich dzieci już dawno się wyprowadziły, a oni chcieli jeszcze pomóc komuś, kto miał w życiu mniej szczęścia. Było to miejsce, które nauczyłem się nazywać domem. Głównie z powodu Reijo i Sinikki. Kiedy umarli rok po roku – ona na raka, on z tęsknoty – cztery i trzy lata temu, poczułem, że po raz drugi straciłem rodzinę.

Po ukończeniu liceum i odbyciu służby wojskowej przeprowadziłem się do Sörnäinen. Początkowo próbowałem studiować, ale ponieważ nic mnie tak naprawdę nie zainteresowało, rozpocząłem naukę zawodu u stolarza. Z centrum przeniósłem się na zachodni brzeg do Meilahti, potem do Alppila, a później były jeszcze dwa adresy. Spod drugiego dotarłem tutaj. Kiedy po raz ostatni zamykałem drzwi do mojej kawalerki na Inkoonkatu, postanowiłem, że teraz na swój sposób kończy się pewien etap mojego życia.

Opuszczenie Helsinek nie oznaczało czystego, jasnego rozstania z gniazdem, jak to kiedyś zaplanowałem. Miłość sprawia, że wyjazdy są nie tylko trudne, ale też burzliwe. Wciąż miałem w głowie Miię i nasze ostatnie spotkanie, rozstanie.

Jak mogłem to rozegrać lepiej, jak mogłem to rozegrać, by złamać tylko własne serce?

Na twarzy Mii pojawiały się na przemian zmieszanie i wściekłość.

– Nie rozumiem – powiedziała.

– Mnie samemu trudno to pojąć...

– Nie to miałam na myśli, ty zadufana w sobie, egocentryczna zakuta pała. Doskonale wiem, co robisz. Zostawiasz mnie. To jest jasne. Chodzi mi o to, że nie rozumiem, dlaczego najpierw dajesz mi do zrozumienia, że jestem najważniejsza w twoim życiu.

– Bo to prawda – odparłem. – Jesteś najważniejszym czło...

– Zamknij się – rzuciła cicho. Jej głos brzmiał głucho, jakby dobiegał zza szyby. Słońce prażyło, jak to w lecie, złocąc się jak masło wysoko nad miastem. Z jej mieszkania widziałem przez okno grupki pijaczków w parku, spacerowiczów z psami i urlopowiczów. Ludzie mieli chyba sporo czasu. – Zamknij się, Aleksis.

Kobieta siedząca przy stole była tak piękna, że od samego patrzenia pękało mi serce. Miia Niemelä, nauczycielka w szkole podstawowej, sto pięćdziesiąt dziewięć centymetrów wzrostu, dość szerokie biodra, okrągła twarz, śmiejące się, wygadane usta.

Nie modelka ani miss piękności, ale pełna uroku osobistego, a w moich oczach najpiękniejsza kobieta w mieście. Była najlepszym, co przytrafiło mi się w ciągu ostatnich dwudziestu lat. Ale miałem

przeszłość i miałem przyszłość, a obie były równie trudne do wyjaśnienia.

Po prostu nie potrafiłem opowiedzieć, jak się czułem, tracąc jako trzynastolatek matkę. Nie potrafiłem wyjaśnić, jak czułem się z tym od dwudziestu lat, jakie to rodziło we mnie myśli i jaki miało na wszystko wpływ. I nie mogłem powiedzieć, co zamierzałem w tej sprawie zrobić. Nie mogłem zdradzić, że zgłosiłem się do pracy w majątku Kalmela, nie mogłem opowiedzieć o Henriku Saarinenie. A może po prostu nie umiałem.

– A może ty masz taki styl? – spytała Miia. Brązowe oczy błyszcząły, nagie, delikatne, opalone ramiona wznosiły się po obu stronach ciemnoczerwonego topu. – Opowiadasz kobietom, że są dla ciebie ważne, choć to nieprawda. Nie mogę uwierzyć, jaka byłąm naiwna. Przecież nie takie rzeczy już widziałam i słyszałam, mam trzydzieści dwa lata, багаż doświadczeń na karku. No, po prostu nie wierzę, nie wiem, jak to możliwe, że ci zaufałam.

Tyle że ja naprawdę myślałem to, co mówiłem. Że Miia jest najlepszym, co mi się przytrafiło, że jest pierwszą, która sprawiła, że uwierzyłem w siebie, uwierzyłem w kogoś innego, uwierzyłem, że życie z kobietą to nie tylko walka, kombinacja seksu i próby sił, że mam szansę na coś lepszego.

– Byłem szczery – wybąkałem, ponieważ nic innego nie przychodziło mi do głowy.

– Szczery? – spytała, patrząc na mnie. – Co ty wiesz o szczerości?

Całkiem sporo, pomyślałem. Przynajmniej tyle, że największa szczerość nie zawsze sprowadza się do zdradzania najciemniejszych myśli.

– Miia...

– Daj spokój. Widziałam w tobie innego mężczyznę. Innego człowieka. To wszystko.

Chciałem jej powiedzieć, że to, co widziała, to prawda. Że jestem właśnie takim mężczyzną. Między innymi.

Miia mieszkała w kawalerce: wysoki, jasny pokój i mikroskopijna łazienka. Miała mało mebli, ale wszystkie dobrze przemyślane, ładne. Ciemnobrązowa rustykalna komoda pchała się na mnie, podczas gdy ja zastanawiałem się, gdzie podziać nogi. Ponieważ nic lepszego nie wymyśliłem, oparłem się o ścianę. Równie trudno było mi znaleźć właściwe słowa. Jeszcze nigdy nie byłem w takiej sytuacji. Jednocześnie kochać i odchodzić? Mama była jedynym człowiekiem, którego kiedykolwiek kochałem, i mi ją odebrano. Od tamtej pory tylko pragnąłem, nienawidziłem, walczyłem – i zostawiałem. Nie umiałem inaczej.

– Powiedz mi, o co tu chodzi. Pozwól mi nie znosić i nienawidzić tak, żebym wiedziała, czego nie znoszę i nienawidzę. Powiedz, że masz inną, że zauważyłeś, że wolisz mężczyzn, że jesteś tajnym agentem, cokolwiek.

– To nie to. Nie mam innej, ani nic w tym stylu.

– Jak długo się spotykamy?

– Sześć miesięcy i jedenaście dni – powiedziałem.

Miia patrzyła na mnie, jej oczy były pełne szukającej celu wściekłości, tak wielkiej, że przelewała się na kąciki oczu i zbrązowiały w promieniach słońca policzki, których zapach i dotyk kochałem.

– Dlaczego tak mówisz? – spytała cicho.

– To znaczy?

– Z dokładnością co do dnia, wymieniasz, ile się spotykamy, a jednak się ze mną rozstajesz. Czy do ciebie nie dociera, że brzmisz jak wariat i sprawiasz, że ja też się tak czuję?

– Przepraszam.

– I jeszcze przepraszasz. Przepraszam, Miio, że jesteś najlepsza na świecie, ale muszę odejść. O Boże.

Na zewnątrz dzień po prostu błyszczał, niebo było niebieskie aż po horyzont i równe niczym okładka książki. Młodzieńcy polegiwali w parku bez koszulek. Myśl o chłodzącym plecym trawniku kusiała mnie, a jednocześnie była mi całkowicie obca.

– Dlaczego musisz? – zapytała nagle Miia i otarła kąciki oczu wierzchem dłoni.

Zobaczyłem łzę, która uwięzła na policzku. Siedziała tam, jakby sama miała zmartwienie. Miia zaskoczyła mnie tym pytaniem. Czyżbym powiedział coś, co ją do tego skłoniło.

– No, właściwie...

Nie mogłem jej wytłumaczyć, że muszę, ponieważ za dwa tygodnie przeprowadzam się do Kalmela; że muszę, ponieważ zamierzam wyjaśnić, co Henrik Saarinen zrobił mojej mamie; że muszę, bo inaczej nigdy nie przestanę o tym myśleć.

– Dlaczego musisz?

– No, po prostu muszę.

– Skoro to nie z powodu innej kobiety ani nie dlatego, że jesteś jakimś zwariowanym dziwakiem czy szpiegiem, to musi mieć to jakiś związek z tobą samym. A ja myślałam, że już cię znam. Ale teraz dociera do mnie, że dopiero teraz, dzisiaj, poznałam, jaki jesteś naprawdę. Czy ty rozumiesz, co do ciebie mówię?

Oczywiście, że rozumiałem. Systematycznie omijałem, unikałem i wykręcałem się od wszystkich tematów dotyczących mojej przeszłości, a w szczególności moich związków rodzinnych. Czyli mamy. Oficjalna wersja, którą obwieściłem także Mii, brzmiała: mama nie żyje. To była prawda. Także to, co powiedziałem o moim ojcu, było prawdą – nie wiedziałem o nim właściwie nic.

– I ty rzeczywiście nie kłamiesz – powiedziała Miia.

Właśnie to w niej kochałem. Widziała, jaki jestem naprawdę, kim jestem.

– Miia... – odezwałem się.

Nie patrzyła na mnie.

– Idź.

I to wszystko: ostatnie słowo, jakie do mnie powiedziała.

Zszedłem po schodach i udałem się do sauny. Miałem do dyspozycji quada, ale rzadko z niego korzystałem. Jeżeli nie miałem nic ciężkiego, na przykład skrzynki z narzędziami czy materiałów budowlanych, wolałem chodzić. Zawsze tak robiłem. Chodzenie ma same dobre strony. Nigdy nie przychodzi się przez przypadek za wcześnie. Myśli rozjaśniają się, sprawy nabierają właściwych rozmiarów. Z ciała znika zmęczenie, z umysłu ślepe zaułki. Krok po kroku dociera się do celu, zarówno fizycznie, jak i psychicznie.

Wąska piaszczysta ścieżka omijała główny budynek i biegła w dół wzdłuż lewej krawędzi trawnika na dziedzińcu. Potem już prostą linią opadała na brzeg morza. Tam skręcała w lewo, jakieś dwadzieścia kroków dalej kończyła się tak zwaną główną sauną. Budynek z bali, licowany na zakładkę, wybudowano na długo przed wprowadzeniem obowiązujących obecnie norm budowlanych tak blisko brzegu, jak to tylko było fizycznie możliwe. Jeżeli saunę chciałoby się przesunąć jeszcze choćby o milimetr w stronę morza, trzeba by skorzystać z rozwiązań weneckich. Oczywiście nie obyło się bez wbijania pali w dno morskie. Przed sauną, nad powierzchnią wody wybudowano taras, na którym można było urządzić niewielkie przyjęcie. Sam budynek miał rozmiar małego piętrowego domku rodzinnego, w kolorze jasnożółtym, podobnie jak dwór. Dach był czarny, a komin można było pomylić z fabrycznym.

Sprawdziłem saunę, prysznic, obie przebieralnie i duży pokój kominkowy. Jego wysokie okna wychodziły na morze. Woda i niebo mieniły się tysiącem odcieni i poruszały się hipnotycznie. Wśród zmasowanych chmur odcinały się jaśniejsze wyrwy, spływające po niebie jak rzeki, wijące się i gdzieś spieniające. Morze wydawało się niemal czarne, a w następnej chwili niesamowicie niebieskie. Jego faktura zmieniała się, jakby było żywym stworzeniem, które porusza się raz w lewo, raz w prawo.

Taras skontrolowałem równie skrupulatnie jak budynek.

Na tym głównie polegała moja praca. Troszczyć się, żeby obiekty były w dobrym stanie, i wykonywać ewentualne naprawy. Do większych remontów miałem zatrudniać odpowiednich

specjalistów, sprzątanie powierzono firmie. Pozostałymi rzeczami, na ile starczało mi czasu, zajmowałem się sam. Robiłem to z przyjemnością. Potrzebowałem czasu, a ten mogłem otrzymać, dobrze wykonując swoją pracę.

Woda rozbryzgiwała się z chlupotem o kamienie na brzegu, kiedy szedłem z sauny do przystani. Przycumowano tam dwie łodzie. Jako pierwszą zobaczyłem oczywiście tę większą.

Biała, zaskakująco wysoka, bulaje na wskroś czarne. Po drugiej stronie pomostu przywiązano aluminiową motorówkę z dużym tylnym silnikiem. Minałem łodzie i poszedłem na koniec pomostu. Oddalenie od lądu o dwadzieścia metrów robiło wrażenie. Wiatr witał tutaj swoimi mocnymi dłońmi.

Po drabince można było zejść do lodowatego morza. Pomost się kołysał. Odwróciłem się w kierunku, z którego przybyłem, plecami do morza. Dwór stał na wzgórzu, na tle nieba wyglądał jak z obrazka. Opuściłem wzrok na linię brzegową i mierzyłem ją metr po metrze. Poszarpana kamienna plaża. A ledwie parę metrów dalej gęsty las.

Chwilę później dostrzegłem ruch między klonami i rozpoznałem włosy. Stałem na końcu pomostu, a wiatr dał mi w plecy. Quad zatrzymał się przy pomoście, silnik zgasł i po chwili usłyszałem stukot kroków i poczułem pod stopami drżenie desek.

Amanda Saarinen zmieniła ubranie. Wróciła z sobie tylko znanego miejsca i zrobiła to szybko. Była w sztormiaku, a w lewej ręce trzymała długą wędkę i torbę z przynętami. Nie wiedziałem, co w tej sytuacji jest najbardziej nie na miejscu: Amanda, jej sztormiak rybacki czy też ja, ktoś zupełnie obcy. Chyba zauważyła moją minę, ponieważ wyjaśniła:

– Nie dziw się tak. Wędkuję. A ty?

– Ja nie – odparłem cicho i spróbowałem się szybko przyzwyczaić do myśli o wędkującej dziedzicze.

– Polujesz?

– Nie – zaprzeczyłem ponownie i wyobraziłem sobie Amandę ze strzelbą w ręce. Wizja ta była zaskakująco naturalna.

– Dlaczego?

– Nigdy nie czułem takiej potrzeby.

– A próbowałeś?

– Nie.

Gdzie niby miałem ustrzelić łosia albo złowić dorsza? W Pihlajamäki? W centrum Helsinek? Nie powiedziałem jej, że nie każdy rodzi się z banknotem pięciuset euro w ręce, własną plażą i w zamshowym botku na pedale gazu w roverze.

Niebieskoszare oczy rozbłysły. Czarne włosy były tak grube, że chociaż wiatr wpadał w końcówki i szamotał wierzchnimi kosmykami, większość pozostawała na swoim miejscu.

– Nieźle wieje. Ale jutro powinno świecić słońce – powiedziała Amanda bardziej do siebie niż do mnie.

– Miejmy nadzieję.

Staliśmy na pomoście w odległości dwóch metrów od siebie. Amanda Saarinen była niewysoka i szczupła. Miała ostry nos, nieco szeroką brodę, a w kącikach oczu jasne żyłki. Patrzyła przez moje ramię na otwarte morze. Zaczynałem rozważać, jak mógłbym się możliwie szybko i grzecznie oddalić, kiedy ona się poruszyła i zapytała:

– Pomożesz? – Wskazała na motorówkę.

Podszedłem do niej, schyliłem się, złapałem cumę i przyciągnąłem łódź do pomostu. Kiedy dziób był blisko krawędzi, Amanda zeskoczyła do środka z torbą i wędką w ręce. Ruch był sprężysty, płynny, ciągły. Miękkie, bezgłośnie lądowanie zrobiło na mnie wrażenie, czy tego chciałem, czy nie. I czy tego chciałem, czy nie, wiele innych rzeczy w Amandzie robiło wrażenie. Na przykład to, jak bez wysiłku utrzymywała równowagę. Odłożyła torbę i wędkę, spojrzała na silnik i wetknęła do stacyjki kluczyk.

Stałem i gapiłem się na nią.

– Moja łódka, znam ją jak własną kieszeń – powiedziała.

– Tak myślałem.

– Zapomniałam czegoś, mógłbyś przyciągnąć mnie z powrotem do pomostu?

Amanda wyskoczyła z łodzi takim samym płynnym susem i zaczęła przeszukiwać kieszenie.

– Może jest tam – zastanawiała się głośno, kiwając głową w stronę dużej białej łodzi.

– Czego szukasz?

– Noża. Nie mam w torbie.

– A coś takiego jest potrzebne na rybach?

– Na morzu... Na morzu wszystko jest potrzebne.

– W quadzie jest podstawowy zestaw narzędzi. Na pewno jest tam i nóż.

Poszedłem do quada i wyjąłem z tylnej części małą torbę. W środku było trochę narzędzi, w czarnym plastikowym etui znalazłem nóż z żółtą rączką. Zniosłem go Amandzie, która znów spoglądała w morze.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. Pamiętaj, żeby potem odłożyć go na miejsce – rzuciłem.

Nie chciałem, żeby zabrzmiało to jak dowcip, ale na jej ustach i tak pojawił się lekki uśmiech, kiedy chowała nóż do bocznej kieszeni w nogawce sztormiaka.

– A kapok? – spytałem.

– Czyżbyś się o mnie troszczył?

Spojrzałem jej w oczy. Zastanawiałem się, po co się tu znalazłem i co było najważniejsze. Nie chciałem myśleć o Amandzie, jej życiu, zwyczajach dotyczących wypraw na morze ani o niczym innym, co się z nią wiązało. I tak posunąłem się już za daleko w tej rozmowie.

– Chyba nie zanoszą się na burzę – powiedziałem. – Chociaż zdrowo wieje.

Amanda nic nie odpowiedziała. Jeszcze raz popatrzyła na przestwór morza, pociągnęła zamek sztormiaka do góry, który był już zasunięty, i wskoczyła do motorówki. Głęboko odetchnąłem słono pachnącym powietrzem i zdążyłem pomyśleć, że to dziwne spotkanie, już drugie tego dnia, mam z głowy. Właśnie wtedy Amanda się odwróciła. W chmurach pojawiła się wyrwa, przez którą słońce opromieniło świat, silny podmuch wiatru załopotał w jej włosach, a mocne światło odbiło się w jej oczach w taki sposób, że raczej oslepiło mnie niż ją.

Włączyła silnik i zaczęła odwiązywać cumę. To też robiła szybko i wprawnie. Łódź odbiła od pomostu i łukiem popłynęła w morze, a słońce znów zniknęło za chmurami.

Sierpień 1993

Mama...

Pokój jest ciemny, jakby schował się pod kołdrą. Słyszę jej oddech dobiegający z miejsca, gdzie powinna kończyć się kanapa. Salon jest mały i podłużny, a kanapa stoi przy ścianie od kuchni.

Nie zapalaj światła, mówi mama.

Dlaczego? – pytam.

Nie odpowiada.

Znam drogę do kanapy. Bose stopy dotykają najpierw brzegu puszystego dywanu. Dwa, trzy ostrożne miękkie kroki po wykładzinie, potem uda natrafiają na grube krawędzie stołu; lewą ręką sunąc po stole, dochodzi się do kanapy, tam trzeba się lekko odwrócić, żeby usiąść. Mama jest na drugim końcu kanapy.

Powinieneś spać, mówi.

Obudziłem się.

Właśnie widzę.

Czy jest już późno?

Bardzo późno. Za późno.

Fajnie było na przyjęciu?

Tak.

To czemu siedzisz po ciemku?

Bo na przyjęciu było tak fantastycznie.

Nie rozumiem, o co mamie chodzi. Czuję, że piła alkohol.

Dlaczego nie mogę zapalić światła? – pytam.

Chciałam chwilę posiedzieć i pomyśleć. W spokoju.

Jesteś zmęczona?

Trochę na pewno.

To nie powinnaś pójść spać?

Powinam. A ty to już na pewno, mój ty okruszku złociutki.

Nie jestem okruszkiem.

Ale jednak złociutki.

Przez chwilę siedzimy w ciszy. W nocy nasz blok ożywa. Oddycha, pije, gulgocze, siusia, grzechocze i porusza się, jakby był w kosmosie, w stanie nieważkości.

Co takiego fajnego było na przyjęciu? – pytam.

Ludzie, mówi mama, pewien człowiek.

Pewien człowiek?

Tak.

Jaki człowiek?

Fajny człowiek.

Jaki to jest fajny człowiek?

Ależ ty jesteś ciekawski! Powinieneś spać, a nie pytać.

Ale nie śpię.

Fajny człowiek to taki, jakiego od dawna nie spotkałam.

Kto to był?

Porozmawiamy o tym kiedy indziej.

Co to znaczy, że on jest fajny?

Czy ty w ogóle nie zamierzasz iść spać?

Za moment.

Mam przynieść kołdrę?

Nie przynoś. Posiedzę tu chwilę i zaraz idę spać.

Obiecujesz?

Obiecuję. Mam jutro mecz.

Wiem.

Przyjdiesz popatrzeć?

Oczywiście.

Ale będziesz zmęczona, jeżeli będziesz tu siedzieć do późna.

Takie siedzenie wcale nie męczy.

To jak długo można siedzieć, żeby się nie zmęczyć?

Trzeba być szczęśliwym.

Myślałam, że jesteś szczęśliwa, jeszcze zanim wyszłaś na przyjęcie.

Tak. Ale teraz jestem jeszcze szczęśliwsza.

Z powodu tego fajnego człowieka?

Z jego powodu też, mój ty Sherlocku. Mama cię kocha. A teraz spać.

Jeżeli ty też pójdziesz.

Niech ci będzie.

Mama podnosi się z kanapy i ja też.

Idę do swojego pokoju pod kołdrę. Zanim zasnę, słyszę mamę w łazience. Nuci. Prawie bezgłośnie.

Ale w cichym, podróżującym przez noc domu rozpoznaję kawałek.

Don't forget about me.

Wrzesień 2013

Kiedy nagrzewałem saunę, zaczęło padać. Początkowo kapąło z nieba wielkimi, rzadkimi kroplami, jakby ktoś w ten sposób dozował światu udrękę. Napełniłem piec cienkimi brzołowymi szczapami. Ułożyłem z nich wieżę, a pomiędzy włożyłem kawałki gazety i rozpałem, używając tylko jednej zapalniczki. Piec szumiał łapczywym ogniem, kiedy zamykałem za sobą drzwi.

Z ganku sauny widziałem, jak ciężkie krople spadają w wodę niczym małe kamienie. Było ich coraz więcej i wkrótce morze przypominało powierzchnię Księżyca, pełną nierówności i kosmicznie czarną.

Jeżeli coś mi się tutaj podobało, to sauna. Wolno mi było napalić w niej także pod nieobecność gospodarza. Poprzedniego dnia też tak zrobiłem. Dzięki temu, że paliło się drewnem, na plecy opadała słodka i leniwa para niczym gorąca, przytulna peleryna. Prosto z sauny wskoczyłem do morza i przepłynąłem rundkę w lodowatej wodzie. Potem siedziałem na tarasie, oddychałem powoli i spokojnie i na chwilę zapomniałem, kim jestem, skąd się tu wziąłem i dlaczego.

Przy pomoście nadal kołysała się tylko jedna łódź. Po motorówce Amandy Saarinen słuch zaginął. Wiatr nieustannie przybierał na sile. Krople stawały się coraz mniejsze i waliły wściekle. Padało coraz bardziej, coraz gęściej. Początkowo tylko niektóre fale kończyły się spienionym grzebieniem, ale z czasem pojawiało się ich więcej. Wiatr wiał teraz zimniejszy i bardziej porywisty.

Próbowałem usłyszeć dźwięk silnika, ale docierało do mnie tylko morze w kipieli z tysiąca fal i wiatr dmący we wszystko, na co natrafił: deszcz, saunę, drzewa na brzegu. Co mnie obchodziło, że ktoś chciał igrać z morzem, deszczem, wiatrem, a nawet z całym światem.

Widoczność była marna. Zapaliłem lampy na kolumnach okalających taras. Miały raczej charakter dekoracyjny, ale mimo wszystko wskazywały kierunek, jeżeli tylko udało je się dostrzec. Oglądałem fale i myślałem o kołyszącej się na nich aluminiowej łodzi. Wiatr wzmógł się już na tyle, że musiałem mocno trzymać się na nogach, zimny deszcz mroził twarz i ręce.

Pomyślałem, że skoro blisko brzegu fale są tak wysokie i ciężkimi, spienionymi grzywami uderzają jedna w drugą, to na pełnym morzu musi być jeszcze gorzej. Jak daleko znajdowały się łowiska? Oczywiście to nie była moja sprawa. W niebezpieczeństwie dzwoni się po pomoc. Kto jej potrzebuje, może sam to zrobić. Jeśli ma przy sobie telefon.

W zamyśleniu dotarłem na pomost. Na sam jego koniec. I przemokłem do suchej nitki. Przeszłowałem z nogi na nogę. Cały czas patrzyłem w kierunku otwartego morza. Spróbowałem ogrzać ręce w kieszeniach, ale spodnie przylepiły mi się do ud i były takie zimne, że nie miało to najmniejszego sensu. Fale rosły w oczach. Wiatr wiał jednostajnie mocno, jakbym był w tunelu aerodynamicznym. Deszcz uderzał w twarz z taką siłą, że na skórze czułem ukłucia. Trzęsło mną z zimna. Przetarłem i zmrużyłem oczy, żeby lepiej widzieć ciemne morze.

Wtedy usłyszałem warkot silnika. Początkowo przerywany, podobny do tego, gdy piła elektryczna lub kosiarka do trawy nie chce zaskoczyć. Potem zobaczyłem samotne, jasne, małe światło. Jeszcze chwilę postąłem na pomoście, żeby upewnić się, że wzrok i słuch mnie nie mylą. Dźwięk narastał, chociaż momentami całkowicie cichł. Z podobną częstością od czasu do czasu gasło światło, ale zawsze zapalało się na nowo. Pomyślałem o łodzi na ciemnych falach, jak wznosi się i opada.

Kiedy warkot silnika się nasilił, a światło błyskało coraz częściej i widać je było coraz dłużej,

poczułem się głupio. Jakby mnie na czymś przyłapano. Tylko na czym?



Aluminiowa łódź kołysała się na wysokich falach lekka jak piórko. W zagłębieniach przekreślała się niemal pod kątem prostym w stosunku do pomostu, ale utrzymywała kierunek. Minęło jeszcze parę mroźnych minut. A potem usłyszałem wśród warkotu silnika, szumu fal i wiatru głos Amandy. Prosiła, żebym jej pomógł w dobieciu do pomostu.

Jasne światło łodzi świeciło w ciemności jak małe, mocne słońeczko. Amanda wstała, przymocowała cumę rufową do boi, złapała ster i z cumą w drugiej ręce sterowała. Dodała gazu, żeby podpłynąć bliżej pomostu, przeszła na dziób i rzuciła mi linę. Wróciła na rufę i upewniwszy się, że dociągnąłem motorówkę dostatecznie blisko do przystani, zgasiła silnik, zrobiła węzeł przy cumie rufowej i wróciła na dziób. Bez słowa rzuciła mi drugą cumę. Z zimna zeszywniały mi palce; robiąc węzeł, miałem wrażenie, że widzę obce ręce przy pracy.

Wyciągnąłem dłoń, żeby pomóc Amandzie wysiąść z łodzi. Nie widziałem jej twarzy. Jej dłoń była wąska w porównaniu z moją, a skok na pomost równie zwinny jak wtedy, gdy odpływała.

Niemal natychmiast się odwróciłem i ruszyliśmy w kierunku sauny. Szła obok mnie. Nie odzywała się. W prawej ręce niosła wiadro pełne okoni z rozprutymi brzuchami. Te otwarte brzuchy wyrażały sedno ostatniej godziny: zaprzeczanie temu, co wiedziałem, że i tak się dzieje, nieodwołalność pewnych spraw i to, do czego w najgorszym wypadku to wszystko doprowadzi.

Myśl przywołana z dawnych lekcji historii – antyczna Grecja i Rzym – kapłanki wróżące z wnętrzości ryb – i myśli powracające do chwili obecnej, blada Amanda i świadomość, jak szybko i zręcznie potrafi się posługiwać nożem; wizja dziedziczki, która poluje i wędkuje, była logiczna, absolutnie normalna.

Zatrzymaliśmy się na ganku sauny. Byliśmy osłonięci od deszczu, ale nie od wiatru.

Dzięki lampie na ganku zobaczyłem jej twarz – mocno zarysowane kości policzkowe, skóra cienka, niemal przezroczysta.

– Dziękuję za pomoc – powiedziała i spojrzała na mnie. W sztucznym świetle, w oprawie czarnych, mokrych włosów i białej jak kość skóry, jej oczy przypominały wilgotne niebieskoszare perły.

Amanda spojrzała na mnie, strząsnęła wodę na deski i znów popatrzyła mi w oczy.

– Wspaniałe.

– Co takiego?

– To – odpowiedziała, podnosząc wiadro, żebym mógł zobaczyć trzy duże okonie, których brzuchy bez wnętrzości przypominały szerokie, zimne uśmiechy. – Zrobię nam kolację. Za półtorej godziny będzie gotowa.

Kwiecień 2003

Policjant nazywał się Ketomaa. Jako pierwszy prowadził dochodzenie w sprawie mojej mamy z ramienia wydziału zabójstw. To on był tym mężczyzną z wysokim, błyszczącym czołem, który cierpliwym głosem mówił mi o zniknięciu mamy. Teraz, dziesięć lat później, nie odzywając się nawet słówkiem, słuchał mojej relacji, a kiedy skończyłem, zapytał:

– W telewizji?

– Tak. Przedwczoraj. Jakiś program publicystyczny, w którym omawiano kryzys z lat dziewięćdziesiątych i przeprowadzano wywiady.

– Henrik Saarinen?

– No tak.

Ketomaa odchylił się na oparcie metalowego kawiarnianego krzesła. W upalnym parku brzęczało jak w ulu od trajkotu turystów, mieszkańców Helsinek, ludzi w różnym wieku, różnych gabarytów i aparycji. Udało nam się znaleźć spokojny stolik na skraju tarasu. Ketomaa miał na nosie okulary przeciwsłoneczne. Model, który wyszedł z mody jakieś dziesięć, piętnaście lat temu.

– Ta sprawa przeszła już lata temu do Centralnej Jednostki Policji Kryminalnej – powiedział.

– Ale łatwo to sprawdzić. Dowiedz się po prostu, gdzie był Henrik Saarinen dziewiątego października dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Policja ma chyba swoje sposoby?

Ketomaa nie odpowiedział. Jego twarz skierowana była na twierdzę Suomenlinna. Białe słońce pulsowało nad nami, stało w najwyższym punkcie w roku. Skwar był niczym ubranie, które przyrosło do ciała.

Ketomaa popił lemoniady. Wierzchem dłoni otarł usta.

– Jak ci idzie? – zapytał.

– Co masz na myśli?

– W życiu? Skończyłeś szkołę? Znalazłeś pracę?

– Mam maturę. Jestem stolarzem.

– Wspaniale. Bardzo się cieszę.

Ketomaa był wysoki i chudy, łysina błyszczała mu jeszcze bardziej niż kiedykolwiek. Założył prawą nogę na lewą. Jego łydka biegła do ziemi niczym żyrafa, która schyla się, żeby się napić. Przez chwilę chyba się nad czymś zastanawiał, po czym poprawił okulary.

– Przykro mi – powiedział wreszcie. – Zajmowałem się tą sprawą i zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, ale nie mieliśmy żadnych rezultatów. Ta sprawa od początku była niejasna.

– Właśnie dlatego ci teraz o tym mówię – odpowiedziałem.

Ketomaa zbył mój komentarz. Zrobił to w niezłym stylu. Jakby moje słowa po prostu wyparowały w otaczającym nas upale.

– W jednej chwili twoja mama ma nadgodziny w pracy, podobnie jak dwie inne osoby, a w następnej rozpląwa się w powietrzu. Na oparciu krzesła zostawia płaszcz, na stole torebkę z dokumentami, obok sterty rachunków kubek kawy z mlekiem i cukrem. Z początku koledzy myślą, że poszła do toalety. Mija godzina i zaczynają się dziwić. Szukają jej. Drzwi na dole są otwarte. Może przypadkiem, a może specjalnie. Twoja mama nie pali, więc nie ma po co wychodzić. A skoro nie pali,

nie jesteśmy w stanie dojść po niedopałkach, czy to ona otworzyła drzwi. Mija druga godzina. Trzecia. Rano przyjeżdża policja. W tym ja.

Poluzował krawat. Koszula pod pachami była mokra od potu.

– Rozmowy telefoniczne nic nie rozwiązały. Za późno zaczęliśmy rozważać otoczenie budynku, ślady opon i takie tam. Padało. Jak to w październiku. Z nagrań kamer nic nie wynikło. Na podstawie zeznań naocznych świadków szukaliśmy samochodów. I nic. Sprawdziliśmy wszystkie możliwości: komunikację miejską, taksówki, stacje kolejowe, lotniska, no, po prostu wszystko. Sprawdziliśmy konta bankowe, przewróciliśmy wasze mieszkanie do góry nogami.

Ketomaa skończył mówić i wypił łyk lemoniady.

– Ja to wszystko wiem – powiedziałem.

– Wiem, że wiesz.

– Więc?

– Bez ciała nic nie można zrobić.

– Ale czy nie moglibyśmy mieć chociaż podejrzanego? Mężczyzny podejrzanego o zabójstwo?

– Do tego potrzebne by było zabójstwo. A tego akurat nie ma. Nie ma żadnych podstaw, żeby kogokolwiek podejrzewać.

Mewy krzyczały. W cementowej skorupie otaczającej policjanta pojawiła się rysa. Jego głos się załamał.

– Mogę sobie tylko wyobrazić, jak się czujesz. Mnie jest przykro. Ale nie odgadnę, jaki jest twój nastrój. Na pewno różne myśli przychodzą ci do głowy i wiele spraw budzi emocje.

– Mama mówiła, że z kimś się spotykała.

– Wiem. Już to przerabialiśmy.

– Ale dlaczego nagle poczułem coś takiego w stosunku do Henrika Saarinen, skoro on nie ma nic wspólnego z tą sprawą? Dlaczego jego głos brzmiał tak znajomo?

Ketomaa odwrócił głowę ode mnie i od twierdzy. Popatrzyłem na jego potylicę. Płatek ucha był na tle nieba i morza niemal przezroczysty. Policjant poprawił okulary i zwrócił się do mnie twarzą.

– A tak między nami. Jasne, że wiedzieliśmy, kto był właścicielem przedsiębiorstwa. Oczywiście, że sprawdziliśmy wszystko, co wiązało się z obowiązkami, miejscem pracy, firmą i stosunkami własnościowymi. I nawet coś znaleźliśmy. Ale to nie miało żadnego związku z twoją mamą ani z jej zniknięciem.

– A co takiego znaleźliście?

– To bez znaczenia. A poza tym i tak nie mogę ci powiedzieć. Ale to nie miało żadnego związku z tamtą sprawą. Tylko z Henrikiem Saarinenem. Chcieliśmy go przesłuchać, ale w chwili zaginięcia twojej mamy był w Sztokholmie. I tyle.

– W Sztokholmie?

– Tak.

– Ze Sztokholmu można tu dotrzeć w godzinę...

Zdjął prawą nogę z lewej i tak zwinnie przekręcił się na krześle, że zapomniałem, jaki jest wysoki i że dobija do sześćdziesiątki.

– Tak, w godzinę można dotrzeć tu ze Sztokholmu, żeby porwać kobietę, zniszczyć bez śladu jej ciało, szczególnie jak się jest znanym prezesem firmy. I w godzinę zdąży się jeszcze wrócić do Sztokholmu, którego nigdy się nie opuszczało. Jest, jak jest, i na pewne rzeczy nie mamy wpływu. Saarinen nie ma nic wspólnego z tą sprawą.

Ciemne okulary policjanta zawisły dokładnie na wysokości moich oczu. Podejrzywałem, że jasnoszare oczy obserwują mnie zza ciemnobrązowych szkieł bez jednego mrugnięcia.

– Mówisz bardzo pewnie – zauważyłem.

Ketomaa otworzył usta, ale się nie odezwał. Znów odwrócił się do mnie profilem i opadł na oparcie

krzesła. Przez chwilę milczeliśmy. Dwa stoły dalej strzelił korek od szampana, ludzie wznosili radosne toasty, butelka brzękała o brzegi kieliszków.

– Zrobiliśmy, ile mogliśmy – powiedział Ketomaa.

– Jesteś pewien?

– To już dziesięć lat.

– Co to ma do rzeczy?

Posuwał butelkę lemoniady na przemian to o centymetr do przodu, to do tyłu.

– Kiedy sprawa się komplikuje, wszyscy zaczynają mieć wątpliwości. Co można było zrobić inaczej? Co nam umknęło? Czyja to wina? Gdzie było słabe ogniwo?

Oderwał palce od butelki i położył rękę na stole.

– Rozumiem cię lepiej, niż myślisz. Miałeś trzynaście lat. Pamiętam cię. Z pierwszego wieczoru. To było takie niesprawiedliwe. Rozumiem, że to nie daje ci spokoju.

– Nie. Już nie. Wiem, kto to zrobił.

Ketomaa zdjął okulary i spojrzał na mnie. Białka szarych oczu były mocno przekrwione.

– Nie mam własnych dzieci. Pomyślałem, że dzięki tej pracy będę mógł kiedyś pomóc w życiu komuś innemu. Jak by to powiedzieć... naprowadzić na właściwą ścieżkę. Dać coś. Właśnie o tym dzisiaj myślę. Zastanawiam się, czy mi się udało? Być może nie. Czas pokaże.

Spojrzał na morze, mrużąc oczy.

– Mam nadzieję, że będziesz umiał zrezygnować. Cokolwiek by się działo, choćby to było tragiczne, musisz iść naprzód. Ktoś kiedyś powiedział, że w życiu nie wolno stać w miejscu. Nie można tak stać i łopotać na wietrze. Jeżeli człowiek nie zmusi się, by przeć naprzód, będzie się ślizgać do tyłu.

Zauważyłem, że nawet nie tknąłem swojej kawy. Nie wiedziałem, dlaczego ją zamówiłem w taki skwar. Tłusta plama na powierzchni płynu potwierdzała nietrafiony wybór. Słuchałem dalszego wyводу policjanta.

– Życie przed tobą. Jesteś młody, masz możliwości. Nie psuj tego, doszukując się wokoło wiadomości skierowanych właśnie do ciebie i słuchając, jak przemawia do ciebie telewizja. Codziennie spotykam takich ludzi w pracy. Nie mają się za dobrze. Nigdy. Maniacy nie kończą dobrze.

Ketomaa podparł łokcie na kolanach; znów na mnie patrzył, przerzucając niemodne okulary z ręki do ręki. Milczałem. Westchnął i włożył okulary. W ciszy patrzyliśmy, jak przed nami kołysze się łódź na spuszczonej żagli.

Wrzesień 2013

Sztućce szczękały o białe talerze, a moja serwetka zaszumiała jak woda spływająca po skale, kiedy podniosłem ją do ust, żeby wytrzeć wargi. Próbowiałem ustalić, czy Enni jest w kuchni albo gdzieś w pobliżu, ale nie słyszałem jej energicznych ruchów ani regularnych sapnięć, które wydawała z siebie, kiedy wstawiała, schylała się lub też po prostu coś robiła. Może przekazała kuchnię Amandzie i poszła do swojego mieszkania znajdującego się nieopodal, w odnowionej stodole obok głównej drogi.

Chociaż czułem się niezręcznie i pilnowałem się, jak tylko mogłem, musiałem przyznać, że jedzenie było dobre. Lekko panierowane filety z okonia przyprawione czosnkiem i smażone na maśle. W tłuczonych ziemniakach czuło się śmietanę, a lekko podpieczone buraki i marchew były z wierzchu chrupiące i w środku miękkie. Pochwaliłem jedzenie.

– Enni zna się na rzeczy – powiedziała Amanda, patrząc na mnie. – Na pewno nie chcesz białego wina?

– Nie, dziękuję – odparłem.

– Ani kropelki? Nigdy?

– Nie dzisiaj.

Patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę, w końcu nalała sobie. Nie chciałem tłumaczyć, dlaczego nie chcę pić alkoholu. Jeden kieliszek prowadził do drugiego, trzeciego, dziesiątego, a wreszcie do błędnych decyzji i czynów, których później żałowałem.

Przełknąłem ostatni kęs, ułożyłem nóż i widelec jak wskazówki zegarka pokazujące piątą, wytarłem usta, a ciemnozielony kwadracik papierowej serwetki wcisnąłem pod prawą krawędź talerza. Podniosłem wzrok i znów natrafiłem na oczy Amandy.

– Jeżeli się zastanawiasz, czy każdego dozorcę zapraszam na kolację, odpowiedź brzmi: nie – oznajmiła. – To pierwszy raz. Sztormy zaskakują mnie jeszcze rzadziej. Chciałam z tobą porozmawiać.

Nic nie odpowiedziałem. Amanda upiła wina, zanim znów się odezwała:

– Widzisz? Gdybyś był byle kim, zapytałbyś, dlaczego i o czym chcę rozmawiać. Ale ty nie pytasz. Płyniesz z prądem i patrzysz, co będzie. Siedzisz cicho i... jak by to powiedzieć... no, czekasz. Tak właśnie robisz. To nic złego. W gruncie rzeczy sama chciałabym tak umieć.

– Dlaczego? – spytałem.

Amanda się uśmiechnęła. Tak przynajmniej zinterpretowałem błysnięcie białych zębów.

– Zręcznie. Zawsze zbaczasz w rozmowie na tematy niezwiązane z tobą.

Odchyliłem się na krześle tak daleko, jak tylko było to możliwe. Pomyślałem, że jeszcze trochę za wcześnie, by powiedzieć „dobranoc”. Poza tym – mówiłem sobie odprężony po saunie i kolacji – daj się ponieść tej rozmowie, zobaczymy, do czego doprowadzi. Ale miej się na baczności.

– Musi być oczywiście jakiś powód, że tak się pilnujesz – zauważyła Amanda. – Chyba się mnie nie boisz? Jeśli tak, to niepotrzebnie. W domu nie ma nikogo innego. Jestem od ciebie dwadzieścia centymetrów niższa i trzydzieści kilo lżejsza. To raczej ja powinnam mieć obawy. W ogóle cię nie znam. Oprócz Enni najbliższy sąsiad mieszka prawie kilometr stąd. Pomyślałam, że coś nas łączy.

Oparła łokcie na stole. Teraz spostrzegłem, jak mało zjadła. Ledwie tknęła swoją porcję. Natomiast mój talerz był pusty. Próbowiałem wyciągnąć jakieś wnioski z jej miny. Dobrze pamiętałem, kim jest

i czyją jest córką.

– Nie mam pojęcia, jaki to mógłby być powód – powiedziałem.

– Naprawdę nic nie przychodzi ci do głowy?

Milczałem.

– Tak w ogóle, to wcale cię nie podrywam – zastrzegła się. – Tak tylko mówię. Jesteś żonaty?

– Nie.

– Dziewczyna?

Pomyślałem o Mii. Pokręciłem głową.

– Też nie.

Amanda wzięła do ręki kieliszek, uniosła i spojrzała na mnie przez szkło. Myśli, które przychodziły mi do głowy, kiedy patrzyłem na oczy w ciemnej oprawie makijażu, wilgotne pełne usta, szczupłe ręce i ramiona oraz na obfity biust, wcale mi się nie podobały. Przypominałem sobie, dlaczego przyjechałem do Kalmela, dlaczego grzecznie siedzę przy stole i dlaczego muszę przede wszystkim zachować pewien dystans i robić odpowiednie wrażenie: miałem zdobyć dowody na to, co ojciec siedzącej naprzeciwko mnie kobiety zrobił dwadzieścia lat temu, miałem wyjaśnić, w jaki sposób zamordował moją matkę. Jeżeli śledztwo wymaga, żebym robił wrażenie nieprzemakalnego, musiałem na to przystać.

– A ty? – spytałem.

Amanda się uśmiechnęła.

– A ja? Ja jestem córką bogacza. To chyba mówi samo za siebie. Raz wyszłam za mąż, dwa razy byłam zaręczona, a teraz jestem sama. Studiowałam zarządzanie, pracowałam w bankowości, teraz koncentruję się na innych rzeczach.

– Co to oznacza... to, że jesteś córką bogacza?

Pochyliła się i znów oparła łokcie na stole. Niedopięta koszula rozchyliła się jeszcze bardziej.

– To znaczy, że ludzie, którzy się wokół mnie kręcą, niekoniecznie robią to z mojego powodu. Na przykład, mój były mąż. Ilari. Już samo imię powinno mnie ostrzec. Pomyśl tylko. Ilari. No, jak to brzmi?

Moim zdaniem nie było to zbyt męskie imię.

– Ilari był idealny – ciągnęła. – Ród z tradycjami, dobra, majątna rodzina. Moja matka i ojciec byli tacy szczęśliwi. Rodzice Ilariego na pewno też. Mnie za to nikt nie pytał o zdanie. Nawet Ilari. Właściwie jego obchodziło to najmniej ze wszystkich. Nawet nie mam mu tego za złe, i tak nie wiedziałam, co Ilari myśli o czymkolwiek. Napijesz się wreszcie wina?

– Nie, dziękuję, nadal nie.

Nalała sobie do kieliszka. Napiała się, oblizwała górną wargę i w ten sposób kropla wina trafiła z błyszczyka do jej ust. Zaraz potem Amanda wytarła nos i podrapała się po nim.

– Życie z nim to był koszmar – powiedziała.

Wyobraziłem sobie córkę milionera wychodzącą za bogacza. To na pewno twarde, ciężki żywot.

– Robiłam tylko to, czego ode mnie oczekiwano – mówiła dalej. – Chciałam, żeby mnie lubiano. Czy to nie główna pobudka ludzkich działań? Pragniemy, by nas kochano.

Być może w pancerzu Amandy były pęknięcia, jak u każdego. Małe rysy, ukryte pod przykrywką wyglądu, standardu życia, czarnej terenówki, wędkarstwa i łowiectwa, silikonowych piersi i czego tam jeszcze. Nie widziałem tych pęknięć, ale to nie znaczyło, że ich nie ma.

– Mówiłaś o matce – powiedziałem.

Amanda podniosła łokcie ze stołu.

– No i?

– Ona już chyba nie...

– Stara wiedźma mieszka w Hiszpanii. Przez większość mojego życia, dziewiętnaście lat. Wcześniej też jej raczej nie widywałam, bo rodzice rozwiedli się już lata temu i głównie mieszkałam z ojcem, co, oczywiście, nie zdarza się często. Ale moje życie w ogóle chyba było dość niezwykle.

Moja mama zniknęła dwadzieścia lat temu, pomyślałem, a rok później żona Henrika Saarinena przeprowadziła się do Hiszpanii. Te sprawy mogły się ze sobą wiązać. Albo i nie.

– Czemu twoja matka się tam przeprowadziła?

Mina Amandy uległa zmianie. Spojrzała na mnie poważnie, z głową przechyloną lekko w prawo. Wyglądała wyjątkowo pięknie.

– Skąd ja mam to, do kurwy nędzy, wiedzieć – powiedziała cicho. – Może wolała słońce od deszczu ze śniegiem. Dlaczego o to pytasz?

– Tak bez powodu. – Uświadomiłem sobie, że muszę się wycofać. – Skoro już o niej rozmawiamy.

– Skoro już o niej rozmawiamy... – Amanda uśmiechnęła się, a jej twarz rozjaśniła się równie szybko, jak przed chwilą spoważniała. – Sam ją musisz o to spytać. Ja z nią nie gadam. Nie mamy o czym.

– Ach tak – zdziwiłem się i już miałem ugryźć temat z innej strony, kiedy spytała:

– Skąd się tu wzięłeś? Ja już wszystko powiedziałam, teraz kolej na ciebie.

– Chyba już ci rano mówiłem – odparłem. – Z wykształcenia jestem...

– Chodzi mi o tę interesującą część życia. Byłe żony? Dzieci? Trup w szafie?

Trup w szafie? Tylko jeden. Matka. Którą zamordował twój ojciec.

– Nic z tych rzeczy – powiedziałem. – Żadnych żon, dzieci ani nic innego. Jestem pod każdym względem nudnym, zwyczajnym facetem. Także na gruncie relacji damsko-męskich.

Ostatnie zdanie trochę mijają się z prawdą. Zanim poznałem Miię, moje życie było raczej burzliwe. Miię, którą porzuciłem, żeby znaleźć się tutaj, i za którą piekielnie tęskniłem, także fizycznie, co najwyraźniej było przyczyną, że moje oko wciąż zawisało na ciele, wargach i iskrzących się pod kruczoczarnymi brwiami niebieskoszarych oczach. Na szczęście nie piłem.

– Co jeszcze? – spytała Amanda, dolewając sobie wina.

– Mieszkałem w Helsinkach, przez całe życie.

– Gdzie dokładnie?

– Ostatnio w Alppila.

– Przyszło mi do głowy, że jesteśmy mniej więcej w tym samym wieku, a Helsinki to w gruncie rzeczy małe miasto. – Patrzyła na mnie i piła.

Przypomniała mi się przeczytana dawno temu książka – ukochany przez mamę *Wielki Gatsby*. Fitzgerald pisał w niej, że bogaci to tak naprawdę zupełnie inny typ ludzi. Amanda była tego żywym dowodem. Sposób, w jaki podnosiła kieliszek, piła, mówiła, siedziała na krześle. W jej ruchach brakowało ciężaru, jaki dźwigali na ramionach zwykli śmiertelnicy. Patrząc na nią, widziałem, że nigdy nie zrozumie nic z życia przeciętnych ludzi. Przełknęła łyk i mówiła dalej:

– Jesteś pewien, że nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy? Nawet przelotnie?

– Zapamiętałbym cię – palnąłem i nawet uśmiech Amandy nie był mi potrzebny, żeby uświadomić sobie, co takiego właściwie powiedziałem.

– Potraktuję to jako komplement – odparła i znów poczułem, jakby mnie na czymś przyłapano. – Takie miałam po prostu wrażenie. Podobnie jak to, że coś nas łączy.

Pokręciłem głową. Skręcało mnie w środku.

– Nie sądzę... że już się kiedyś spotkaliśmy. – Musiałem się stąd wydostać. – Myślę, że na mnie pora. Dziękuję za kolację.

– Już teraz?

– Jest dość późno, a ja zaczynam pracę o siódmej.

– Jak chcesz.

Wstała z krzesła, ja zrobiłem to samo. Zanim zdążyłem wsunąć je za sobą, Amanda obróciła się w moją stronę i stanęła przede mną. Droga do holu była za jej plecami. Przybliżyła się do mnie, położyła mi rękę na ramieniu i pocałowała w policzek. Pocałunek trwał o chwilę za długo, ale nie był nachalny.

– Dziękuję za towarzystwo.

Patrzyłem w jej błyszczące oczy, wdychałem zapach delikatnych perfum i wyczuwalnego w oddechu wypitego wina, a w świetle świec widziałem, jak blada jest jej skóra, a usta wilgotne, i wiedziałem, że jeżeli wypiłbym choćby kropelkę alkoholu albo został choć minutę dłużej, stałoby się coś, na co nie mogłem sobie pozwolić.

– Dziękuję za kolację. Wszystko było wyborne, jedzenie, a przede wszystkim towarzystwo.

Amanda zdjęła rękę z mojego ramienia i odsunęła się o krok. Uśmiechała się. Oprócz wesołości jej mina zdradzała coś jeszcze.

– A zatem dobranoc.

– Dobranoc, Amando.

Ominąłem ją i zrozumiałem, że w innych okolicznościach w tej chwili odwróciłbym się, stanął przed nią i czekał, aż ona odchyli lekko głowę i odpowie na początkowo ostrożny, uprzejmy pocałunek, a zależnie od tego, jaka byłaby jej odpowiedź, kontynuowałbym albo się wycofał ze smakowania tych pełnych warg na moich wargach.

Przeszedłem przez hol, w którym panował półmrok, stanąłem w przedsionku i otworzyłem drzwi.

Deszcz przestał padać, a wiatr niemal całkiem się uspokoił. Powietrze było zimne i wilgotne, noc stała na straży, jakby na coś czekała.

Wrzesień 2013

– Dzisiaj przyjeżdża Henrik.

W głosie Enni mieszały się żołnierski szacunek i matczyzna łagodność. Stała w oknie i patrzyła na dziedziniec, jakby wypatrywała lwa. Wiedziałem, że nic tam nie ma. Czarny range rover Amandy zniknął. Nie sądziłem, żeby wyjeżdżając, spełniała wymagania stawiane kierowcy przez kodeks drogowy. Zresztą Amanda nie obchodziła Enni. Ona czekała na należącego do Henrika Saarineny długiego ciemnoszarego mercedesa z szoferem.

Był sentymentalny, przepełniony złotym słońcem, spokojny, jesienny dzień. Po nocnym sztormie nie pozostał nawet ślad, do środka wpadało ciepłe, żółtawe światło. Sprawiało, że pięćdziesięcioletnia twarz Enni wydawała się jeszcze starsza i okrąglejsza. Wśród związanych w koczki włosów przebijały tu i ówdzie srebrne nitki, które tym bardziej były widoczne, im bliżej okna nachylała się Enni.

Wszedłem do kuchni, upewniwszy się najpierw, że jest pusta. Poszukałem składników na kanapki, zrobiłem sobie kubek czarnej kawy i usiadłem przy stole, żeby zjeść, i wtedy właśnie wystraszyła mnie Enni, która nagle zmaterializowała się przede mną.

Nie miałem pojęcia, którędy weszła. Byłem pewien, że znam już dom, wiem, jakie odgłosy wydają z siebie domownicy, w jaki sposób niesie się tutaj dźwięk. A teraz ona stała obok mnie, ja gryzłem rozmoczony od ogórka w occie chleb owsiany, a ona zachowywała się, jakby to było na porządku dziennym, że sam sobie wydaję pozwolenie na wstęp do jej świętego królestwa, choć nigdy przedtem tego nie robiłem.

Rozwahałem, co wiem o Enni. Niewiele – nasze rozmowy trwały zawsze krótko i dotyczyły spraw bieżących bądź zawodowych, mówiliśmy o pogodzie i tym, co wiązało się z posiadłością.

– Od jak dawna tu pracujesz? – zapytałem.

Enni nadal stała w oknie, z twarzą zwróconą ku podwórzu, prędko jednak zerknęła w bok, a potem jej spojrzenie znów powędrowało w kierunku żwirowej alejki, po której król miał wjechać na zamek.

– Do czego ci to potrzebne?

– A tak się tylko zastanawiałem.

– Czemu?

Przyglądałem się Enni. Wyglądała sztywno, jakby zastygła. Rozczapierzyła zwisające po bokach jej ciała palce.

– Tak sobie. Na pewno wiesz, co lubi nasz chlebobdawca.

Enni spojrzała na zegar kuchenny.

– Jeśli chodzi o jedzenie – dodałem.

– No, wiem – odpowiedziała i odsunęła się parę kroków od okna w kierunku blatów i kuchenki, do swojej krainy. Chyba się odprężyła. Rzuciła mi znajome, uprzejmie zdystansowane spojrzenie. – Pewnie, że wiem. Jestem tu już prawie dwadzieścia lat.

– Naprawdę? Prawie dwadzieścia czy ponad dwadzieścia?

Robiłem wszystko, by nie dać po sobie poznać, jak bardzo mnie to obchodzi.

– To było w dziewięćdziesiątym trzecim. Przed Bożym Narodzeniem. Zaczęłam w listopadzie, żeby nabrać wprawy przed Wigilią.

Moja mama znika w październiku dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Miesiąc później Enni wybiera szynkę dla Henrika Saarinen.

– I jak ci się udała ta pierwsza Gwiazdka?

– Dobrze. Byłam już przecież... – Oczywiście Enni powędrowały w stronę okna. – No, na początku wszystko jest trudne. Zanim się człowiek przyzwyczai i pozna... Nauczy, kto co lubi. W twojej pracy jest na pewno tak samo.

Na pewno.

– Czy Henrik Saarinen był wtedy jeszcze żonaty?

– Tak. Ale... Helena mieszkała już głównie w Hiszpanii. Ale na papierze nadal byli małżeństwem.

– Czyli przebywał tu głównie sam?

Odchyliła głowę, jakby chciała spojrzeć na mnie z nieco innej perspektywy. Może chciała zobaczyć coś, czego przed chwilą nie było jeszcze widać. Wciąż siedziałem za stołem, na talerzu leżała do połowy zjedzona kanapka, a w kubku pozostało jeszcze sporo kawy.

– Chyba tak – powiedziała. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– A oprócz ciebie, ktoś jeszcze tu wtedy pracował?

Enni opuściła rękę na biodro.

– Dwadzieścia lat temu? Dlaczego o to pytasz? Nie miałeś wtedy więcej niż, niż...

– Trzydzieści lat – odpowiedziałem.

– Było więcej stałych pracowników. Teraz jest tylko nas dwoje.

– Tutaj w domu?

– No, nie – zaprzeczyła Enni. – Ale w ogrodzie i do napraw. W domu pracowałam tylko ja. – Kiedy wypowiadała ostatnie zdanie, w jej głosie pobrzmiwała duma.

– To duży dom jak na jedną osobę.

– Zależy, jak na to spojrzeć. Duży mężczyzna powinien mieszkać w dużym domu. Takie jest przynajmniej moje zdanie.

– A Amanda? Była wtedy chyba jeszcze dość mała. Nawet nie była nastolatką. Przebywała tutaj sama? – Patrzyłem na Enni i jadłem kanapkę. Zauważyłem, jak na jej usta wypływa uśmiech. Zdradzał, że wie, co w trawie piszczy.

– Zapomnij o Amandzie – poradziła mi, nie przestając się uśmiechać.

Przełknąłem jedzenie. Nie o to mi chodziło.

– Tak się domyślałam – powiedziała Enni, nie czekając na moją odpowiedź, która zresztą i tak nie była teraz konieczna. – Mówiłam Eliasowi, że tak się to skończy, jeżeli nowy dozorca będzie ledwie po trzydziestce. Pomyślałam, że jesteś za młody. Ludzie w tym wieku za dużo sobie wyobrażają. Nie wiedzą jeszcze, gdzie ich miejsce, i nie rozumieją, jak zorganizowany jest świat.

Kawa już wystygła. Nie przeszkadzało mi to. Czekałem, że może Enni jeszcze coś powie, ale ona zamilkła i odwróciła się. Zaczęła się krzątać, sięgać do dolnych szafek, na blacie postawiła misę do wyrabiania ciasta, otwierała szafki z jedzeniem i wyglądała na naprawdę zajęta.

– O której przyjeżdża?

Odpowiedziała, w ogóle na mnie nie patrząc, że pod wieczór, ale nie zna dokładnej godziny. Wrzucała do misy równe kliny masła wielkości kawałków tortu.

– Wieczorem będzie chciał, oczywiście, pójść do sauny – dodała, nadal na mnie nie patrząc. – I chce cię widzieć. Nas wszystkich. Taki jest zwyczaj.

– Czy musimy ustawić się w szeregu, jak w angielskich filmach? Tych, co ukazują życie arystokracji?

– Mówiłam Eliasowi, że jesteś za młody – powtórzyła Enni. Zdawało mi się, że uśmiechnęła się do siebie. Słyszałem to w jej głosie. – Po prostu za młody.

Sierpień 2003

Tanja Metsäpuro zaginęła w sierpniu 2003 roku.

Śledziłem jej historię w gazetach popołudniowych i wiedziałem, że to dziwne, kiedy ktoś wychodzi z baru pod wpływem narkotyków, a jego ciało zostaje znalezione w pobliskiej rzece i sprawa nie ma żadnych znamion przestępstwa. Spłynęło na mnie to same olśnienie i przecucie, co dwa lata wcześniej, kiedy siedziałem przed telewizorem.

Tanja Metsäpuro miała trzydzieści lat, pracowała jako fryzjerka i była samotną matką wychowującą dwie córki. Udało jej się załatwić opiekunkę na sobotni wieczór, dzięki czemu miała rzadką okazję, by wolny czas spędzić z przyjaciółmi w nocnym klubie w Vantaa.

Nieco po północy odeszła od stolika i już nie wróciła. Zauważono to dopiero o czwartej nad ranem, przed zamknięciem baru. Do tej pory nikt oczywiście nie zwrócił na to uwagi. Wszyscy byli w szampańskim nastroju i koncentrowali się głównie na dobrej zabawie. Z całej grupki tylko jedna osoba nabrała podejrzeń, ale i ona pomyślała, że Tanja albo poszła tańczyć, albo przysiadła się do innego stolika.

Kiedy klub zamykano, przyjaciółki Tanji zauważyły jej zniknięcie. Początkowo śmiały się z tego: spotkała kogoś i zostawiła je na pastwę losu. Dopiero w szatni okazało się, że czerwony skórzany płaszcz Tanji nadal tam wisi. Błyszcząca skóra wyglądała wśród pustych wieszaków jak znak zapytania. Jedna z koleżanek zapytała szatniarza, czy widział Tanję. Ten jednak nie przypominał jej sobie ani wtedy, ani później. Kobieta wróciła więc do środka i spróbowała zadzwonić do Tanji. Telefon leżał na kanapie przy stoliku, tam gdzie siedziały.

Gdy następnego dnia opiekunka się obudziła, córki Tanji jeszcze spały. Niania zorientowała się, że jest jedyną dorosłą osobą w mieszkaniu. Zadzwoniła do Tanji na komórkę. Odebrała skacowana przyjaciółka Tanji. Postanowiły zgłosić sprawę na policję. Meldunek przyjęto. Jeżeli do końca dnia Tanja się nie zjawi, trzeba będzie spisać protokół zaginięcia. Nie odnalazła się. Protokół spisano.

Dwa dni później w dziennikach wieczornych pojawiło się duże zdjęcie zaginionej. Kiedy ją zobaczyłem, zaparło mi dech. Jakby ścianę żołądka przebił tępy nóż, a zimny okrągły kamień wiercił mi dziurę i utknął.

Tanja Metsäpuro przypominała moją mamę. Obie miały grube ciemnokasztanowe włosy, Tanja długie, mama półdługie. Ich oczy miały ten sam kolor – mieszankę zielonego i niebieskiego – rysy twarzy były delikatne, symetryczne, nosy wąskie, ostro zakończone, wargi kształtne i dość pełne, uśmiech ciepły, a gdy się mu dobrze przyjrzeć – tajemniczy. Obie były ładnymi, wręcz pięknymi trzydziestolatkami; niewysokie, szczupłe.

W chwili zniknięcia Tanja miała na sobie obcisły biały top, czarne błyszczące legginsy i skórzane sandały na wysokich obcasach. Mogłem sobie wyobrazić, że w nocnym klubie zwróciła uwagę niejednego mężczyzny. Ale od tego jeszcze daleka droga do zbrodni. Zresztą Tanja nie rozmawiała w klubie z nikim oprócz swoich przyjaciółek. Przynajmniej do północy. Nikt nie wiedział, co się z nią później stało.

Ktoś wymyślił, a może nawet pamiętał, że Tanja skarżyła się na złe samopoczucie. Wywnioskowano z tego, że może wyszła na chwilę na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Już kiedyś tak

zrobiła, więc czemu nie i tym razem? Szatniarz jednak rozwiązał te wątpliwości. Był pewien, że tak się nie stało: żadna kobieta o wyglądzie choćby zbliżonym do Tanji nie kręciła się przy wyjściu.

Potem zauważono, że było jeszcze jedno wyjście. Na tyłach klubu znajdowały się drugie drzwi prowadzące do pomieszczeń dla personelu. Tamtędy można było dostać się na parking z tyłu budynku. Niestety, policja wpadła na to za późno. Nagrania z kamer już skasowano. Poza tym nie było żadnej pewności. Nic nie wskazywało, żeby Tanja Metsäpuro tamtędy wyszła. Ani w celu zaczerpnięcia świeżego powietrza, ani w żadnym innym.

Jej sprawie dzienniki wieczorne poświęcały całą stronę jeszcze przez wiele tygodni. Wyciągano na jaw wszystko: bankructwa kolejnych interesów byłego męża, niepłacone alimenty, wniesione i wycofane pozwy przeciwko mężowi o pobicie Tanji i wnioski o zakaz zbliżania się. Mężczyzna miał jednak żelazne alibi. W dniu zaginięcia – a ściślej mówiąc, już na dwa tygodnie przed i jeszcze tydzień po – siedział w helsińskim areszcie śledczym. Podejrzewano, że jest zamieszany w aferę narkotykową. To prowokowało naturalnie do plotek, że w jakiś sposób Tanja także mogła być zamieszana w ciemne interesy.

Im więcej czytałem, tym bardziej umacniała się we mnie pewność. I nie wynikało to jedynie z tego, że w tych dwóch zniknięciach występowały podobieństwa – obie kobiety zagięły w niewyjaśniony sposób, obie były samotnymi matkami i miały ładnie opalone twarze. Chodziło o Henrika Saarinenę.

Wiedziałem o nim już to i owo. Przez dwa lata zdążyłem się rozejrzeć.

Dowiedziałem się, gdzie mieszka, pracuje, że czasem pożycza od kogoś samochód, nieco mniej ekskluzywny, i udaje się na nocną przejażdżkę. Podzieliłem się swoimi informacjami ze znajomym policjantem, ale ten powiedział, że nocne eskapady samochodem to jeszcze nie przestępstwo. Jego zdaniem taki zwyczaj świadczył co najwyżej o dręczącej kogoś bezsenności. Poza tym, ciągnął Ketomaa, podczas jazdy człowiek najlepiej myśli, można się zastanowić, w samochodzie jest się w świetle i jednocześnie poza nim.

Dodał jeszcze, że jest mu naprawdę przykro. Wiedziałem, że nie ma tym razem na myśli mojej mamy. Mówił o mnie i o moim życiu, które jego zdaniem właśnie sobie rujnowałem.

Po miesiącu Tanja Metsäpuro zniknęła z nagłówków.

Pewne małżeństwo wybrało się na długą wędrowkę po terenie rekreacyjnym Uutela. Szukali przyjemnego miejsca nad brzegiem morza, żeby nacieszyć się słonecznym jesiennym przedpołudniem. Rozłożyli koc w celu skonsumowania zasłużonego prowiantu. Kiedy wyciągali z plecaków jedzenie i kawę, zauważyli w wodzie coś dziwnego. Początkowo oboje myśleli, że to coś tylko przypomina człowieka.

A jednak to był człowiek, a dokładniej zwłoki, którymi fale rzucały o przybrzeżne skały.

Tanja Metsäpuro kołysała się nago w zimnym morzu, mocno spuchnięta i purpurowa od rozkładu.

Między jej i mojej mamy przypadkiem była tylko jedna różnica. Tym razem ciało odnaleziono.

Wrzesień 2013

Świeże hiacynty pachniały oszłamiająco i zdradliwie wiosennie w rześście oświetlonym pokoju. Wrażenie było potężne: jakby kalendarz i własne poczucie pór roku całkowicie się myliły. Palły się żyrandole, na stole stała czarna taca z paroma rodzajami przekąsek. Robiłem, co mi kazano. Siedziałem na kanapie i czekałem, patrzyłem, jak kostki lodu rozpuszczają się w kryształowym kielichu.

Wziąłem prysznic i o ustalonej godzinie przyszedłem do głównego budynku. Znalazłem Enni i zobaczyłem w jej oczach zadowolenie i dumę, w jej głosie czuło się nawet nutkę szczęścia. Na zakończenie naszej krótkiej pogawędki położyła mi rękę na ramieniu i poklepała mnie, a ciepło jej dłoni przeniknęło nawet przez rękaw mojej koszuli. Powiedziała, że wszystko będzie dobrze, jeżeli tylko nie będę się wymądrzał.

Uśmiechnąłem się do niej, podziękowałem za radę i zastanowiłem się, co by się stało, gdybym powiedział, że Henrik Saarinen zabił mi mamę.

Jeszcze nadejdzie właściwa pora.

Także na to.

W otoczeniu mebli z ciemnego drewna obitych tapicerką w przytłumionych kolorach, wśród srebrnych świeczników i zwisających z sufitu błyszczących kryształów czułem się, jakby ostatnie dziesięć lat wraz z wszystkimi wirażami należało do kogoś innego lub zdarzyło się w dalekiej przeszłości. Usta mi spierzchły – albo nie piłem dzisiaj dostatecznie dużo, albo z jakiegoś innego powodu. Wyciągnąłem rękę po butelkę wody mineralnej.

Usłyszałem kroki na schodach. Spokojne i zdecydowane.

Cofnąłem dłoń, wstałem z kanapy i stanąłem za antycznym stołem, niemal dokładnie na środku sali. Czekałem dwadzieścia lat, tylko nie wiedziałem dokładnie na co. Oto spojrzę diabłu w oczy i będę wiedział, czy cała ta moja podróż miała sens. Jeśli instynkt mnie oszukał, dobiegnie nieszczęśliwego, nijakiego końca.

Henrik Saarinen stanął we wspianym, nieco migoczącym świetle żyrandoli i uśmiechnął się promiennie. Nie wiedziałem, co myśleć. W żadnym wypadku nie czułem pewności, która nie opuszczała mnie przez ostatnie dziesięć lat. Z drugiej strony, nie potrzebowałem jej. Nie wszystko musi się wydarzyć w jednej chwili. Czekałem taki szmat czasu, mogę poczekać jeszcze trochę.

Na żywo robił dokładnie takie wrażenie, jak myślałem, człowieka charyzmatycznego i silnego. Swoją osobą wypełniał całą przestrzeń, biła od niego uspokajająca, niewyczerpana pewność siebie. Nosił drogie dżinsy, białą koszulę i niebieski sweter, z którego piersi szczyrzył się mały zielony krokodyl. Na nogach miał kapcie z miękkiej ciemnobrązowej skóry, najwyraźniej również drogie i zapewne bardzo wygodne.

Pierwsze jego słowa brzmiały:

– Henrik Saarinen.

Uścisnąłem wyciągniętą dłoń. Była duża i ciepła.

– Aleksi.

Wpuścił moją rękę równie miękko, jak wcześniej ją złapał. Saarinen spojrział na mnie przez okrągłe okulary i wskazał ręką kanapę. Utkwiłem wzrok w jego oczach może na chwilę dłużej, niż wypadało.

– Coś do picia?

– Poproszę wodę mineralną – powiedziałem.

Otworzył dwie butelki wody gazowanej, jedną postawił przede mną. W tej samej chwili zmienił chyba zdanie, ponieważ podszedł do stolika pod ścianą i nalał sobie whisky z zielonej butelki. Z grubą kryształową szklanką wrócił na kanapę.

– Pierwszy tydzień za tobą – powiedział, popijając. – Jak się czujesz?

Nalałem sobie wody. Kostki lodu w szklance syczały i skrzypiały, jak człowiek, którego rozpira energia.

– Praca jest całkiem ciekawa. Okolica ładna. Podoba mi się.

– To dobrze. Praca powinna być ciekawa. Zawsze tak uważałem. Wypijmy za to.

Napiliśmy się. Moje podniebienie było tak suche, że woda niemal przywracała je na powrót do świata żywych.

– Eliasa już znasz i, oczywiście, Enni – kontynuował Saarinen, spoglądając w stronę okna. Słońce miało się ku zachodowi. Zaraz na horyzoncie przestaną się mienić czerwone i fioletowe cienie, a wszystko spowije czerń. – I może jeszcze Amandę.

– Tak. – Zastanawiałem się, czy wspomnieć o kolacji, ale doszedłem do wniosku, że lepiej nie. – Jeśli dobrze rozumiem, jest zapaloną wędkarką.

Saarinen odstawił szklankę na stół.

– A dwór? Co o nim myślisz?

– Wygląda na to, że wszystko jest w dobrym stanie. Na przyszłe lato można pomyśleć o remoncie okapów i rynien, ale lepiej sprawdzić, jak przetrwają zimę. Jeżeli chodzi o okna...

– A atmosfera?

– Atmosfera? Całkiem przyjemna. Nadmorska. Spokojna.

– Też tak uważam. Kupiłem to lata temu, żeby ulokować w czymś pieniądze. Pomyślałem, że sprzedam to, kiedy trafi się dobra oferta. Potem jednak zauważyłem, że to miejsce jest całkiem przydatne. Swego czasu nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Jak się zapewne domyślasz.

Saarinen rozparł się na kanapie jak król i spoglądał na mnie zza okrągłych okularów. Wolałem nie mówić, czego się domyślał.

– Chodzi mi o samotność – ciągnął, cały czas patrząc mi w oczy.

– Hm...

– Dlatego chciałem cię osobiście poznać najszybciej, jak to możliwe. – Uśmiechnął się. Jego mina przypominała krokodyla ze sweterka, tuż przed atakiem na ofiarę.

– Hm...

– Elias mówił, że podpisałeś umowę, o nic nie pytając.

Skinąłem głową.

– Rozumiesz zatem nie tylko zakres obowiązków, ale także charakter pracy.

– Tak mi się wydaje.

Popił ze szklanki i znów spojrział za okno. Przyglądałem się jego ramionom, dłoniom, zwłaszcza palcom. Miał grubokościstą budowę, dłonie były grube, ale zręczne. Palce długie i zapewne silne.

– To bardzo ważne – powiedział. – Delikatna sprawa. Miałem już złe doświadczenia... z ludźmi, którzy kręcili się wokół mnie i okazywali się kimś innym, niż mówili.

Saarinen spojrział na mnie znacząco. Upiłem duży łyk mineralnej. On także popił ze swojej szklanki. Z kuchni dochodziły dźwięki. Wydawało się, że płyną z bardzo daleka.

– Na przykład, poprzedni dozorca był takim człowiekiem. Wyjątkowo nieprzyjemnym.

Po raz pierwszy mówiono coś o moim poprzedniku. Elias Ahlberg uciął krótko, że umowę rozwiązano, i tyle.

– Jak się nazywał – zapytałem.

- To bez znaczenia.
- Ktoś z lokalnych? Czy z Helsinek, jak...
- Nieważne.

Saarinen delektował się whisky.

– Początkowo wydawał się kompetentny. Starszy od ciebie. Pomyśleliśmy, że to dobry znak. Ma doświadczenie życiowe, z wiekiem wyrobił sobie poglądy i takie tam. Najpierw wszystko dobrze się układało. Potem jednak wyszły na jaw pewne niezbyt pochlebne cechy charakteru, słabości... czy jak to nazwać. Na pewno rozumiesz, o co mi chodzi.

Czy rozumiałem? Ile słabości może mieć człowiek? Najpewniej tysiące. W tym wypadku, pomyślałem, chodzi o jeden z siedmiu grzechów głównych. Gdyby Saarinen kazał mi wybierać, stawiałbym na zachłanność.

– Wiek nie zawsze idzie w parze z mądrością – powiedział, oblizując wargi z resztek whisky. – Toteż postanowiliśmy, że następny dozorca będzie młody i pełen werwy. I przyjęliśmy ciebie do pracy.

– Łut szczęścia – powiedziałem i naprawdę miałem to na myśli. – Od dawna marzyłem o takiej szansie.

Saarinen się uśmiechnął.

– Nie należy umniejszać znaczenia postawy. Wiem coś o tym. Zresztą nie byłoby mnie tutaj, gdyby postawa nie miała znaczenia. Trzeba wiedzieć, czego się w życiu chce. I trzeba być gotowym na wszystko, żeby to osiągnąć. – Spojrzenie za szkłem się ochłodziło. – A czy ty wiesz, czego chcesz?

– Dość dokładnie – odparłem.

– Prawidłowo. – Podniósł szklanke i napił się. – Ludzie zbaczają z drogi. Nie idą w zawody z życiem. Nie rozumieją, że chodzi o walkę silniejszego ze słabszym. Zawsze. Za każdym razem. Fuszerka i amatorstwo... Twój poprzednik był tego dobrym przykładem.

– Czego? – spytałem, ponieważ Saarinen zamilkł.

Nie odpowiedział od razu. Wciąż mi się przyglądał, ale jakby z oddalenia.

– Długi tydzień – rzucił. – Czy jest coś, o co chciałbyś zapytać albo o czymś się dowiedzieć?

Czemu odebrałeś małemu chłopcu matkę?

To była pierwsza myśl. Przyszła mi do głowy spontanicznie i całkowicie naturalnie. Mężczyzna na kanapie, jego słowa, melodia głosu i sposób bycia. Nadal nie czułem tej wielkiej pewności, która wypełniła mnie dziesięć lat temu, ale zaledwie coś zbliżonego. Choć nie rozumiałem, skąd się to brało, przychodziło mi to bez wysiłku. Wszystko działało się samo z siebie.

– Nie – odpowiedziałem i odstawiłem szklanke na stół. – Nie sądzę. Wszystko wychodzi w praniu.

– Doskonale. W takim razie idę do stołu. Dobranoc.

Saarinen podniósł się energicznym ruchem z kanapy i poszedł w kierunku jadalni. Stałem już w drzwiach sali, kiedy usłyszałem albo wyczułem coś dziwnego. Odwróciłem się. On też i stanął dokładnie naprzeciw mnie w drugim końcu pomieszczenia. Przypomniałem sobie, co poczułem pod wpływem podobnego gestu w telewizorze. Teraz nie widziałem nawet szybkiego zwrotu, a mimo to wyczułem, co się dzieje.

– W twoich dokumentach jest jeden ciekawy szczegół.

Poczułem, jak moje ciało przebiega przejmujący dreszcz. Tylko bez paniki, nakazałem sobie. Wiedziałaś, że nadejdzie taka chwila. On nie ma pojęcia, kim jesteś. Wszystko jest w porządku. Dokumenty były w porządku. Na pewno były. Przecież taki zimny myśliwy jak Elias Ahlberg nie zatrudniłby cię, gdyby papiery nie były w porządku.

– Nie masz żadnych krewnych – powiedział Saarinen. – To znaczy nikogo, kogo można by zawiadomić, gdyby coś się stało.

– Miejmy nadzieję, że nie będzie takiej potrzeby.

Saarinen spojrzał na mnie. Dzieliło nas dziesięć, może dwanaście metrów. A jednak zdawało mi się,

że z łatwością mógłby położyć mi dłoń na ramieniu, dotknąć mnie.

– Ach tak... Ach tak.

Odwrócił się i wyszedł, a jego cień opuścił ścianę i podążył za nim do drugiego pokoju.

Kwiecień 2008

– Mowy nie ma – powiedział Ketomaa. – Policja nie może udostępnić takich materiałów ludziom z ulicy. Przepraszam za wyrażenie, ale oficjalnie jesteś człowiekiem z ulicy. Chociaż od zaginięcia twojej matki minęło wiele lat, dokładniej mówiąc, piętnaście, nadal nie mogę tego zrobić.

Nie widzieliśmy się od trzech lat. Bardzo schudł. Ogromny węzeł granatowego krawata był chyba grubszy niż szyja. Twarz przypominała starą, pooraną wersję Bustera Keatona, jakby słynną kamienną twarz komika rozciągnięto w pionie, a na policzkach i czole udrapowano zmarszczki, żeby podkreślić ogólną suchość, brak wody i życia.

Ketomaa nawet w pomieszczeniu siedział w kapeluszu, ponieważ chemioterapia pozbawiła go resztek czupryny. Na szczęście inteligentne, badawcze spojrzenie pozostało na swoim miejscu. Właściwie nie wiedziałem, dlaczego spotkanie z policjantem mnie cieszyło. Może zgrzybiały starzec był ostatnim ogniwem łączącym mnie z przeszłością. Z tym, kim byłem kiedyś.

Umówiliśmy się na obiad w pobliskiej restauracji, ale wyszliśmy, zanim zdążyliśmy coś zamówić. Ketomaa doszedł do wniosku, że w jego stanie nie ma to sensu. Jedzenie i tak pozostałoby na talerzu. Zasiadliśmy zatem w kawiarni nieopodal, przy stoliku w głębi sali.

W drugim końcu lokalu jakiś chłopak klepał coś na laptopie. Jasna kędzierzawa głowa kołysała się w rytm stukanego tekstu. Czasem, kiedy palce przeleciały po klawiaturze raptowniej niż zazwyczaj, głowa kiwała się leciutko. Po drugiej stronie wielkiego okna ulicę przemierzali w obu kierunkach zwykli przechodnie: narkomani i alkoholicy, urzędnicy, hipsterzy i mieszkańcy tej dzielnicy. Wiosenny dzień sprawiał, że wszystko wydawało się jasne i przezroczyście.

– Domyślałem się, że tak powiesz. Ale nie szkodziło zapytać. A poza tym mam jeszcze jedną sprawę.

– Wiedziałem – powiedział Ketomaa cicho. Potrafił mówić tak, że tylko osoba siedząca dokładnie naprzeciwko słyszała jego słowa. – Tanja Metsäpuro. Odpowiedź brzmi: nie.

– Nie chodzi mi o papiery. Chciałbym tylko wiedzieć, na czym stoimy. Ta sprawa już wieki temu zniknęła z nagłówków.

– Nic dziwnego. – Westchnął. – Wszystko stoi w miejscu.

– Opowiedz coś.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł. I nie mówię tego z perspektywy policjanta, tylko twojej. Lubię się z tobą spotkać, przekonać, że przynajmniej z wierzchu wszystko z tobą w porządku. Ale poza tym... Myślę, ile mamy lat. Życie jest takie krótkie, nie warto go tracić na byle co.

– Tanja Metsäpuro – powiedziałem.

– Byłby z ciebie dobry policjant. – Ketomaa zaśmiał się kwaśno. Podsunął czapkę i zamyślił się. – Dobry policjant, który traci życie na beznadziejne przypadki. Całą karierę i zdrowie poświęca na tropienie niewyjaśnionych spraw, a zaniedbuje takie szczegóły, jak rodzina, dzieci, szczęście, życie towarzyskie, i dopiero pod koniec życia zauważa, że to wszystko było na próżno. I nie jest to relacja z drugiej ręki.

Popatrzył na mnie, potem zerknął na ulicę i znów odwrócił się twarzą do mnie.

– Niech tam! Na własną odpowiedzialność. Każdy jest kowalem swojego losu. – Znowu westchnął.

– Nie znam szczegółów. Nie uczestniczę w tym osobiście, ale oczywiście słyszy się to i owo. Jak już zapewne wyczytałeś z gazet, zaczęło się od trupa. Ale niczego więcej nie znaleziono. Sprawdzone wszystkie tropy.

Siorbał żółtą lemoniadę i patrzył na mnie wyczekująco.

– W końcu aresztowano jej byłego męża jako podejrzanego – powiedział.

– Tego, który siedział w areszcie w chwili zniknięcia Tanji Metsäpuro?

– Sądzone, że wszystko wiąże się z narkotykami – odparł, przechylając się nad stołem. – Że sprawcy chcieli w ten sposób coś zasygnalizować. W tej chwili to najmocniejsza teoria. Więcej nie mogę powiedzieć. Już i tak za dużo zdradziłem. Ale zrzućmy to na karb chemioterapii. I jak, zadowolony?

– Jasne, że nie.

– Jasne, że nie. Jak mogłoby być inaczej?

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Młody pisarz założył na uszy słuchawki. Duże i czarne, zakrywały pół głowy, na wierzchu pozostał zaczerwieniony, pełen zapachu nos, chłopięce, miękkie policzki, przyszcz w kolorze dojrzałego pomidora dokładnie na czubku brody i szopa bujnych loków sterczących we wszystkie strony. Palce stukały w klawiaturę.

– Czy Tanja Metsäpuro i Henrik Saarinen się znali?

Twarz policjanta pozostała niewzruszona. Powtórzyłem pytanie. Odchylił się na krześle. Jego marynarka zdawała się niemal pusta.

– Czy mógłbym coś powiedzieć, Aleksis?

– Czy znali...

– Zastanawiałem się nad swoją chorobą – przerwał mi Ketomaa. Skrzyżował dłonie na kolanach, jego spojrzenie było szczere. – Zastanawiałem się, czym jest rak. Komórki rakowe mnożą się, nie wiedząc, że tym samym niszczą ciało, w którym żyją. W związku z tym ich zachłanności nie ma końca. Zabijają się. Niszczą coś, by zniszczyć siebie.

Żółta lemoniada powędrowała ze stołu do ust policjanta. Popatrzył na mnie i dodał:

– Jeżeli miałoby się wybór, to po co, do cholery, tak robić?

Już miałem powiedzieć: „A jeżeli nie można wybrać? Jeżeli ktoś już za mnie zdecydował?”. Przez chwilę się nie odzywałem. Pytanie policjanta zawisło między nami w powietrzu. Piłem kawę i czekałem. Ketomaa spojrzał na mnie.

– A zatem ty nie musisz odpowiadać na moje pytanie, ale ja na twoje, owszem.

– To dla mnie ważne – rzuciłem.

– Nie jestem tego pewien.

– Jestem pewien, że przeżyjesz.

– Na pięćdziesiąt procent.

Jego twarz miała wciąż ten sam kamienny wyraz. Wreszcie się odezwał:

– Tak, Tanja spotykała się z Saarinenem.

– O rany... Już wieki temu mogłem wam powiedzieć, żebyście aresztowali Henrika Saarineną.

Nagle Ketomaa zaczął robić wrażenie zdenerwowanego i sfrustrowanego. Nigdy wcześniej go takiego nie widziałem.

– Mówię o tym tylko po to, żeby przywrócić ci rozum. Na pół roku przed zaginięciem przestali ze sobą utrzymywać kontakty. A i wcześniej nie była to zażyła znajomość. To był typowy związek podstarzałego, bogatego mężczyzny i młodszej kobiety.

– Kto tak mówi?

– Oczywiście, że policja rozmawiała z Henrikiem Saarinenem.

– Rozmawiała, rozmawiała! Po jaką cholere z nim rozmawiacie, jego trzeba aresztować i skazać.

Dwa razy otworzył usta, jakby chciał zaczerpnąć powietrza.

– Strasznie szybko zasycha mi ostatnio w przełyku.

Wlał sobie do ust lemoniadę, jakby podlewał jakieś delikatne rośliny, i powiedział:

– Oczywiście, że nie tylko z nim rozmawiano. Wszystko sprawdzono, żadnej hipotezy nie odrzucono, dopóki nie została obalona. Sprawdziliśmy billingi Tanji, pocztę elektroniczną, cały materiał zgromadzony podczas śledztwa, zeznania, wszystko przeczesał. Ludzi wzywano drugi raz na przesłuchania.

Nachylił się, położył łokcie na stole i prześwidrował mnie wzrokiem na wylot.

– I nic. Ani mru-mru. Żadnych kontaktów przez sześć miesięcy. W życiu Tanji Metsäpuro nie było już nawet śladu po znajomości z Henrikiem Saarinenem. – Jeszcze mocniej pochylił się w moją stronę. – Czy ty mnie rozumiesz, Aleksii? Rozumiesz, co mówię?

Patrzyłem na niego.

– Masz pięćdziesiąt procent szans na przeżycie. Na pierwszy rzut oka to niewiele. Ale jeżeli porównać to z dwudziestoma procentami, to już cholernie dużo. A jeżeli to porównać z zerem, to już właściwie jesteś wybrańcem losu.

Zamilkłem na chwilę, a potem spytałem:

– Rozumiesz, co mówię?

Wrzesień 2013

Po spotkaniu z Henrikiem Saarinenem nie mogłem zasnąć. Naturalnie. Przeszłość jest jak żywopłot, gęsty i kolczasty.

Moje mieszkanie – pokój z kuchnią – przytłaczało mnie i czułem się w nim obco. Nocne niebo za oknem było nieprawdopodobnie bezchmurne, gwiazdy jasne niczym nadlatujące samoloty. Drewniana podłoga stękała pod ciężarem moich stóp, kiedy chodziłem w kółko między ścianą a aneksem kuchennym, za każdym razem wykonując sześć kroków. W końcu znudziło mnie to krązenie, zrobiłem sobie herbaty i usiadłem przy stole.

Dwadzieścia lat i dokąd mnie to zaprowadziło?

W takich chwilach najchętniej wyciągnąłbym jakąś teczkę, pisemny dokument dotyczący sprawy i potwierdzający moje teorie, w którym mógłbym sprawdzić jakiś dręczący mnie szczegół i który zesłałby olśnienie. Takiego dokumentu nie było. Wszystko istniało w mojej głowie. Zawierało się w tym, w co wierzyłem, co wiedziałem, co potrafiłem wyjaśnić, wywnioskować i co myślałem. Od czasu do czasu wzbierała we mnie ta sama pewność, którą czułem dziesięć lat temu.

Wiedziałem, że Henrikowi Saarinenowi podobały się kobiety w typie mojej mamy. Widziałem jego zdjęcia w gazetach. Odkąd małżeństwo Saarinenów się rozpadło, pokazywał się publicznie w towarzystwie przynajmniej dziesięciu różnych kobiet, z których przynajmniej połowa w jakiś sposób przypominała moją mamę. Wiedziałem, że był właścicielem średniej wielkości przedsiębiorstwa spedytorskiego Simola Oy, w którym pracowała moja mama. Wiedziałem, że mama siedziała na zebraniach prowadzonych przez Saarinenów. Wiedziałem, że spotykała się z kimś, kto chciał pozostać anonimowy. Wiedziałem to i owo o życiu Henrika Saarinenów, o jego zwyczajach i nawykach. Wiedziałem, że ma swoje ciemne strony, ale nie miałem na to żadnych dowodów.

Henrik Saarinen zniknął z życia publicznego.

Przemiana z lwa salonowego w żyjącego w cieniu inwestora, który z ukrycia pociąga za sznurki, odbyła się w dwóch etapach. Najpierw publicznie wystąpiła młoda kobieta, oskarżając Saarinenów o brutalne potraktowanie. Pani znana głównie z reality show opuściła nocny klub w towarzystwie mojego szefa i dwu osób płci żeńskiej. Wszyscy udali się do jego helsińskiego mieszkania. Tam, pod adresem Tehtaankatu 5, coś się wydarzyło. Pozostałe kobiety opuściły gościnnie, a ta młoda została z Saarinenem sam na sam. Według jej późniejszej relacji zachowanie Saarinenów całkowicie się zmieniło. Zdarł z niej ubranie, bił ją pasem i zmusił, by padła przed nim na kolana i kazał jej lizać jego buty. Kobieta wyszarpała się z uchwytu, uderzyła go nocną lampką i uciekła na ulicę. Swoją historię opowiedziała natychmiast plotkarskiej gazecie, a później wycofała oskarżenie. To zdarzenie miało jednak wpływ na Saarinenów. Na zdjęciu miał podbite prawe oko, na spuchniętym policzku widniał niemal przezroczysty plaster, a pod spodem ciągnął się ciemny szereg szwów. Ujęcie świadczyło o tym, że wstrząsu doznała nie tylko powierzchowność.

Drugi zwrot nastąpił później, na krótko przed zniknięciem Tanji Metsäpuro. Stary, zaufany człowiek Saarinenów, dyrektor generalny jednej z firm należących do inwestora, dobry przyjaciel, zrezygnował z piastowanej funkcji i ruszył własną drogą, która doprowadziła go do Niemiec. Obaj odmówili komentarzy w tej sprawie. Publicznie nie padło ani jedno słowo na temat przyczyn rozstania. Po tej

historii Saarinen całkowicie zniknął z nagłówek gazet.

Patrzyłem w noc i myślałem, że Henrik Saarinen śpi w najlepsze jakieś sto metrów ode mnie, podczas gdy ja czuwam. Po dwudziestu latach znalazłem się o rzut kamieniem od mężczyzny, który mógł odpowiedzieć na moje pytania. Musiałem tylko wymyślić, w jaki sposób zapytać, i zrobić wszystko, co będzie konieczne, by otrzymać odpowiedzi.

Chciałem odnaleźć mamę. Chciałem się z nią pożegnać. Chciałem wiedzieć, co stało się w ten październikowy wieczór dwadzieścia lat temu i dlaczego. Chciałem odpowiedzi.

Ból wspiął się po ramionach i karku do skroni. Rozmasowałem je lekko. Postanowiłem wstać, wziąć aspirynę, położyć się i poczekać, aż zmorzy mnie sen – choćby miały mi się przyśnić koszmary. Opuszkami palców wykonywałem koliste ruchy po bokach głowy, dlatego nie usłyszałem skrzypienia desek, zanim kroki nie dotarły do moich drzwi. Usłyszałem uprzejme, krótkie pukanie. Spojrzałem na zegarek wbudowany w kuchenkę mikrofalową. Czerwone przerywane linie układały się w 00.51. Wstałem z krzesła i podszedłem do drzwi. Bez zapalania światła, bez pytania „kto tam” – otworzyłem. I tak wiedziałem.

Amanda stała na tle jasnej gwiazdzistej nocy, z twarzą ukrytą w cieniu, i spytała:

– Zgadnij, skąd wiem, że nie śpisz?

– Nie mam bladego pojęcia.

– Spotkałeś się dzisiaj z tatą.

Cofnąłem się do środka.

– Chcesz herbaty? Nie mam nic mocniejszego.

– Filiżanka herbaty wystarczy.

Weszła i stanęła na środku pokoju. Przeszedłem do maleńkiej kuchni, napełniłem czajnik i włączyłem. Wskazałem Amandzie drewniane krzesło po drugiej stronie prostokątnego stołu. Usiadła. Miała na sobie czarne dzinsy rurki i czarną skórzaną kurtkę, a do tego adidas.

– A więc tym się zajmujesz – powiedziała Amanda. – Każdej nocy przesiadujesz w ciemności?

– Włącznik światła jest za tobą.

– Tak jest dobrze.

Czajnik szumiał, jakbym przy uchu miał tuzin kaloryferów. Z jednej szafki wyjąłem kubek, z drugiej paczkę herbaty i położyłem je na stole przed Amandą. Rozejrzała się. Najwyraźniej jej oczy przyzwyczyły się do mroku i widziały to samo co ja: pokój z kuchnią, prosty wystrój, sterty książek i mój niewielki dobytek. Znowu spojrzała na mnie.

– Ponuro tu.

– Nie urządziłem mieszkania w stylu magazynów ilustrowanych o wystroju wnętrz.

W świetle gwiazd zobaczyłem jej oczy. Błyszczały. Prawą rękę położyła na stole i palcami wymacała pudełko herbaty, jakby chciała się upewnić, że pakunek naprawdę się tam znajduje. Wciąż stałem w przejściu do kuchni i czekałem, aż woda się zagotuje.

– Zdarza mi się wypić za dużo wina... Te wszystkie historie. Bzdury po pijanemu. Wyrobiłeś sobie o mnie złe zdanie.

Woda bulgotała. Wziąłem czajnik i napełniłem obydwie kubki po brzegi. Wznosząca się para była niebieska w świetle gwiazd, niemal można jej było dotknąć. Miałem ochotę schwycić ją, otworzyć pięść i dokładnie obejrzeć.

– Nie przejmuj się – pocieszyłem ją. – W ogóle się nad tym nie zastanawiam.

– To pewnie nie wygląda najsmakowiej. Że przychodzę tutaj w środku nocy.

Zanurzała przez chwilę torebkę herbaty w swoim kubku, potem wyjęła ją na spodek, który popchnąłem przez stół w jej kierunku. Amanda szurała kubkiem po blacie, para nie odstępowała go jak wierny pies.

– Na pewno uważasz, że moje życie jest dość żałosne – powiedziała.

– Nic nie wiem o twoim życiu.

– Oprócz tego, że wiesz wszystko. Przecież ci opowiedziałam. Cały dzień mnie to męczy. I nie tylko to. Jest jeszcze coś.

– Zauważyłem, że rano wcześniej wyjechałaś.

Szaroniebieskie oczy Amandy w ciemnej oprawie makijażu patrzyły na mnie. W środku nocy wyglądało to oczywiście idealnie, jej czarne włosy były gładkie i błyszczące. Patrząc na nią, zrozumiałem, co wydarzyło się na brzegu. Dlaczego stałem na pomoście w podmuchach zimnego wiatru, w deszczu i gapiłem się w morze. Z tego samego powodu otworzyłem przed chwilą drzwi i wpuściłem ją do środka.

– Pojechałam do Helsinek, myślałam, że tam spędzę weekend. A przynajmniej to, co z niego jeszcze zostało. Potem zmieniłam zdanie. – Łyknęła herbaty. – Nic dzisiaj nie piłam.

– W porządku.

– Chociaż z niczego ci się nie muszę tłumaczyć.

– Nie musisz.

Amanda oparła się na krzesło, skrzyżowała dłonie na piersiach, a twarzą zwróciła się w stronę okna. Zrobiło się tak cicho, że nawet stłumione brzęczenie lodówki brzmiało jak warkot koparki.

– Wierysz w przypadki? – spytała.

– Zależy, w jakiej sprawie.

Uśmiechnęła się i znów na mnie spojrzała. Opuściła ręce na blat stołu.

– Ja zawsze uważałam, że na to pytanie odpowiedź może brzmieć tylko „tak” albo „nie”.

– Jeżeli muszę wybierać, to nie wierzę. Nie wierzę w przypadki.

– Ja też nie.

Wstała z krzesła, ja też się podniosłem. Spotkaliśmy się na środku pokoju. Jej usta smakowały solą, szminką i pozostałym po gumie do żucia mentolem. Oddech miała drżący i ciężki. Amanda była boska, a mimo to czułem, że robię coś złego.

Sierpień 1993

Jest pogodny dzień, niebieskie, bezchmurne niebo, słońce świeci wysoko. To musi być sobota, ponieważ w inne dni do biblioteki idziemy dopiero wieczorem, gdy mama wróci z pracy. Oprócz nas jest tam bibliotekarka, która tylko siedzi za biurkiem i gapi się w absolutnym bezruchu na drzwi. Kiedy się zdejmie z półki książkę, w powietrzu tańczą przez chwilę, niczym małe gwiazdki, pyłki kurzu. Ale w mgnieniu oka znikają gdzieś bez śladu.

Przed mamą leżą książki, duże i małe, są także gazety. Mama siedzi w środku strumienia światła i wygląda na zdenerwowaną. Jeszcze jej takiej nie widziałem. W bibliotece panuje cisza jak makiem zasiał, więc kiedy mama przerzuca prędko kartki i co chwilę bierze to książkę, to gazetę, urasta to do wielkiego hałasu. Mama zakłada gęste kasztanowe włosy za uszy i robi wrażenie bardzo skupionej. Wskazującym i środkowym palcem prawej ręki przebiega po stronie gazety i książki, jakby coś zaznaczała niewidzialnym długopisem.

Obserwuję ją z daleka, spomiędzy regałów, a potem podchodzę bliżej. Ma na sobie jasnoniebieską bluzkę, która błyszczy w oślepiającym świetle. Oczy mamy są szeroko otwarte, a jej mina zdradza, że jednocześnie coś podejrzewa i że znalazła to, czego szukała.

Co robisz? – pytam.

Nie odpowiada, tylko czyta dalej i wykonuje niewidzialne notatki. Powtarzam pytanie. Teraz mama się otrząsa. Patrzy na mnie, ale myślami jest jeszcze w gąszczu książek i gazet. Sama to zauważa. Przeciera parę razy oczy i uśmiecha się.

Szukam jednego artykułu.

Jakiego artykułu?

W gazetach na stole są nudne ryciny pełne czarnych łuków, które wyglądają, jakby ich autorowi kilka razy mocno zatrzęsła się ręka. Wiem, że to statystyki i wykresy. Wiążą się z pracą mamy. Jedna z gazet jest inna. To kolorowe pismo pełne dużych zdjęć ludzi. Niektórzy z nich trzymają kieliszki. Wszyscy się uśmiechają. Zęby niektórych wydają się tak białe, jakby w miejscu, gdzie powinny być usta, wycięto dziurę, a pod spodem znajdowała się kartka w kolorze najczystszej na świecie bieli.

Taki jest ten artykuł mamy.

Jej głos brzmi w bibliotece szczególnie. Jest jednocześnie cichy i wyraźny. Znów patrzę na stronę z kolorowego pisma.

Znasz ich? – pytam, oglądając ludzi z kieliszkami w rękach, których bawi i śmieszy coś, czego ja nie widzę.

Początkowo chyba nie rozumie mojego pytania. Potem zauważa, na co patrzę, i podąża za moim wzrokiem.

O Boże, nie, mówi, zamyka gazetę i widzę zdjęcie na okładce. Jest na nim mężczyzna w ciemnym garniturze i czerwonym krawacie, ma opaloną twarz i okrągłe okulary. Mężczyzna spogląda w obiektyw, jakby znał myśli czytelników.

Mama patrzy na pismo, jakby oczekiwała, że mężczyzna coś powie. Ale on nic nie mówi. Światło spływa na mamę jak promień.

Mam u siebie ten numer. Naturalnie nie ten egzemplarz, który czytała, ale to bez znaczenia. Ważne, że

wydanie ukazało się w sierpniu dziewięćdziesiątego trzeciego roku, a tajemniczo uśmiechniętym mężczyzną z okładki był Henrik Saarinen.

Wrzesień 2013

Poduszka pachniała nią; pozostało w niej wgniecenie po głowie Amandy i czarne włosy. Wstałem i otworzyłem okno. W niedzielny, jesienny poranek ostre, chłodne powietrze wpadało do środka przez wąską szparę jak przez ustnik. Słońce już wzeszło, a część nieba widoczna z mojego okna była intensywnie niebieska. Nastawiłem ekspres do kawy i wróciłem do łóżka. Świeże powietrze zalewało pokój, panowała cisza, byłem sam.

W niedziele miałem wolne i mogłem ten dzień wykorzystać, jak tylko chciałem. Nie to, żeby ktoś spoza pracy oczekiwał mnie gdzieś w pozostałe dni. Mój telefon dzwonił bardzo rzadko, najczęściej w sprawach dotyczących konserwacji i napraw w majątku. Właściwie nie miałem przyjaciół, a przynajmniej nie takich, z którymi wisiabym na telefonie lub regularnie się spotykał.

Złapałem się na myśleniu o Amandzie. O tym, jak bardzo jej pragnąłem, chociaż nie chciałem się do tego przed sobą przyznać, jak zaspokoilem swoje potrzeby w najbardziej nieodpowiedniej chwili i z najbardziej niewłaściwą osobą.

Najpierw dziesięć lat wytężonej pracy, a potem – w ciągu jednej nocy – świadome, tysiącokrotne pogmatwanie spraw. Dziesięć lat żyłem całkowicie skoncentrowany na osiągnięciu celu, wyrzekając się wielu rzeczy, podejmując ryzyko i zabezpieczając plecy. A potem, jednej jasnej gwiazdzistej nocy robię coś, co może zawalić całą konstrukcję.

Amanda mnie fascynowała, pociągała. Na przekór zdrowemu rozsądkowi, dokładnie w ten sam sposób, który już wiele razy doprowadzał mnie do cierpienia: niewłaściwe kobiety, niewłaściwe wnioski, żalotne rezultaty. Amanda była taką słabością, przy której myślenie wyłączało się, a ciało swoim szumem i grzmieniem zagłuszało wszystko, co dyktował umysł i intuicja.

Wstałem i nalałem sobie kawy.

Wczorajsze spotkanie z Henrikiem Saarinenem nie dawało mi spokoju. Próbowałem je jakoś uporządkować, ustalić, co naprawdę zostało powiedziane, co schowało się między słowami, w spojrzeniach.

Ale pamięć tak nie działa. Sprawy nie układają się w głowie w logiczne ciągi jak film. Mógłbym go oglądać i odtwarzać wciąż na nowo, odnajdywać nowe znaczenia, pojmować związki i możliwości. Jeżeli nawet raz się to uda – jeśli raz zobaczy się minione zdarzenia w ich rzeczywistej kolejności, nic nie dodając i nic nie ujmując – można mieć pewność, że więcej się to nie powtórzy. Za drugim razem pamięć wciska nowe skojarzenia, z jakiegoś innego wspomnienia, z zupełnie innego czasu, i układanka znów leży rozsypana na kawałeczki na podłodze.

Coś jednak widziałem. Coś takiego, co potwierdziło, że jestem na właściwym tropie, że to, co już dziesięć lat temu podpowiadał mi instynkt, przynajmniej w pewnym stopniu jest prawdą. Ręce Henrika Saarinen, głos, mowa ciała. Jego przeszłość i mama zafascynowana jego osobą. Zainteresowanie, którego charakteru i głębokości mogłem dowieść. No i oczywiście przeszłość mamy. Wszystko prowadziło do myśli, która nieustannie mi towarzyszyła i której nie chciałem dokładnie ubrać w słowa, chociaż kryła się za nią jedna z przyczyn, dla których się tutaj znalazłem: tu ją odnajdę, na tej posiadłości, pochowaną w lesie lub utopioną w morzu.

Pomysł ten był w takim samym stopniu okropny, co pocieszający. Zamknąłem okno i wylałem

z dzbanka do zlewu resztkę zimnej kawy. Patrzyłem, jak czarny niczym smoła płyn tworzy własny wir w środku czystego strumienia wody, który płynął z odkręconego kranu, i jak uparcie trzyma się swojego koloru, zanim całkowicie zniknie.



Na brzegu poszukałem najbardziej osłoniętego miejsca. Morze migotało tak bardzo, że nie dało się na nie patrzeć dłużej niż przez parę sekund. Zamknąłem oczy, zwróciłem się do słońca i starałem się jak najbardziej odprężyć. Ciepło i światło spływało miękko i powoli na moją twarz, jakby wylewała je czyjaś pewna, spokojna ręka. W pobliżu szumiał las, a małe fale rozbryzgiwały się o brzeg. Jeśli jednak sądziłem, że ponure myśli zostaną w mojej małej kawalerce, myliłem się.

Mój umysł kręcił się wokół wydarzeń ostatniej doby, szukał w nich znaczeń, wyjaśnień i związków z tym, co przyniosą kolejne dni. Mimo że siedziałem pod błękitem nieba, nad brzegiem bezkresnego morza, w ciepłych promieniach słońca, znajdowałem się w ciemności, w ciasnym pokoju. Nic nowego. Tkwiłem tam już od lat i pragnąłem się stamtąd wydostać. Nabrałem do płuc powietrza, otworzyłem oczy i na oddalonym ode mnie o pięćdziesiąt metrów pomoście zobaczyłem znajomego mężczyznę.

Kierowca Markus Harmala zanosił rzeczy do czternastometrowego jachtu motorowego. Najwyraźniej w planach była wycieczka po pięknym jesiennym morzu. Przywiózł bagaże na pomost na wózku platformowym i wyładował je do kabiny oraz na pokład motorówki. Przyglądałem się mu i rozpoznawałem znajome ruchy. Ponieważ już od lat śledziłem Henrika Saarinena, obserwowałem także Markusa Harmalę. Można powiedzieć, że tak naprawdę podążałem za Harmalą, bo to on prowadził samochód.

Kiedy tak patrzyłem na niego teraz, po długim czasie, nie wyglądał już jak zło konieczne, irytujący dodatek do Henrika Saarinena. Wyglądał na kogoś, kto przesiedział setki, tysiące godzin w towarzystwie swojego szefa, zamknięty z nim w samochodzie. Wyglądał na kogoś, kto zna Henrika Saarinena.

Wstałem z kamienia i poszedłem na pomost. Harmala nie zauważył mnie. Zdjął z wózka czarną, plastikową skrzynkę, wskoczył do łodzi i zniknął w kabinie. Czekałem. Po chwili wyszedł na pomost.

– Dzień dobry – powiedziałem i wyciągnąłem rękę. – Aleksis Kivi, dozorca.

Wyglądał jak kierowca bogacza. Był bezbarwny i schludny. Niebieskie oczy, blond włosy z przedziałkiem po lewej stronie i gładki, mały podbródek. Przeciętny wzrost, szczupła sylwetka. Zauważyłem, że neutralny, modny garnitur leżał na nim, jakby Harmala całe życie dążył do tego rozmiaru i wreszcie udało mu się do niego dorosnąć. Był jakieś pięć lat starszy ode mnie.

– Markus Harmala – powiedział. Uścisk dłoni był szybki i uprzejmy. Nie dodał, że jest kierowcą. Może też miał dzisiaj wolne.

– Wybieracie się na długą wycieczkę? – spytałem.

Zerknął na łódź. Na prawym policzku miał jasnobrązowe znamię wielkości i kształtu główki śruby. Podkreślała neutralność – przezroczystość – innych jego cech.

– Czemu?

– Tyle prowiantu. Czekasz na Henrika?

– Na szefa? – spytał, jakby był autentycznie zaskoczony. Nie trwało to jednak długo. Szybko odzyskał pewność siebie. – Nie, czekam na Amandę.

– Płyniecie we dwójkę – usłyszałem samego siebie i pojąłem, że znów oddaję się we władanie temu samemu impulsowi co zeszłej nocy. Jeszcze tylko brakowało, żebym był zazdrosny o Amandę i nie przyznawał się do tego przed samym sobą.

– Wszystko na to wskazuje – powiedział Harmala. Coś się stało. Coś w jego oczach się zmieniło.

A może to jego twarz zamarła na moment. – Jeżeli nie pojawią się niespodziewani goście.

Na wózku stał jeszcze jeden karton z różnymi gatunkami win – zarówno białych, jak i czerwonych. Przez chwilę Harmala nic nie mówił. Niebieskie oczy były płaskie, brakowało im głębi. Wreszcie się odezwał:

– To ty jesteś tym nowym dozorcą. Ach, prawda. Jakoś początkowo nie słuchałem albo nie skojarzyłem. Spóźniony zapłon. Nie zajarzyłem. Sorry. Byłem taki zamyślony. – Powiedział to tonem, który nie przekonywał słuchacza o prawdziwości jego słów. Ruchem głowy wskazał łąd. – Jak ci się podoba? To miejsce.

Dlaczego tutaj każdy zadaje to samo pytanie?

– Jestem tu dopiero tydzień. Jest ciekawie, z wielu powodów.

– Tydzień? – zapytał Harmala i spojrzał na mnie, jakby coś liczył. – Myślałem... No, dobra. Witamy. Ja tu jestem od ponad dziesięciu lat. Od dwa tysiące drugiego.

– Więc znasz dobrze to miejsce.

Harmala dźwignął pudło z wózka, butelki zadzwoniły.

– Jak własną kieszeń – odparł.

– To wspaniale. Może od czasu do czasu zapytam cię o radę albo poproszę o pomoc w jakiejś sprawie.

– Jasne – rzucił bez przekonania, odwrócił się, wszedł do łodzi i zniknął za ciemnymi szybami. Wzdłuż całego brzegu gięły się na wietrze korony drzew. Nie licząc szumu fal, było całkiem cicho. Zerknąłem na łódź. W odbiciu szyb zobaczyłem siebie, pomost i morze. Najważniejsze było jednak wrażenie.

Obserwowano mnie.

Wiatr znów się ochłodził.

Wkrótce Harmala wrócił na pomost. W jasnych dzinsach, białych trampkach i granatowej wiatrówce od Henri Lloyd'a wyglądał jak członek klubu żeglarskiego.

– Mówiłeś, że jak się nazywasz?

– Aleksis Kivi.

– Naprawdę? Czy to nie tak jak ten pisarz?

– On nazywał się Aleksis Kivi. Moja mama uwielbiała czytać i ceniła sobie naszą fińskojęzyczną literaturę narodową.

– Czy my się już kiedyś nie spotkaliśmy?

– Nie.

Nie musiałem kłamać. Nigdy się nie spotkaliśmy. Mimo że całymi kilometrami śledziłem go zarówno samochodem, jak i piechotą, jeżeli tylko był w towarzystwie Henrika Saarinen'a. Harmala złapał rączki pustego wózka. Zamyślił się na chwilę.

– Kto cię rekrutował?

– Elias Ahlberg.

– A tak, oczywiście. Muszę iść po resztę rzeczy. Miło było cię poznać. Do zobaczenia.

Koła wózka stuknęły przez chwilę o deski pomostu, po czym ucichły, kiedy Harmala wy dostał się na brzeg. Tam ruch odbywał się bezgłośnie.

– Cześć – odpowiedziałem.



Przez godzinę przechadzałem się po lesie i terenie majątku. Kiedy wróciłem do dworu, do swojego

mieszkania, posprzątałem i nastawiłem pranie. Leżałem na łóżku i czytałem. Od czasu do czasu wyglądałem przez okno. Nie podobały mi się moje rozważania, to, co czułem, i dookoła kogo kręciły się moje myśli.

Pod wieczór słońce wypalało się na horyzoncie w różnych odcieniach czerwieni. Nieboskłon był przez moment jasnoczerwony, niemal w jednej chwili przeszedł w ciemny fiolet i ostatecznie zgasł.

Zasnąłem o wpół do jedenastej.



Henrik Saarinen i Markus Harmala wyjechali w poniedziałek wcześniej rano. Nigdzie nie widziałem Amandy. We wtorek około południa Enni wsiadła do swojej niebieskiej skody, powiedziała, że wróci w sobotę wieczorem, i wyjechała. Wykonywałem swoją pracę pod czystym niebem, w bezwietrznej jesiennej aurze, a kolację zjadłem w kuchni we dworze. Potem przeszedłem przez kolejne ciche pokoje, aż dotarłem do biblioteki. Zapaliłem lampkę, obejrzałem książki na półkach i usiadłem w masywnym skórzanym fotelu. Tapicerka była brązowa, wytarta i miejscami miękka jak tkanina. Szybko rozgrzała się pod wpływem mojego ciepła. Kiedy mój telefon zadzwonił, wyjąłem go z kieszeni.

– Cześć, Aleksy.

Głos policjanta brzmiał znajomo i zarazem z oddali. Było w nim coś poruszającego. Wrażenie przypominało nieco wspomnienie, o którego istnieniu się wie, ale nie chce się go wyciągać na światło dzienne, żeby się nie stłukło, nie okazało innym, niż jest.

– Cześć.

– Dzwonię nie w porę? – spytał Ketomaa.

– Ależ skąd – powiedziałem. – Akurat leżę do góry brzuchem.

Odchrząknął.

– Dawno się nie widzieliśmy. Parę miesięcy. Jak się masz?

– Całkiem nieźle.

– Całkiem nieźle? I to wszystko?

– Tak – odparłem.

– Na pewno? – dopytywał się i nie miałem wątpliwości, o co mu chodzi.

Zastanawiałem się, co by powiedział, gdybym zdradził mu, gdzie pracuję. Albo że siedzę w bibliotece w posiadłości Henrika Saarinen. Odkąd tu przybyłem, często myślałem, że w pewnym momencie Ketomaa będzie musiał dowiedzieć się, gdzie jestem i co udało mi się ustalić. Tylko najpierw musiałem mieć w ogóle jakieś wyniki. Wcześniej nie miało sensu się z niczym zdradzać.

– Przyzwyczyłeś się już do życia emeryta?

– Ma swoje zalety. Chociaż początkowo nie wiedziałem, co mam, do diabła, zrobić z czasem, ale jakoś mi się te dni wypełniają. A może po prostu wszystko robię wolniej. Jedna wizyta u fryzjera zajmuje mi cały dzień. Ale jeżeli wziąć pod uwagę wszystko, co się zdarzyło, powinienem być wdzięczny, że mam po co chodzić do fryzjera.

– No właśnie – przytaknąłem.

– Zresztą nie zrezygnowałem tak całkiem z dochodzeń – wyznał. – Mały trening utrzymuje umysł w formie. Obecnie jestem wolnym strzelcem. Przyjmuję zlecenia firm ubezpieczeniowych i osób prywatnych.

Milczałem, a on ciągnął:

– Głównie jest to śledzenie niewiernych żon i mężów oraz przyłapywanie ludzi na popełnianiu oszustw ubezpieczeniowych, ale traktuję to jako hobby. No, może hobby to niewłaściwe słowo, skoro za

tę pracę płacą mi więcej, niż zarabiałem jako policjant.

Ketomaa zamilkł na chwilę. Może czekał, aż coś powiem.

– Brzmi, jakby wszystko układało się dobrze – skomentowałem. – Cieszę się.

Słuchałem i przebiegałem wzrokiem po rządach książek. Moją uwagę przyciągnął cienki tomik poezji.

– Czy nadal wykonujesz roboty stolarskie? – usłyszałem pytanie.

Wstałem z fotela i zrobiłem dwa kroki w kierunku regału. Mimo że półki pękały w szwach, panował na nich idealny porządek. Na wysokości mojego czoła stały dziesiątki cienkich tomików.

– Halo? – odezwał się Ketomaa.

Nie odrywałem oczu od egzemplarza z niebieskim grzbietem. Wyciągnąłem po niego rękę, a znaczenie własnych słów zrozumiałem dopiero, kiedy wyszły z moich ust.

– Jestem dozorcą.

Zatrzymałem się. Ketomaa milczał przez chwilę.

– Dozorcą? – zapytał.

Jak to możliwe, że na chwilę straciłem wątek? Gdzie byłem myślami? Czuję to samo co przed laty przed telewizorem i parę dni temu naprzeciwko Saarinen.

Ciemny pokój, z którego musiałem się wydostać.

Złapałem tomik poezji. Ręka mi się trzęsła. Niewiele większa niż portfel książeczka spadła z płaskim na podłogę.

– Wszystko w porządku, Aleksis?

Podniosłem ją z podłogi.

– Mówiłeś, że jesteś dozorcą – przypomniał mi Ketomaa. – Mogę zapytać gdzie?

W jego głosie pojawił się zbyt dobrze mi znany ton. Coś między besztaniem a pouczeniem, więcej niż chcę-tylko-twojego-dobra. Odłożyłem książeczkę na stół. Pod żadnym pozorem Ketomaa nie mógł się dowiedzieć o miejscu mojego pobytu. Wiedziałem, co mógłby zrobić. Przyjechać tutaj i wszystko zniweczyć, i to w moim dobrze pojętym interesie, żeby mi pomóc.

– Przepraszam – powiedziałem. – Zamyśliłem się. Myślałem o takim jednym dozorczy, z którym muszę się skontaktować.

Przez chwilę milczał.

– Aleksis, ja już prawie czterdzieści lat zarabiam na chleb, słuchając, jak ludzie kłamią. Znam wszystkie warianty. Konfabulacje, kłamstwa w dobrej wierze, naginanie faktów, kłamanie na wszelki wypadek. To ostatnie jest w twoim przypadku wykluczone. Co zostaje?

Skoncentrowałem się.

– To prawda – powiedziałem. – Robię to samo co wcześniej. Prace stolarskie. Naprawiam i remontuję.

W telefonie zabrzmiał cichy szum, jakby z koła schodziło powoli powietrze.

– Niech będzie – dał w końcu za wygraną. – Robisz to samo co wcześniej. Jasne.

Okładka książki wyglądała znajomo, pamiętałem ją z nocnego stolika mamy. Oczywiście poezja Eino Leina znajdowała się w niemal każdym domu, ale to wydanie było rzadsze. Okładka i rogi były podniszczone, wydawało mi się, że je rozpoznałem.

– To samo co wcześniej – potwierdziłem.

Dlaczego moje palce drżały? Otworzyłem wąski tomik i przejrzałem go. Znajome podkreślenia znajomym, cienkim czarnym długopisem.

*Kto jednego człowieka kocha,
wszystkich kocha.*

*Kto raz o sobie zapomnieć może,
zdobędzie szczęście marzeń.*

– Aleksi?

– Tak?

– Czy nie powinniśmy się spotkać?

Wróciłem na pierwszą stronę.

Czarny cienki długopis.

Sonja Merivaara.

– Aleksi?

Wyłączyłem telefon, usiadłem w fotelu. Otworzyłem książkę na chybił trafił. Pojedyncze podkreślenie połowy wersu.

...czarne jak moje serce...

Zaschło mi w ustach, odebrało mi mowę.



Jechałem stanowczo za szybko. Dopiero co kupione volvo V60 idealnie trzymało się drogi przy stu osiemdziesięciu. Oba pobocza zasnuła ciemna noc, a oświetlona jezdnia była niczym tunel w kosmosie.

Wiedziałem, że w grę mógł wchodzić czysty przypadek. Rzeczy mamy, wliczając w to książki, zostały poddawane i zniknęły. Można było założyć, że część trafiła do antykwariatów, a stamtąd do nowych właścicieli. A ponieważ minęło już dwadzieścia lat, znaleziona przed chwilą książka mogła przejść z rąk do rąk wiele razy.

Zerknąłem na tomik leżący na przednim siedzeniu. Jedna z ulubionych książek mamy. Nawet ją podpisała. Pismem, które rozpoznałbym wszędzie, o każdej porze, po jednym słowie. Przypomniałem sobie rozmowę z Amandą.

Czy wierzysz w przypadki?

Nie, a już na pewno nie na tym etapie, nawet jeżeli kiedyś choć trochę wierzyłem.

Wyprzedziłem dwie ciężarówki.

Moje ręce już nie drżały. Oczy wyschły. Noga na pedale gazu była spokojna i pewna.

Wiedziałem, że Ketomaa wkrótce znów się ze mną skontaktuje. Wiedziałem, że chce dobrze. Zaszedłem najdalej jak do tej pory, bliżej niż kiedykolwiek, ale nadal stąpałem po niepewnym gruncie i nie miałem dowodów, które przekonałyby kogokolwiek oprócz mnie. Niemal widziałem oczami wyobraźni zafrasoną, zmęczoną twarz policjanta, jeśli poszedłbym na spotkanie z nim i wyciągnął z kieszeni tomik poezji podpisany przez moją mamę. Prawie słyszałem jego komentarz: Facet zbiera książki. To nie przestępstwo.

Wyhamowałem, żeby nie wjechać w autokar. Wyprzedzenie samochodu osobowego zajęło autobusowi długie pół minuty. Kiedy wreszcie ominął go i zawinął, niczym statek, na swój pas, znów wcisnąłem gaz do dechy.

Czerwiec 2013

Na kilka miesięcy przed rozpoczęciem pracy w posiadłości Henrika Saarineną spotkałem się ze starym policjantem. Już dwa razy zaproszono mnie na rozmowę kwalifikacyjną do Eliasza Ahlberga i wyglądało na to, że dostanę tę robotę. Nie chwaliłem się tym na razie. Mieliśmy ważniejsze sprawy do obgadania. Przynajmniej moim zdaniem.

– W odstępach dziesięciu lat? – spytał Ketomaa.

– Moja mama zaginęła w dziewięćdziesiątym trzecim – powiedziałem. – Tanja Metsäpuro zaginęła i została zamordowana w dwa tysiące trzecim.

Spojrzał w bok. Przechadzaliśmy się przy letniej pogodzie po parku Kaisaniemi. Wśród bujnej czystej zieleni liści myśl, że park ten stanowił centrum gwałtów i rozbojów, wydawała się absurdalna.

– Od czego by tu zacząć – odezwał się Ketomaa. – Może od tego, że nie sposób było udowodnić żadnego związku między tymi dwiema sprawami. A zanim coś powiesz, dodam, że oczywiście rozumiem, że ty coś takiego tu widzisz. Twoja mama i Tanja Metsäpuro miały tyle samo lat, podobnie wyglądały i znajdzie się jeszcze parę słabych ogniw, które łączą te dwa przypadki. Od tego jednak jeszcze długa droga do wspólnego sprawcy. Nie mówiąc o tym, że ten hipotetyczny sprawca działałby z jakąś regularnością. Samo zjawisko należy wyłącznie do teorii...

Znow spojrzał w bok.

– A ty wyglądasz, jakbyś nie zdradził mi wszystkiego – powiedział.

Doszliśmy do małego pagórka, z którego rozciągał się widok na drugą stronę zatoki. Słońce błyszczało niebiesko, promienie odbijały się w oknach budynków na drugim brzegu niczym wystrzelone z dział. Policjant przysiadł na ławce, a ja poszedłem w jego ślady. Dzieliło nas pół metra pełne letniego wiatru i pachnącego morzem powietrza.

– Próbowałem ci powiedzieć. Jest rok dwa tysiące trzynasty. Coś się wydarzy.

– Ponieważ ty masz takie przecucie – powiedział cicho Ketomaa.

– Właśnie.

– Mógłbyś jeszcze zdradzić dlaczego?

Oparłem się na ławce. Ketomaa trzymał się faktów, konkretów. Nie zamierzałem mu mówić, że w tych dziesięcioletnich odstępach wyczuwam rękę losu, podobnie jak wtedy, gdy zobaczyłem w telewizji opalone na złoto policzki Henrika Saarineną. Wolałem ostrożnie dobierać słowa.

– Potrzeba czasu, żeby znaleźć właściwą osobę. Kiedy się ją znajdzie, nie można jej od razu zabić. Najpierw trzeba sprawić, by zaufała i uwierzyła, że mają słodką, wspólną tajemnicę. Trzeba sprawić, by się zakochała i miała nadzieję. Trzeba ją podbić. Żeby kiedy się ją wreszcie zabije, zabrać jej wszystko. To jest spełnienie, którego Henr... kimkolwiek jest ten ktoś... szuka.

Mówiąc to, zwróciłem się w stronę policjanta. Potrafił słuchać i patrzeć tak, że rozmówca miał jedyne w swoim rodzaju wrażenie, jakby ktoś wreszcie słuchał każdego leżącego na sercu słowa. To była umiejętność policjanta starej daty. Równie dobrze Ketomaa mógł myśleć o krzyżówce z porannej gazety, a przy tym wyglądał, jakby myślami był tu i teraz.

– Te dziesięć lat ciszy między zniknięciem mojej mamy a zamordowaniem Tanji to nie przypadek. Sprawca jest systematyczny i czerpie z tego przyjemność. To mężczyzna, który stawia sobie cele i osiąga

je, trzyma się grafiku. Nacisk, żeby wyrobić się w terminie, to część przyjemności. Zniknięciu Tanji towarzyszyło ciśnienie, które na wiele sposobów uwidocznia się w samym czynie.

Oczy policjanta były jak dwie miękkie, niebieskie poduszki.

– Wiesz, o czym mówię. Na pewno pamiętasz zdarzenia z Hyvinkää w latach dziewięćdziesiątych – kontynuowałem swój wywód. – Nigdy nie złapano sprawcy. Świadczy to o tym, że nawet takie rzeczy mogą uchodzić na sucho. Zwłaszcza że ze zniknięciem mojej mamy wiąże się ten sam fakt co w tej sprawie z Hyvinkää. Ciało nie zostało znalezione. Natomiast przykładem uzależnienia od działania pod presją czasu może być ten koleś z Oulu, który zgwałcił i udusił w ten sam sposób trzy kobiety, zawsze prawie natychmiast po odsiedzeniu poprzedniego wyroku. Nieznany sprawca, o którym mówię, zabójca mojej mamy i Tanji, to połączenie tych dwóch opisanych przeze mnie przestępców. Nie działa na ślepo i nie daje się złapać.

Ketomaa obrócił wzrok na zatokę. Podmuch wiatru zmarszczył powierzchnię wody.

– Widać, że dużo czasu poświęciłeś tej sprawie – odezwał się. – W obu przypadkach interpretacja jest w gruncie rzeczy poprawna.

Para kaczek zbliżała się do naszej ławki, kołysząc się równo jedna obok drugiej, zatrzymały się kilka metrów od nas, wyraźnie rozczarowane. Chyba zauważyły, że nie mamy chleba.

– Sprawca z Hyvinkää albo siedzi za coś innego, albo nie żyje – powiedział Ketomaa. – Inaczej pojawiłyby się nowe przypadki. To jest jasne. Koleś z Oulu to oczywiście maniak. Będzie gwałcił i zabijał, gdy tylko za kilka lat znów go wypuszczą. Nie trzeba być policjantem. Ani dogłębnie studiować sprawy, żeby przewidzieć, co się wydarzy. Wszyscy to rozumieją, i tyle. Problem z łączeniem tych dwóch przypadków polega na tym, że powstaje coś, co nie zgadza się z rzeczywistością. To tak, jakby z dwóch filmów wybrać ulubione sceny i spróbować je połączyć w ten sposób, żeby uzyskać film idealnie dopasowany do własnego gustu. A jednak zmontowane na nowo kawałki do siebie nie pasują.

– A co jeszcze zgadza się z rzeczywistością? Czego tu jeszcze brakuje? Jeżeli trzymając się znanych faktów, nie można wytłumaczyć zniknięcia mojej mamy i zabójstwa Tanji, to musi być coś, co z jakiegoś powodu nie przyszło jeszcze nikomu do głowy.

Ketomaa westchnął.

– W dziesięcioletnich odstępach? – zapytał.

– Jestem tego pewien.

Zmrużył oczy.

– Więc?

– Więc co?

– Mamy rok dwa tysiące trzynasty. Tylko mi nie mów, że nie zastanawiałeś się dalej nad tą sprawą.

Czy powinienem mu powiedzieć, że wkrótce rozpocznę pracę w posiadłości Henrika Saarinen? Czy powinienem mu powiedzieć o rosnącej we mnie pewności? O tym, że w głębi duszy wiedziałem, że w roku dwa tysiące trzynastym ktoś umrze z ręki mężczyzny, który zamordował moją mamę. Czy raczej umrze, jeśli ktoś tego nie powstrzyma.

Spojrzałem na zatokę i po raz pierwszy w życiu okłamałem starego policjanta.

– Nie zastanawiałem się nad niczym więcej prócz tego, o czym już ci mówiłem.

Wrzesień 2013

Do Helsinek jechałem zawsze jak do domu. Nic na to nie mogłem poradzić. Nie miało znaczenia, jak długo mnie nie było i skąd wracałem. Mijając przedmieścia stolicy, czułem się, jakbym coś przeżył. Co prawda uczucie to opuszczało mnie równie szybko, jak się pojawiało. Docierając do centrum, nie czułem już nic. To znaczy zazwyczaj nie czułem. Teraz było inaczej. Wzbierała we mnie radość, że wracam z daleka.

Minąłem stocznię i skręciłem w Tehtaankatu, zaparkowałem na zakazie i przeszedłem kilkaset metrów. W narożnym mieszkaniu na czwartym piętrze pod adresem Pietarinkatu 18 paliło się światło. Zrobiłem jeszcze kilka szybkich kroków w kierunku kamienicy, po czym się zatrzymałem. Stałem po stronie nieparzystych adresów i szukałem cienia, jak najciemniejszego zakątka. Przed budynkiem po drugiej stronie ulicy stał czarny range rover z alufelgami – własność Amandy.

Powietrze było przejmująco zimne, dochodziła północ. Zza rogu wyszła jakaś para, kobieta i mężczyzna, na oko czterdziestoletni, dobrze ubrani. Czułem na policzkach ich badawcze spojrzenia. Kiedy mnie mijali, na chwilę przerwali rozmowę i podjęli ją dopiero po oddaleniu się na bezpieczną odległość od stojącego w mroku faceta.

Patrzyłem do góry na palące się na czwartym piętrze światła. Zastanawiałem się, co robić, i myślałem o decyzji, którą podjąłem podczas jazdy samochodem: nie spuszczę już Saarineną z oka, wyciągnę z niego prawdę, choćby nie wiem co.

Od strony stoczni nadjeżdżał tramwaj, który nocą sunął po torach zaskakująco cicho, minął przystanek jak we śnie.

Drzwi do klatki schodowej się otworzyły. Wycofałem się głębiej na ścieżkę prowadzącą na podwórko i obserwowałem, jak Amanda Saarinen wychodzi na ulicę i kieruje się do samochodu. Zaraz za nią wyszedł mężczyzna; rozpoznałem Markusa Harmalę. Amanda miała na sobie czarną krótką sukienkę, a na nogach szpilki. Chociaż noc była zimna, ramiona zostawiła odkryte. Niemal biegła do auta, a Harmala podążał za nią.

Rozejrzał się. Do czarnych skórzanych butów włożył czarne spodnie od garnituru i śnieżnobiałą koszulę. Amanda grzebała w torebce. Co drugi krok był za długi, a co drugi za krótki. Harmala dogonił ją i powiedział do niej coś, czego nie usłyszałem. Zamachała torebką na wysokości głowy mężczyzny, ten zaś z łatwością zrobił unik i wydarł jej torebkę.

Sam zaczął w niej grzebać i najwyraźniej znalazł, czego szukał. Natychmiast schował rękę do kieszeni spodni. Rzucił torebkę Amandzie i coś powiedział. Nadal nie rozróżniałem słów, ale ona najwyraźniej tak. Jej ciało naprężyło się, wyprostowała się jak struna i stanęła pewnie na nogach, torebka była przedłużeniem ramienia i leciała niczym szybki prawy prosty boksera.

Harmala był równie zaskoczony szybkością i celnością Amandy jak ja. Kolejne uderzenie przyszło z backhandu. Torebka znów rąbnęła kierowcę w twarz, ale po raz trzeci nie dał się zaskoczyć. Lewą ręką złapał zbliżającą się torebkę i zatrzymał ją w powietrzu. Jednocześnie podniósł prawą rękę.

– Hej!

Krzyk wyszedł z moich ust, zanim zdążyłem się zastanowić.

Kierowca zatrzymał się i obrócił. Wyszedłem na ulicę. Amanda coś powiedziała, ale Harmala nie

dbał już o nią. Patrzył teraz na mnie. Zatrzymałem się kilka metrów od walczącej pary. Harmala patrzył w moją stronę.

– Dozorca – odezwał się. – A to ci niespodzianka! Co ty tutaj robisz?

– Przyjechałem po mosiężne nasadki.

Z bliska Amanda wydawała się podpita. Nie pijana, ale na pewno nie trzeźwa.

– Mosiężne nasadki – zdziwił się Harmala. – Jakie mosiężne nasadki?

– Nieważne, wezmę je innym razem – powiedziałem i skinąłem w stronę Amandy. – Wszystko w porządku?

Harmala nie dał się zwieść. Nawet nie mrugnął.

– Pytałem, co tutaj robisz.

Amanda patrzyła na mnie. Możliwe, że lekko się uśmiechnęła.

– Aleksi.

– Witaj, Amando – powiedziałem.

– I znalazłeś się tu całkiem przypadkiem, prawda? – spytał kierowca. W jego zadyszonym głosie czuło się złość.

– Mogę jakoś pomóc?

Przez chwilę gapiliśmy się z Harmalą na siebie. Liczyłem sekundy. Jeżeli uparcie trzymałbym się swojej wersji, nie miałby wyboru – wcześniej czy później musiałby zaakceptować moje wyjaśnienie. Czy uwierzyłby w nie, to już inna sprawa. Wśród zimnej nocy wyczuwałem wódkę i perfumy. Domyślałem się, że to Amanda rozsiewa oba zapachy.

– Oczywiście, że możesz – powiedział w końcu Harmala i cofnął się o krok. – Mógłbyś na przykład odwiedzić panią do domu.

Amanda się uśmiechnęła. Harmala zrobił to samo, ale jego uśmiech nie był szczery. Jego głos brzmiał z pozoru równie przyjaźnie jak przy poprzednim spotkaniu.

– Jak widzisz, Amanda nadużyła dzisiaj nieco alkoholu. I wczoraj. I przedwczoraj.

Popatrzyłem na nią. Nie wyglądała na aż tak pijaną, jak można by o tym wnioskować z wypowiedzi Harmali.

– Idziemy, Amando? – zapytałem.

Przez chwilę patrzyła na mnie, potem na kierowcę, ale nic nie powiedziała. Na jego twarz znów wypłynął ponury uśmiech.

– Jeszcze raz dziękuję ci za ten niezapomniany wieczór, Amando. Twój ojciec jest na pewno zadowolony. Właśnie na taki wieczór i towarzystwo miał ochotę.

– Czy mogę prosić o kluczyki do samochodu – spytałem go.

Harmala spojrzał na mnie pytająco.

– Kluczyki do samochodu – powtórzyłem. – Te, które wyjąłeś z torebki i włożyłeś do kieszeni.

Uśmiech zniknął z jego twarzy. Zrozumiałem, że błędnie zinterpretowałem obserwowaną scenę. Harmala nie wybiegł za Amandą na ulicę, żeby powstrzymać ją od jazdy po pijanemu. Był jakiś inny powód, ale jaki?

– Kluczyki są w torebce – odparł. – Jeżeli wielmożna pani chce prowadzić po pijaku, to jej sprawa. Nie moja. Proszę bardzo.

A co w takim razie jest twoją sprawą, pomyślałem, co takiego było w tej torebce?

Wepchnął mi ją do ręki. W środku znalazłem kluczyki. Otworzyłem drzwi samochodu. Harmala znów się uśmiechnął.

– Muszę o tym koniecznie wspomnieć Henrikowi – powiedział, kiedy złapałem Amandę za ramię i poprowadziłem ją na drugą stronę samochodu. – Nareszcie mamy dozorcę, który wykazuje się inicjatywą i potrafi znaleźć się na miejscu, chociaż nikt go o to nie prosił.

Otworzyłem Amandzie drzwi i pomogłem jej wsiąść. Uśmiechnęła się; najwyraźniej cała ta sytuacja

ją bawiła. Obszedłem samochód i zatrzymałem się przed Harmalą. Patrzyłem w jego martwe oczy. Nie zamierzałem pozwolić, żeby zniszczył to, co przez lata udało mi się zbudować. Dzieliło nas pół metra, kiedy powiedziałem:

– Nikomu nie piśniesz o tym ani słowem. Nie chcesz, żebym opowiedział Henrikowi, że ciebie i Amandę łączy coś takiego, że musisz biec za jego córką i na wszelki wypadek opróżniać jej torebkę. Chcesz mi pokazać, co musiałeś z niej wyciągnąć i schować w kieszeni spodni?

Milczał.

– Będiesz trzymał język za zębami – dodałem cichym, spokojnym głosem. – Ja odwiozę Amandę do domu. I tyle.

Harmala uniósł brodę i opuścił powieki. Najwyraźniej chciał, żebym spojrzał w dół. Gapiliśmy się na siebie. Potem obaj usłyszeliśmy zbliżające się kroki i odgłosy wesołej rozmowy. Uśmiechnął się. Również tym razem jego twarz była daleka od szczerości.

– Dobranoc wam obojgu – powiedział.

Zanim grupa dwóch kobiet i dwóch mężczyzn dotarła do nas, przekręciłem kluczyk w stacyjce i ruszyłem. W duchu przeklinałem swoją głupotę. Chciałem zgrywać bohatera, powstrzymać mężczyznę od bicia kobiety. A co tak naprawdę zdziałałem? Naraziłem swoją misję. Do tego jeszcze puszyłem piórka i groziłem. Jakby zmartwychwstał dawny ja. Po co stanąłem między Harmalą a Amandą, dlaczego zapomniałem, po co przyjechałem? Doskonale wiedziałem: przyczyna tego zamieszania siedziała i oddychała na przednim siedzeniu obok mnie.

Spojrzałem jeszcze w lusterko wsteczne, mignęła mi biała koszula szofera. Wcale nie wyglądała już na kosztowną.



Nocna Liisankatu zahuczała, kiedy zatrzaskiwałem drzwi. Dźwięk odbijał się od ścian, po czym leciał w ciemne niebo, a wybrukowana kocimi łbami ulica wyglądała w świetle latarni niesamowicie: jakby każdy kamień był innego rozmiaru i kształtu niż sąsiednie. Postąłem chwilę na chodniku. Wiedziałem, gdzie mieszka Amanda, sama mi to powiedziała. Wtedy, kilka nocy temu, nie sądziłem, że tak szybko skorzystam z tej wiedzy. Milczeliśmy podczas jazdy. Twarz Amandy skierowana była na wprost. Kontury jej twarzy i ciała sprawiły, że poczułem się jak bohater i skrajny idiota zarazem.

Obszedłem samochód, otworzyłem drzwi od strony pasażera i podałem kluczyki. Nie zrobiła nawet jednego ruchu, żeby je ode mnie wziąć.

– Chyba nie zostawisz mnie na ulicy – powiedziała.

Windy nie było. Masywne kamienne schody w secesyjnej kamienicy miały niskie, ale głębokie stopnie, dokładnie takie, żeby niewygodnie było po nich chodzić. Nie bardzo wiedziałem, czy powinienem drobić na każdym stopniu po dwa kroczyki, czy wyciągać nogi w przód i w górę, żeby pokonywać od razu po dwa stopnie. Dreptałem za Amandą. Wdychałem jej perfumy, patrzyłem na jej kształty, na to, jak pośladki i uda poruszają się pod cienką sukienką.

Na czwartym piętrze otworzyła drzwi i spojrzała mi prosto w oczy.

– Co teraz zrobisz, skoro już mnie uratowałeś?

Wszedłem do środka i zapaliłem światło. Amanda podążyła za mną. Usłyszałem zamykające się drzwi.

– Zaraz wracam – rzuciła, wchodząc z korytarza do łazienki. Pomalowane na biało, drewniane stylowe drzwi zamknęły się za nią bezgłośnie.

Rozejrzałem się.

Na jednej ścianie przedpokoju wisiało oprawione w brązową ramę lustro, a na drugiej wieszak pełen ubrań. Na stojaku na buty stało ze dwadzieścia par.

W dłuższej ścianie prostokątnego salonu były trzy okna wychodzące na Liisankatu. Oryginalny parkiet pięknie polakierowano, był w idealnym stanie. Po prawej stronie szerokie przejście prowadziło do sypialni, a na prawo od drzwi stał w kącie jasnozielony piec kaflowy. Na środku salonu ustawiono niski szklany stół w stalowej oprawie, za nim opływową, nieskazitelnie białą kanapę, po bokach zaś dwa kanciaste fotele.

Także inne meble i sprzęty – stalowa lampa stojąca, która wyginała się za kanapą jak fala tsunami, ciemna prosta szafka pod telewizor i stojący na niej drogi, zaprojektowany przez Duńczyków odbiornik, stojące w oknie wazony czy czarna kwadratowa misa na środku stołu – wyglądały na dokładnie przemyślane. Stylowe, drogie i ponure. Z lewej strony salonu przechodziło się do kuchni i małego gabinetu.

Włoska kuchnia lśniła czystością. Odkręciłem kran, którego kształt najlepiej charakteryzowało określenie „przemysłany minimalizm”. Wyjąłem z szafki szklaną i napiłem się wody. Kuchnia miała rozmiar mojej poprzedniej kawalerki. Przez środek pomieszczenia przebiegał, niczym świeżo wyasfaltowana droga, długi, błyszczący czarny stół. Dookoła niego stało osiem krzeseł na stalowych nogach, a ich siedzenia przypominały gigantyczne łapki na muchy. Światło dwóch metalowych lamp wiszących nad stołem było, jak na mój gust, zbyt jaskrawe. Wyłączyłem je. Oczy szybko przyzwyczyły się do półmroku, a wpadająca przez okno skąpa, migocząca poświata wystarczała, żeby poruszać się tutaj, na nic nie wpadając.

Okno wychodziło na podwórze. Na dole, na samym środku dziedzińca, świeciła latarnia. Dawała żółtawe światło, które odbijało się od ocalałych na krzewach liści i czerwonej kostki. Piłem wodę i myślałem, że jestem w niewłaściwym miejscu. Ale, powiedziałem sobie, czasem trzeba się znaleźć nie tam, gdzie trzeba, żeby na powrót trafić tam, gdzie się być powinno. Nie wiem, czy mnie to przekonało.

– Tylko woda?

Odwrociłem się.

Amanda stała w drzwiach, prawą rękę trzymała schowaną za plecami, a lewą wycierała najpierw włosy a potem nos.

– Nic mocniejszego? – spytała.

Pokręciłem głową. Wyciągnęła prawą rękę zza pleców i schowała coś do przedniej kieszeni dzinsów.

Nic już więcej nie powiedzieliśmy. Pocałowaliśmy się. Przyciągnąłem ją całą do siebie, położyłem dłonie pod jej pośladkami i posadziłem na kuchennym stole. Zdarłem z niej koszulę i pocałowałem w szyję, smakowałem jej skórę. Przycisnęła swoje krągłe piersi do mojej twarzy. Całowałem je, a potem znów gorące wilgotne usta. Ściągnąłem z siebie koszulę. Zaniósłem Amandę do sypialni, położyłem na łóżku i zrzuciłem spodnie. Zostawiłem je tam, gdzie upadły. Przesunąłem Amandę głębiej na łóżko, jednocześnie zdejmując jej czarne majtki. Rozłożyła uda i uniosła biodra, gdy pochyliłem nad nimi głowę. Lizalem ją przez chwilę, a potem wspiąłem się na nią. Gryźliśmy wzajemnie swoje wargi. Spojrzałem jej w oczy i zobaczyłem zupełnie obcą osobę. Nasze biodra uderzały o siebie. Spływałem potem. Cała złość, strach i zazdrość, które czułem, były obecne w każdym pchnięciu. Amanda drapała mnie po plecach i ramionach. Dyszała. Kiedy osiągałem orgazm, słyszałem, że coś mówi, ale nic z tego nie rozumiałem.

Leżałem na łóżku ze spierzchniętymi wargami. Słuchałem szumu prysznica, gapiłem się w sufit. Pot wysechł, ale skóra pozostała lepka. Myślenie o Amandzie – jak smakowała, jak się czułem, gdy była pode mną, jaka była śliska i ciasna – przyprawiało mnie o dreszcze w okolicach podbrzusza. Zaraz ją zobaczę, pomyślałem. Kiedy kochałem się z Miią, byłem potem przez długi czas zaspokojony, spokojny. Teraz pojawiło się natychmiast, samo z siebie, to samo podniecenie, które kazało mi zedrzyć z Amandy

ubranie i zawlec do łóżka.

Drzwi do łazienki się otworzyły, weszła do sypialni i stanęła naga u wezglowia łóżka. Wycierała nos i wciągała powietrze w nozdrza jak bokser. Trudno było mi na nią patrzeć bez odczuwania zwierzęcego pożądania i pragnienia posiadania. Oba te doznania należały do gatunku tych, które zawsze wpędzały mnie w kłopoty.

– Dozorca – powiedziała i uśmiechnęła się, jakby w coś wygrała. – Miałam wrażenie, że wiesz, czego chcesz.

– Możliwe.

– Myślę, że to dobry znak.

Amanda opuściła kolano na łóżko i na czworakach wczołgała się na mnie. Z bliska jej oczy były błyszczące, a uszy i spojrzenie ostre. Wewnętrzna strona jej ud była miękka w porównaniu z moimi nogami.

– Ale wiesz co? – spytała.

– Co?

– Idę spać.

Z jej tonu domyśliłem się, o co chodzi.

– Wezmę prysznic i zbieram się – powiedziałem

– Masz w sobie to coś. – Przycisnęła wargi do moich ust i całowała mnie długo i namiętnie, zanim wstała i nie patrząc na mnie, w szlafroku skierowała się do kuchni.

Miasto było ciche i wyludnione, kiedy szedłem po swój samochód. Przeciąłem pusty plac Senacki przy akompaniamencie stuku własnych kroków. Katedra jaśniała na tle czarnego nocnego nieba.

Wrzesień 2013

Parę godzin później nad Helsinkami zaświtał na bezchmurnym niebie piątkowy poranek, a ja zobaczyłem, jak Markus Harmala wyjeżdża czarnym lexusem z podziemnego garażu. Siedziałem w volvo oddalonym o sto pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym ściałem się z nim zeszłej nocy, i od drzwi do klatki Saarineny. Próbowałem zebrać myśli.

Harmal był w samochodzie sam. Rozejrzał się w obie strony, po czym wrzucił kierunkowskaz. Kiedy skręcił w moją stronę, osunąłem się na siedzeniu i czekałem, aż mnie minie. Podniosłem się i spojrzałem w boczne lusterko. Kierunkowskaz czarnego lexusa znów migał. Skręcał w prawo.

Włączyłem silnik, wrzuciłem bieg i szybko zawróciłem. Dogoniłem lexusa, kiedy wspinał się pod górę w kierunku centrum. Utrzymywałem duży odstęp.

Samochód dotarł spokojnie do skrzyżowania, po czym zjechał na Południową Esplanadę. Harmala zwolnił i zatrzymał się z dwoma kołami na chodniku, włączył światła awaryjne i otworzył drzwi od strony pasażera. Skręciłem w prawo i ponownie podjechałem pod Korkeavuorenkatu, skręciłem dwa razy w lewo i zaparkowałem możliwie blisko skrzyżowania z Południową Esplanadą. Nie widziałem lexusa, ale zakładałem, że jeszcze stoi przecznicę dalej. Zaczekałem chwilę, pełen podejrzeń.

Wysiadłem z samochodu, doszedłem do skrzyżowania i wyjrzałem zza rogu. Tak, lexus tkwił na chodniku z włączonymi światłami awaryjnymi, a Harmala stał na ulicy i palił papierosa, jakby na kogoś czekał. Wróciłem do samochodu. Na trzecim piętrze kamienicy, naprzeciwko której samochód parkował, a szofer palił, znajdowało się biuro spółki Saarineny.

W całym ciele odczuwałem skutki nieprzespanej nocy. Nogi świerzbily mnie z nerwów, oczy piekły. Złapałem za kierownicę i mocno ścisnąłem. Pilnowałem, żeby nie oprzeć głowy na zagłówku, bo na pewno bym zasnął.

Wreszcie przed nosem przemknął mi czarny lexus. Z tyłu ktoś siedział. Saarineny bym rozpoznał, więc to musiał być ktoś inny. Ruszyłem za nimi. Harmala okrążył fontannę ze statuą Havis Amanda i wkrótce nasze samochody jechały w kierunku Portu Północnego. Zachodni horyzont różowił się, nigdzie nie było nawet skrawka chmury. Morze wydawało się ciemnym dywanem, a wyspy – wyciętymi w nim dziurami. Bloki w dzielnicy Merihaka przypominały klocki porzucone przez gigantów na samotnym półwyspie.

Teraz dopiero przypomniałem sobie, jak trudno jest utrzymać odpowiedni odstęp za lexusem. Filmy dają złudne wrażenie na temat śledzenia jednego samochodu przez drugi. Nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością. Nauczyłem się tego lata temu, próbując nadążyć za Henrikiem Saarinenem podczas jego nocnych wypraw. Ten realny świat nigdy nie był tak nafaszerowany czerwonymi światłami, pieszymi, zmieniającymi pas uczestnikami ruchu drogowego, ostrymi hamowaniami, zaskakującymi zakrętami, gwałtownymi przyspieszeniami i zagrażającymi życiu mijankami dokładnie w chwili, kiedy należałoby prowadzić płynnie, jednostajnie.

Lexus wjechał na zachodnią wylotówkę. Wpuściłem przed siebie opuszczający przystanek niebieski autobus. Zadziałał jak zasłona, kiedy pokonywaliśmy most na wyspie Kulosaari. Przede mną rozpostarł się wspaniały krajobraz. Po obu stronach morze, wszędzie czyste światło poranka. Po kilku sekundach drogi poczułem lekkość, jakbym z własnej woli wybrał się na wycieczkę i sam decydował, dokąd się

udam. Nastrój ten rozwiązał się szybko, ponieważ autobus znów zjechał na przystanek, a kilkaset metrów przed sobą zobaczyłem czarny samochód.

Mijaliśmy kolejne stacje metra. Zanim osiągnęliśmy wysokość centrum handlowego Itäkeskus, lexus opuścił wylotówkę i wrzucił prawy kierunkowskaz. Przez chwilę jechaliśmy prosto, aż droga ostro zakreśliła w lewo na Marjaniemi.

Zagłębiał się w dzielnicę bogaczy. Ulice zwężały się, domy rosły. O tej wczesnej porze nie było tu dużego ruchu, trzymałem lexusa na dystans. O mały włos, a zgubiłbym go na skrzyżowaniu. Skręciłem, jechałem w żółtym tempie i kiedy tylko wzrokiem dosięgnąłem samochód Harmali, zaparkowałem na skraju drogi.

Stał przed wielkim białym domem z cegły. Szofer właśnie zatrząskiwiał tylne drzwi. W tej samej chwili opuszczała się brama do garażu trzypiętrowego budynku. Ktoś musiał wysiąść z samochodu i wszedł do środka. Harmala otworzył drzwi od strony kierowcy.

Stał, grzebał w kieszeniach i palił. Patrzył na morze. Ciemny, niebieski dym z papierosa wypełniał jasny poranek.

Nowy dom pysznił się na wzniesieniu niczym świeżo otwarty prezent od bogów mamony. Połowa ściany od ulicy była ze szkła. Z najwyższego piętra rozpościerał się widok na morze. Zastanawiałem się, ile może kosztować działka w tym miejscu. Może z pół miliona. Do tego dom ze dwie bańki. Właściciel raczej nie musiał się starać o kredyt do realizacji swojego projektu.

Kto tu mieszkał? Zapisałem adres w pamięci telefonu. Przyjechał tutaj z biura Saarinen, ale nie był to mój pracodawca. Może zresztą nie miało to większego znaczenia. Bardziej interesowało mnie, gdzie jeździ Harmala.

Właśnie wypalił papierosa. Wyrzucił peta pod nogi, przydeptał go i przez chwilę patrzył daleko w kierunku wschodzącego słońca. Wreszcie wszedł do samochodu i wyjechał na jezdnię.

Lexus zniknął za zakrętem, zanim zdążyłem przekręcić kluczyk w stacyjce i wrzucić jedynkę. Cały czas uważałem na odstęp, kiedy przejeżdżaliśmy nad wylotówką i skręciliśmy w lewo. Śledzenie było teraz łatwiejsze, ponieważ ruch na ulicach się nasilał. Kiedy staliśmy na światłach niedaleko terenów przemysłowych, dzieliły nas trzy samochody. Skręciliśmy w lewo, a zaraz potem w prawo. Nie spieszyłem się. Zobaczyłem, jak lexus skręca w lewo i znika za budynkami. Dojechałem do skrzyżowania i znów zwolniłem. Jeśli lexus zaparkowałby za rogiem, pojechałbym prosto i wrócił z drugiej strony.

Długa prosta ulica przede mną była pusta. Spojrzałem w lusterko wsteczne, skręciłem i spokojnie jechałem dalej. W przemysłowych zabudowaniach wjazdy były dość szerokie i wysokie dla tirów. Próbowałem zaglądać na podwórza. Dojechałem do końca ulicy, ale nigdzie nie było śladu po czarnym samochodzie.

Właśnie zawracałem, kiedy zadzwonił telefon. Zatrzymałem samochód na skraju drogi. Numer zastrzeżony. Odebrałem.

– Dzień dobry, mówi Henrik Saarinen.

Spojrzałem na zegar na desce rozdzielczej. Kwadrans po siódmej.

– Dzień dobry.

– Chyba cię nie obudziłem.

– Absolutnie.

– Przypomniało mi się, że w twoim życiorysie napisałeś, że masz prawo jazdy.

– Owszem.

– Tak się składa, że mój kierowca ma dzisiaj wolne, a ja potrzebuję transportu. Samochód jest tutaj, w Helsinkach. Jeżeli teraz wyjedziesz z majątku, zdążysz do mnie przed dziewiątą.

Moje spojrzenie otarło się o tablicę z napisem, między innymi *Roihupelto*.

– Tak.

– Masz na myśli, że będziesz tutaj przed dziewiątą, czy że można tu dojechać przed dziewiątą?

– Będę przed dziewiątą – odpowiedziałem.

– Dziękuję. Nie będę już dzwonił.

Odłożyłem telefon i zastanowiłem się. Przypadek? Niezwykłe, że akurat w takiej chwili. Zresztą nie chodziło tylko o chwilę. Chciałem dowiedzieć się więcej o pomocniku Henrika Saarinen, Markusie Harmali. Dlatego jechałem zanim aż tutaj. A teraz szef wezwał mnie do siebie.

Z powodu porannych korków powinienem zarezerwować pół godziny na przejazd ze wschodnich Helsinek do zachodniej części centrum. Ale do tego miałem jeszcze ponad godzinę. Znów zapaliłem silnik; jeszcze raz chciałem poszukać lexusa. Im więcej się dowiem o Harmali, tym lepiej.

Oprócz wjazdów, do niektórych budynków można było zjechać po rampach. Kawalek przed wylotem z ulicy wreszcie na coś trafiłem. W dole pod jednym z zabudowań dostrzegłem coś, co uznałem za błyszczący tył czarnego lexusa. Zaparkowałem volvo na skraju jezdni, pięćdziesiąt metrów od rampy, i wysiadłem.

Trzypiętrowy budynek wzniesiono na oko w latach osiemdziesiątych. Świadczyły o tym odrapane parapety, użyty do budowy i wykończeń jasny, miejscami pociemniały beton oraz ogólna kanciastość. Kiepska jakość uwidoczniła się w lekko krzywych ścianach. Front budowli był zaniedbany, po błotnistym, szarawym pasie trawnika wały się w połowie rozebrane sprzęty gospodarstwa domowego. Szkielety lodówek, pralek i kuchenek mikrofalowych wyglądały, jakby jeszcze ciągle walczyły w nadziei na lepszy los. Między nimi stały skrzynki pełne starych gumowych węży i przewodów. Sądząc po stanie zawartości, skrzynie zdążyły spędzić na świeżym powietrzu szczególnie ciężkie zimy.

Rampa stromo zjeżdżała do wnętrza budynku. Odczekałem chwilę, patrząc i nasłuchując. Na ulicy nie dostrzegłem żywej duszy, w oknach również. Kiedy zszedłem po rampie, zaskoczyło mnie, jak mroczno i zimno jest pod budynkiem. Czułem się jak w grocie. Czekałem, aż mój wzrok oswoi się z nagłą ciemnością. Nie chciałem rzucać się w oczy na tle jasnego poranka, więc podszedłem bliżej ściany. Po jakimś czasie zacząłem odróżniać kontury samochodów. Nie słyszałem żadnych odgłosów, ani ludzi, ani samochodów. Czułem benzynę i jakiś ostry, przemysłowy zapach. Niecierpliwiło mnie powolne przyzwyczajanie oczu do mroku. Wreszcie zacząłem widzieć wyraźniej. Już wcześniej dobrze odcinały się szkielety samochodów, ale dopiero teraz dotarło do mnie, że to naprawdę są szkielety. Większość była przynajmniej częściowo rozebrana. Lexus Harmali wyglądał wśród nich lepiej niż dobrze. To był jedyny cały samochód w podziemiu.

Na końcu terenu zauważyłem do połowy otwarte szare drzwi ze stali. Ruszyłem ku nim i wkrótce usłyszałem dochodzący zza nich głos Harmali. Pobrzmiawało w nim zniecierpliwienie. Szedłem dalej przy ścianie, ale żeby dotrzeć do drzwi, musiałem przejść między dwoma wrakami samochodów. Odstęp między nimi był nieduży, po ziemi zaś wałało się mnóstwo części, musiałem patrzeć pod nogi, chociaż powinienem uważać, co jest przede mną.

Metalowa rura trafiła mnie w przeponę. Cios był potężny. Ból wdarł się do wnętrza mojego ciała i natychmiast zaparło mi dech.

Przed sobą zobaczyłem nogawki spodni wpuszczone w pionierki. Pospiesznie ruszyłem naprzód.

Nie dosięgnąłem nóg. Przesunęły się, kiedy do nich nurkowałem. Drugie uderzenie rurą trafiło mnie w prawe ramię, które wyciągnąłem, żeby osłonić głowę. Odwróciłem się i znów zanurkowałem.

Tym razem trafiłem. Byłem pochylony, twarzą skierowaną do ziemi, ale zdołałem zapleść ręce wokół talii miotacza rurą. Mój zamach przycisnął nas do wraku samochodu. Uderzenie zabrzmiało w niskim pomieszczeniu jak eksplozja. Kiedy tylko przywaliliśmy w samochód, puściłem przeciwnika i przekręciłem się na bok.

Metalowa rura wylądowała na ziemi.

Złapałem ją obiema rękami i zamachnąłem się ze wszystkich sił w kierunku, w którym napastnik powinien się znajdować. Najwyraźniej trafiłem w lędźwie lub plecy. Usłyszałem zboląły, cienki jęk i kolejne gruchnięcie o wrak samochodu.

Poderwałem się z ziemi i rzuciłem do ucieczki w kierunku światła. Uderzenie w przepone spowodowało łzawienie oczu. Wciąż nie mogłem złapać tchu. Dotarłem do rampy, zebrałem wszystkie siły i dałem dwa wielkie susy w bok, żeby umknąć z rampy, a tym samym z pola widzenia tych z podziemia.

Na trawniku się wyprostowałem. Biegłem tak szybko, jak tylko było to możliwe w sytuacji, w której nie mogłem normalnie oddychać. Dotarłem do samochodu, który zaparkowałem przy ulicy przed wysoką niebieską ciężarówką. Teraz doskonale mnie zasłaniała.

Opadłem za kierownicę, włączyłem silnik i ruszyłem. Samochód przypominał mi o zapięciu pasów, ale dopiero po dwóch zakrętach zdołałem wreszcie podnieść prawą rękę dostatecznie wysoko. Dojechałem do świateł, sapiąc skulony za kierownicą. Dopiero teraz naprawdę poczułem ból w ramieniu. Promieniował z przedramienia w obie strony. Palce zeszywniały, częściowo straciłem w nich czucie, nie byłem w stanie dotknąć się w okolicach mostka. Usłyszałem za sobą klakson. Zauważyłem, że pomimo zielonego światła nie przesunąłem się nawet o centymetr. Pociemniało mi przed oczami. Oddychanie wymagało wiele wysiłku. Przejechałem obok stacji metra Siilitie i skręciłem na północ. Spoglądałem w lusterko, ale nikt mnie nie śledził.

Przejechanie prawie kilometrowego odcinka prostej drogi przecinającej pola okazało się nie lada wyzwaniem. Nie chciałem zwracać uwagi, toteż zmusiłem się do jazdy z maksymalną dozwoloną prędkością, ale miałem trudności z panowaniem nad samochodem. Prawą rękę trzymałem na kolanach. Starłem się utrzymać możliwie prostą postawę, chociaż ciągnęło mnie na kierownicę. Przede mną było rondo.

Zrobiłem niemal pełne koło, zjechałam na tereny poletek doświadczalnych uniwersytetu i zaparkowałem na skraju parkingu przy moście. Siedziałem w cieniu jesiennych drzew, oglądałem żółto-brązowe liście i czułem pod spodem chłód kamieni. Spojrzałem na zegarek w komórce.

Jeszcze kilka minut.

Jakiś ptaszek przeleciał dokładnie przed moim nosem i schował się wśród gałęzi; bez wahania, bez jednego zbędnego uderzenia skrzydłami.

Chwilę później byłem już w drodze do centrum Helsinek.



Henrika Saarineną nie było na ulicy. Czas działał na moją korzyść: była dopiero za dziesięć dziewiąta. Mogłem rozchodzić nogi na chodniku, rozprostować ręce i poczekać na działanie środka przeciwbólowego. Zatrzymałem się pod apteką, kupiłem tabletki i zażyłem dwie, popijając zimną, orzeźwiająca wodą z aptecznego dystrybutora. W sumie cztery kubki. Pragnienie paliło mi przełyk.

Wiatr niósł ze sobą mocny zapach oddalonego o dwie przecznice morza, niemal można było sobie wyobrazić, że błękitny bezmiar rozpościera się tuż za rogiem. W rzeczywistości do brzegu było pół kilometra. Rzedniejące liście drzew z pobliskiego skweru chrzęściły i szeleściły na wietrze niczym wycięte z papieru. Jesień rozpostarła nad wszystkim swoją kotarę.

Wróciło mi czucie w ręce, ból w przeponie łagodniał. Poszedłem pod klatkę.

Henrik Saarinen otworzył drzwi punktualnie o dziewiątej.

– Samochód stoi w garażu podziemnym – powiedział.

Czerwony dywan na klatce schodowej był pod nogami miękki jak świeża trawa. Szło się po nim całkowicie bezszelestnie. Dotarliśmy pod drzwi piwnicy. Mój pracodawca otworzył je kluczem i puścił mnie przodem. Ruszyłem w dół po schodach. Słyszałem kroki Saarineną na kamiennej posadzce, wdychałem jego zapach i czułem za sobą jego obecność. Znałem go już tak dobrze, że ta bliskość dławiała

mnie, a jednocześnie wydawała się dziwnie naturalna. Doszedłem do pomalowanych na szaro drzwi ognioodpornych, popchnąłem je i poczułem zapach garażu, który wszędzie i zawsze jest identyczny. Duszna mieszanka gumy, benzyny i brudnego metalu śmierdzi tak samo niezależnie od tego, czy jest się w Kuala Lumpur, San Francisco czy w Helsinkach. Automatycznie skierowałem się ku szaremu mercedesowi, który dostrzegłem w końcu garażu, ale wtedy usłyszałem głos Saarineny.

– Land cruiser.

Przed nami było na oko szesnaście miejsc parkingowych, Land cruiser, szary metalik, stał z naszego punktu widzenia po prawej w środku rzędu.

– Ty prowadzisz – odezwał się Saarinen.

Odwróciłem się i złapałem kluczyki, które mi rzucił. Nacisnąłem przycisk otwierający centralny zamek. Światła zamigały, drzwi się otworzyły, wsiedliśmy do samochodu. Saarinen usiadł z przodu obok mnie. Nie dość, że nie jechaliśmy mercedesem, to jeszcze usiadł inaczej niż zazwyczaj.

Land cruiser był o wiele bardziej zwrotny, niż można byłoby sądzić na podstawie jego wyglądu. Bez problemu manewrowałem nim po ciasnym garażu, a na ulicę wypadłem niczym o połowę mniejszym i niższym samochodem.

– Jedziemy w stronę dworu – poinstruował mnie Henrik Saarinen.

– Jasne – odparłem i skręciłem na skrzyżowaniu w lewo, żeby z nabrzeża pojechać na północ, okrążyć zatokę i dotrzeć na autostradę w kierunku Turku.

Kątem oka starałem się popatrzeć na swojego pracodawcę. Z jego miny nie można było nic wyczytać, patrzył przed siebie. Ubrał się na tyle zwyczajnie, jak tylko potrafił. Jasne dżinsy, czerwona bluza z kapturem i czarna wiatrówka. Buty jakoś nie pasowały do tego stroju. Przypominały ciężkie obuwie ochronne na grubej podeszwie, z metalowym podnoskiem, jakie noszą budowlańcy.

– Przyjechałeś w sam raz – powiedział Saarinen, kiedy przejeżdżaliśmy ostatnim odcinkiem Mechelininkatu, która przypominała obsadzony po obu stronach drzewami bulwar.

– Żaden problem – odpowiedziałem. – Czyżby Harmala niespodziewanie wzięła wolne?

– I tak, i nie. Jak to z niespodziankami. Z niespodziankami, których się można było spodziewać.

Za nami zostały po prawej wieże szpitala w Meilahti. Złapaliśmy zieloną falę i zjechaliśmy ze wzgórza. Wkrótce mknęliśmy już po dwupasmówce, przyspieszyłem do stu kilometrów na godzinę.

– Nie pamiętam, gdzie dokładnie mamy zjechać, więc przygotuj się, że w każdej chwili możesz skręcić – oznajmił Saarinen.

– W porządku.

Kątem oka zauważyłem, że Saarinen zwrócił twarz w moim kierunku.

– O nic nie pytasz – zauważył.

– A o co miałbym pytać?

– Zależy, co chciałbyś wiedzieć. A tak na poważnie: wyglądasz na kogoś, kto nie ma za wiele pytań. Tacy ludzie są zawsze bardzo interesujący. Bo albo z całkowitego braku zainteresowania, albo z tego, że się wie tyle, ile chce się wiedzieć. Założę się, że w twoim przypadku chodzi o to drugie.

– To prawda. A przynajmniej wiem dość. Dostałem kluczyki i jasne instrukcje.

Zerknąłem na Saarineny. Na jego twarzy pojawił się wąty uśmiešek. Był bardzo wysokim mężczyzną. Jego twarz znajdowała się jakieś dziesięć centymetrów wyżej niż moja.

– Fantastycznie – powiedział. – Naprawdę fantastycznie, lepiej, niż się spodziewałem. Przed nami piękny dzień.

Nie zapytałem, o co mu chodzi, a on zamilkł. Następnym razem odezwał się dopiero w Espoo.

– Wjedź tutaj. – Pokazał estakadę przy autostradzie.

Zjechałem, zmieniałem kierunki i pasy według wskazówek Saarineny. Kiedy zobaczyłem wielki neon, poczułem, że to jest właśnie cel naszej drogi. Saarinen wyrzucał z siebie krótkie polecenia – w lewo, w prawo, prosto, tu się zatrzymaj – aż zaparkowaliśmy przed dużym marketem budowlanym,

jakieś trzydzieści metrów od wejścia. Zgasiłem silnik. Saarinen wyciągnął coś z kieszeni na piersi i podał mi to. Złożony arkusz A4.

– Lista zakupów – powiedział.

Wyglądało na to, że on nie wybiera się do sklepu. Ani nigdzie indziej. Spojrzenie za okularami było poważne.

– Na pewno chcesz, żebym poszedł sam? – upewniłem się.

– Tak, dziękuję.

Patrzyłem przez chwilę na niego, po czym wysiadłem z samochodu i skierowałem się do wejścia marketu. Po drodze nie oglądałem się za siebie. W środku rozłożyłem kartkę.

50 m liny, grubość 5 mm

rolka worków na śmieci (3 szt.)

stalowy szpadel (2 szt.)

lekka piła motorowa

finka (2 szt.)

gwoździarka 300 Paslode 350+ (z zestawem akcesoriów)

gaz do gwoździarki (4 naboje)

gwoździe 90 mm (pasujące do gwoździarki, min. 10 paczek gwoździ łączonych papierem po 53 szt.)

rękawice ochronne (5 par)

okulary ochronne (2 pary)

Wziąłem duży niebieski wózek i spokojnym, spacerowym krokiem ruszyłem po hali wzdłuż długich alejek, żeby pozbierać towary. Klientów było mało, poruszałem się płynnie. Zrobiłem zakupy w piętnaście minut. Zapłaciłem za nie służbową kartą kredytową i doprowadziłem wózek do auta. Henrik Saarinen siedział nieruchomo na przednim siedzeniu.

– Doskonale – pochwalił, kiedy zapakowałem zakupy do samochodu i zasiadłem za kierownicą.

Założyłem, że jedziemy do posiadłości. Kiedy na skrzyżowaniu przed wjazdem na autostradę rozglądałem się w obu kierunkach, zauważyłem, że na twarz mojego pracodawcy wypłynął wąski uśmiech, jakiego jeszcze nigdy u niego nie widziałem. Ta mina sprawiała, że miałem wrażenie, jakby spony rozrywały mi żołądek, czułem dreszcze, a w ustach żółć.

Spojrzałem prosto przed siebie, pozwoliłem stopie opaść na pedał gazu całym ciężarem. Land cruiser skoczył do przodu. Głowa Saarinena zakołysała się i odchyliła do tyłu, uśmiech znikł z opalonej na złoto twarzy.



Blask słońca, odbijający się od karoserii i bocznych lusterek, oślepił mnie. Krajobraz zmieniał się, a jednocześnie pozostawał taki sam: jesień pyszniła się najbardziej nasyconymi odcieniami czerwieni, żółci i złota. Koncentrowałem się na drodze i ruchu, mimo to wyraźnie widziałem, że głowa Saarinena dyskretnie i regularnie przekręca się o parę centymetrów w bok i zerkają w moją stronę, lekko, niby w przelocie.

Przez piętnaście minut było cicho, wreszcie otworzył usta. Kiedy mówił, nie patrzył w moim kierunku. Wprost przeciwnie, wyglądało to tak, jakby liczył drzewa albo śledził profil skał po prawej stronie drogi.

– Czy możemy się umówić, że na dzisiaj zawieszamy tytuły i etykiety? – zaczął Saarinen, po czym sam sobie odpowiedział. – Na pewno możemy, skoro i tak jesteśmy tu jakby nieoficjalnie.

Nie wiedziałem, dlaczego jesteśmy nieoficjalnie, ale na wszelki wypadek nie dociekałem.

– Pamiętasz, jak pytałem cię o twoich najbliższych.

Doskonale pamiętam, pomyślałem, ponieważ bałem się, że się zdradziłem.

– Pamiętam.

– Jak to jest?

– Co jak jest?

– Być samemu na świecie. Nie mieć nikogo, kogo należy powiadomić, gdyby coś się stało. Nie chcę być wścibski, nie musisz odpowiadać.

– Zależy, jak na to spojrzeć – odparłem. – Do wszystkiego można się przyzwyczaić.

– Myślałem, że tak odpowiesz. Dokładnie tymi słowami. Ale ja ci nie wierzę. Czy raczej: wierzę tylko po części.

Ścisnąłem kierownicę, zmieniłem pas, żeby wyprzedzić, i trochę przyspieszyłem. Gdy wymijałem wysoki, biały autobus, zdawało mi się, że podczas manewru jego długość urosła.

– Na pewno do wszystkiego można się przyzwyczaić – odezwał się Saarinen. Jego głos brzmiał wyraźnie, beznamietnie, a słowa wypowiadał w równych odstępach. – Ale to nie jest cała prawda na ten temat. Czy mogę mówić bez ogródek?

Wzruszyłem ramionami. Pot spływał mi po plecach. Serce waliło w piersi jak młotem kowalskim, gorąco i boleśnie. Do tej pory udawało mi się zachować spokój i opanowanie, ale sytuacja stawała się z sekundy na sekundę coraz mniej komfortowa i nie bardzo wiedziałem dlaczego. Oczywiście bliskość osoby, którą podejrzewa się o zamordowanie matki, powoduje stres. Ale było w tym coś jeszcze.

– To musi na swój sposób dawać wolność – ciągnął Saarinen. Nie patrzył już w bok tylko prosto przed siebie, może na jadącego przed nami niebieskiego, starego saaba. – Wolność w tym sensie, że można robić tak, jak uważa się za słuszne. Nie jest się niczym dłużnikiem, nikt cię nie ocenia, nieważne, co byś robił. Samemu się ustala, co jest dobre. Można założyć, że ma się misję. Określić cele, poświęcić się im, nie zważając na nic ani na nikogo, liczy się tylko rezultat.

Miałem ochotę ustawić klimatyzację na chłodzenie. Dłonie Saarinena leżały na jego udach spodem do góry. Zaciskał i otwierał je, jakby zaklinał deszcz.

– Kiedy na ciebie patrzę, Aleksis, mam wrażenie, że masz jakąś misję. Zazwyczaj nie myślę się w tych sprawach. Ufam swojej intuicji. Dzięki temu udało mi się zarobić trochę pieniędzy. Poza wszystkim innym. Jak wiesz.

Oddychanie przychodziło mi z trudnością. Zaschło mi w ustach i musiałem często przełykać ślinę, co dodatkowo komplikowało sprawę.

– Mam na myśli, na przykład, kupno dworu. Ktoś inny uznałby stary dom i posiadłość za kulę u nogi, ale ja dostrzegłem szansę na stworzenie czegoś, czego wartość będzie rosła z roku na rok. O to mi chodzi również w twoim przypadku. Nie myśl, że widzę w tobie jedynie stolarza i dozorcę.

Kiedy tak do mnie mówił, głowę miał zwróconą przed siebie jak automat, równo i prosto jak w zegarku. Zerknąłem na niego i nasze spojrzenia się spotkały. Popatrzyłem na drogę, bo błysk oczu Saarinena przeszył mnie na wskroś.

– Widzę w tobie potencjał – dodał. – Możliwości. Coś, czego ty jeszcze w sobie nie odkryłeś. Czy masz wrażenie, że przesadzam? Że wyciągam wnioski, do których nie mam podstaw?

Znów wzruszyłem ramionami.

– Oczywiście, że nie. Na pewno nie. Ja się nie mylę. Jestem pewien, że ze wszystkim, co robisz, dasz sobie radę – powiedział, nie patrząc na mnie. – Pytanie tylko, czy jesteś gotów na wszystko.

Na to akurat łatwo mi odpowiedzieć, pomyślałem, jeżeli tylko nie muszę tego uzasadniać.

– Jestem – odparłem.

– Tak też myślałem. – W jego głosie pobrzmiwało zadowolenie. – Dlatego zabrałem cię ze sobą. No i oczywiście, żebyśmy mogli się lepiej poznać.

Po tym wyznaniu zamilkł na chwilę. Przez kilka minut żaden z nas się nie odzywał. Najpierw pomyślałem, że może włączyłbym radio, żeby posłuchać głosów z zewnątrz, dowodów, że na świecie

istnieją jeszcze inni ludzie i inne tematy. Coś innego, cokolwiek. Musiałem zadowolić się ciszą.

– Naturalnie muszę ci zadać trochę pytań, które można by uznać za osobiste. – Saarinen podjął wątek sprzed paru minut, jakby w ogóle nie zrobił przerwy. – A potem przyjdzie oczywiście twoja kolej, żebyś zadawał mi pytania.

Gdzie pochowałeś moją mamę?

Znów przyszło mi to do głowy. Ale to jeszcze nie była właściwa pora na to pytanie. Chciałem się zbliżyć, dowiedzieć czegoś więcej o tym człowieku.

– Mamy jeszcze dwadzieścia minut – powiedziałem.

Przez chwilę Saarinen milczał, po czym zapytał:

– Co pamiętasz o swoim ojcu, Aleksi?

Już miałem otworzyć usta, kiedy sam zaczął sobie odpowiadać:

– Raczej niewiele. Inaczej wspomniałbyś o nim podczas rozmowy kwalifikacyjnej. Nie przeraż się, że znam pytania i odpowiedzi, które wtedy padły. Wszystko jest poufne.

– Obiecuję się nie przerażać – oświadczyłem.

– Masz poczucie humoru. To wspaniale. Ja pamiętam swojego ojca aż za dobrze. Nie wiem, czy powinienem go nienawidzić, czy raczej być mu wdzięcznym. Czy to nie idzie za daleko?

– Ależ skąd.

Dziesięć lat na to pracowałem.

– Mój ojciec nigdy z niczego nie był zadowolony. – Saarinen westchnął. – Odnosiło się to również do mnie. To motywowało do kolejnych prób. Chociaż nic nie dawały. Nie przypominam sobie, żeby mi kiedykolwiek za coś podziękował, pochwalił albo jakoś nagroził. Co, z dzisiejszego punktu widzenia, jest tajemnicą mojego sukcesu.

Czekałem, co teraz powie. Spojrzałem w bok, w jego oczy.

– Nienawidzę go i jestem mu wdzięczny – kontynuował. – Dopiero po jego śmierci naprawdę stałem się wolny.

Znów patrzyłem na drogę. Minęliśmy tablicę informacyjną. Za chwilę skręcimy do posiadłości, albo i nie.

– Kiedy umarł twój ojciec? – zapytałem.

– Czwartego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego.

– I co się potem stało?

– Co masz na myśli?

– Powiedziałaś, że naprawdę stałeś się wolny, kiedy on umarł. Co dokładnie przez to rozumiesz?

– I ty niby jesteś tylko dozorcą?

Spojrzałem szybko w stronę Saarinena. Miał na twarzy ten sam uśmiech, co pod sklepem z artykułami budowlanymi. Wąski, pogardliwy uśmiech.

Wrzuciłem kierunkowskaz i zmieniłem pas do zjazdu, który łagodnym łukiem zakręcał w prawo. Saarinen nie komentował moich poczynań, założyłem więc, że nadal kierujemy się do majątku. W lusterku wstecznym zauważyłem, że jako jedyni opuściliśmy autostradę. Jakby pozostali wiedzieli lepiej, dokąd jechać. Kiedy znaleźliśmy się na drodze krajowej, przyspieszyłem i poczułem, że moja samotność jest dokładnie taka, jak to wcześniej opisał Saarinen. Nagle przerwał ciszę:

– Masz błyskotliwy umysł. Ciekawe, do czego dojdziemy, kiedy zaczniemy omawiać wspólną przyszłość.

Wrzesień 1993

Kim chcesz zostać w przyszłości, pyta mama, kiedy siadamy do posiłku. Sos bolognese paruje na czerwono z czarnej żeliwnej patelni, obok czeka garnek spaghetti z wielką łyżką na straży. Patrzą na mamę, która wynurza się zza pary po drugiej stronie stołu, jakby siedziała we mgle. Uśmiecha się wyczekująco.

Pytanie nauczyciela męczy mnie z wielu powodów. Zmieszany słuchałem odpowiedzi innych trzynastolatków i czułem się zaskoczony. Zaskoczony i wyobcowany. Nie tyle dziwiły mnie odpowiedzi kolegów z klasy, ile świadomość i pewność, z jaką omawiali ten temat. Policjant, lekarz, piosenkarz, leśniczy, piekarz. Po prostu nie przyszło mi wcześniej do głowy, powinienem chcieć kimś zostać, wiedzieć, co mnie czeka. Zauważyłem także, że profesje wybrane przez wielu chłopców odpowiadały zawodom, które wykonywali ich ojcowie.

Nałóż sobie przez ten czas, kiedy się zastanawiasz, poleciała mama.

Nie, dziękuję, nie jestem głodny.

Masz zły humor?

Nie.

Poprawi ci się, jak coś zjesz.

Wzdycham możliwie głośno i chwytam łyżkę. Nakładam na talerz spaghetti i polewam je porcją sosu. Moje ulubione danie, na które wcale nie mam teraz ochoty. Mimo to posypuję je tartym serem i patrzę, jak mama sobie nakłada.

Czemu my nic nie wiemy? – pytam.

Ależ kochanie, mówi mama, jedz teraz.

Biorę widelec do ręki. Jakoś nie mogę nim trafić w porcję na talerzu. Za chwilę znów pytam:

Czemu nie możemy się chociaż dowiedzieć, jaki zawód wykonywał tata?

Mama przerywa jedzenie.

To nie ma żadnego związku. Możesz mieć własne plany. Tylko one są ważne... plany. Wszystko i tak się po drodze zmieni. Takie jest życie. Od czegoś się zaczyna i to prowadzi do czegoś innego, a to drugie do trzeciego. Rzadko się zdarza, żeby trzynastolatek wiedział, co będzie robił za dwadzieścia, trzydzieści lat.

Wszyscy inni wiedzieli.

Tak naprawdę to nie. Mówili tylko o tym, co robią ich mamy...

I ojcowie, uzupełniam. Sama widzisz.

Mama patrzy na mnie jeszcze przez chwilę i wraca do jedzenia. Okno w kuchni jest uchylone, słyszę dobiegające z dołu, od podwórza, znajome głosy. Chłopcy i dziewczyny, u których w domu nie jada się wspólnie albo zgodnie z określonym porządkiem, bawią się na zewnątrz. Pod tym względem mama jest nieustępliwa. Zawsze tak jemy.

Czy to z tego powodu masz zły humor? – pyta mama.

Po jej spojrzeniu widzę, że teraz ona też jest skwaszona. Przerwała jedzenie. Włosy odgarnęła za uszy, ma na sobie zieloną bluzę z kapturem i w tej chwili wygląda na dziesięć lat młodszą, niż jest w rzeczywistości.

Czasem, odpowiadam.

Nie ma znaczenia, jaki jest zawód taty czy mamy. To się w ogóle nie liczy. Jeszcze zobaczysz.

Mama znów zaczyna nawijać na widelec spaghetti. Kiedy zbierze odpowiednią ilość makaronu, zamacza ją jeszcze w sosie. Wszystko dzieje się szybciej niż dotychczas.

Co to było? – pytam.

Co było co? – pyta mama, przełknąwszy kluski.

Tata. Co robił?

Już wiele razy o tym mówiliśmy.

Nigdy nie odpowiadasz.

No bo nie na wszystko jest odpowiedź.

Dzwonię widelcem w krawędź talerza i opieram łokcie na stole. Mam pełną świadomość, że zaraz będę większy niż mama. Wydaje się, że podczas rozmowy robi się taka malutka.

Może nie na wszystko jest odpowiedź, mówię, ale na to jest.

Patrzę jej w oczy. Patrzę tak poważnie, jak tylko potrafię. Przez twarz mamy przebiega cień, chociaż światło dzienne wpada do środka za moimi plecami i rozświetla jej oczy.

Czasem im mniej się wie, tym lepiej, mówi miękko, a poza tym twój tata nie miał właściwie żadnego zawodu.

Był bezrobotny?

Daleki od tego. Ale nie każda praca jest taka, że łatwo można opisać, na czym polega. Jeżeli ktoś obcina włosy, to jest fryzjerem. Ale jeżeli ktoś rozmyśla, patrzy, co się stanie, i podejmuje decyzje, to już jest trochę trudniej.

Nigdy nie mówiłaś, że mój tata rozmyśla, patrzy i co tam jeszcze.

No, to teraz ci mówię. To wszystko, co wiem. Wszystko, co można wiedzieć. A teraz jedzmy.

Mama przechodzi od słów do czynów, zabiera się za jedzenie. Promienie słońca w letni wieczór dobrze jej robią, wygląda młodo i nieskazitelnie. Czuję się pokonany. Zupełnie jakby od świata oddzielały mnie mury zamkowe i fosa, a na murach stali łucznicy. Nic nie jest możliwe. A potem coś dociera do mnie z taką jasnością, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczyłem.

Wiem, kim zostanę, jak dorosnę, mówię.

Mama podnosi wzrok.

Będę szukał odpowiedzi.

Jej spojrzenie się zmienia. Na twarzy pojawia się jakiś nowy cień, którego nie umiem odczytać.

Wrzesień 2013

Wyglądało na to, że byliśmy z Henrikiem Saarinenem w posiadłości tylko we dwóch. Ani na podwórzu, ani na parkingu za budynkiem gospodarczym nie widać było żadnego samochodu. Skoda Enni zniknęła. Może dzisiaj był jakiś ogólny dzień wolny, o którym zapomniano mi powiedzieć.

Adrenalina, która utrzymywała mnie na chodzie podczas jazdy samochodem, a właściwie już wiele godzin wcześniej, powoli opuszczała mój organizm. Nie spałem od półtorej doby, każda moja komórka o tym wiedziała. Piekły mnie oczy, najpewniej były też czerwone, skręcało mnie w żołądku, głód dawał o sobie mocno znać. Postąłem chwilę przy samochodzie, starając się uzyskać równowagę. Wiatr przynosił łagodnymi falami zapach morza. Sprawiało mi to przyjemność, tak być powinno. Czułem, jak wichur smaga mnie od stóp do głów, a mimo to nie czułem chłodu. Słońce zamigotało zza ciemnych chmur jasno i niebieskawo, kiedy rozpiąłem kurtkę, wymacałem w kieszeni na piersi tomik poezji i przypomniałem sobie, że na karcie tytułowej widnieje podpis mamy.

– Zostawmy rzeczy w range roverze – odezwał się Henrik Saarinen i zatrzasnął drzwi samochodu.

Nie poszedłem za nim od razu, więc zatrzymał się i odwrócił.

– O co chodzi?

– Nic, nic – odparłem. – Przyjemnie jest pooddychać chwilę rzeńskim powietrzem.

Rozejrzał się.

– Cisza. Przyjemna cisza. – Po tych słowach obrócił się i ruszył ku głównemu budynkowi.

Ogromny mężczyzna pozostawał ogromny także na tle morza, lasu i nieba; silne, potężne ramiona zwisały wzdłuż tułowia, jak cumy transatlantyku gotowe na każdy sztorm. W myślach strząsałem z siebie – po raz nie wiem który dzisiaj – zmęczenie i zrobiłem pierwszy krok. Usłyszałem dzwoniący w mojej kieszeni telefon, zobaczyłem, że Henrik Saarinen znów się zatrzymuje, i czekałem.

– Odbierz, nie mamy całego dnia! – krzyknął.

Wyjąłem komórkę z kieszeni.

Amanda.

– Mam nadzieję, że nie dzwonię nie w porę – powiedziała.

– Absolutnie nie – odparłem.

Machnąłem ręką do Henrika Saarineną, że może iść, dokądkolwiek zamierzał. Zdziwiłem się, że posłuchał mnie i poszedł dalej. Zrobiłem jeszcze kilka kroków w przeciwnym kierunku, żeby mieć pewność, że mój głos nie dotrze do jego uszu.

– Mogę cię spytać o jedną rzecz? – odezwała się Amanda.

– Jasne.

– Skąd się tam wzięłeś?

– Gdzie?

– Na ulicy, zeszłej nocy.

– Przypadkiem.

– Przypadkiem?

– Musiałem przyjechać do Helsinek. Miałem coś do załatwienia.

To była prawda. Tylko dlaczego brzmiało to tak, jakbym się tłumaczył.

– Więc było nas troje – rzuciła. – Troje ludzi, którzy przypadkiem znaleźli się nocą na tej samej ulicy.

– No tak – potwierdziłem, zastanawiając się jednocześnie, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Słyszałeś, o czym rozmawialiśmy z Harmalą?

Tak naprawdę nie słyszałem ani słowa z ich rozmowy. Amanda jednak inaczej zinterpretowała moje milczenie.

– To nie to, co myślisz. Tyle ci chciałam powiedzieć.

– W porządku. Ja i tak nic nie słyszałem.

Nie chciałem pytać, co ich łączy. Właściwie to chciałem. Ale to nie była odpowiednia chwila.

– W ogóle cię nie znam. Dozorco... czy tobie można ufać?

– Jasne – odparłem, gapiąc się na horyzont. Morze było w tym miejscu błękitne i rozległe.

– Gdzie jesteś? – zapytała niespodziewanie zupełnie zmienionym tonem, jakby lekkim i beztróskim. Henrik Saarinen był już tylko sylwetką na horyzoncie.

– W posiadłości.

– Czyli zeszłej nocy byłeś tutaj, a teraz jesteś już tam. Zgadnij, kogo mi przypominasz? Ojca. On też harcuje całą noc, a potem, rzeński jak skowronek, jedzie gdzieś, choćby nie wiem jak długo nie spał.

Saarinen zniknął za głównym budynkiem.

– Naprawdę twój ojciec tak robi? – zapytałem.

– Zawsze tak robił. Mówi, że wyśpi się po śmierci.

– Jest tutaj.

– Tata?

– Tak.

Przez chwilę nic nie mówiła.

– To dobrze. Możecie się bliżej poznać. Może nauczy się ufać tobie tak jak ja. Znalazłbyś się, jak to się mówi, na wyciągnięcie ręki.

Zastanawiałem się, ile w jej słowach było ironii, zamierzonej ironii. Rozważania przerwało mi pojawienie się Henrika Saarinena, który wyszedł zza domu. Dzieliło nas ponad sto metrów. Szedł w stronę pustego podwórza, machając do mnie prawą ręką; wyraźnie mnie wzywał. Jakby tego było mało, na podwórzu zatrzymał się doskonale znany mi samochód.

– Słuchaj, Amando, porozmawiamy później – powiedziałem i rozłączyłem się.

□ □ □

Ketomaa zatrzymał zdezelowanego citroena xantię na środku podwórza, ale nie wysiadł z samochodu. Wryło mnie w ziemię. Saarinen zatrzymał się przy rogu głównego budynku. Tworzyliśmy niemal idealny trójkąt równoboczny, ustawienie wydawało się wyreżyserowane, jakbyśmy grali w jakimś zachodnim filmie. I rzeczywiście, coś w tym być musiało, bo przecież Ketomaa nie znalazł się tutaj przypadkiem. Ruszyłem w stronę jego samochodu. Pół sekundy później Saarinen postąpił tak samo. Nie zauważyłem, czy zrobił tak, wzorując się na mnie, czy też sam zdecydował się ruszyć naprzód.

Ketomaa wysiadł z samochodu. Ja i Saarinen zbliżyliśmy się do niego z różnych stron. Były policjant nie widział żadnego z nas, patrzył prosto przed siebie, pomiędzy nami. Kiedy dystans się zmniejszył, zobaczyłem, że mruży oczy. Gdy podszedłem jeszcze bliżej, dostrzegłem, że oślepia go słońce, ponieważ właśnie zdjął ciemne okulary. Po obu stronach wąskiego, długiego, bladego nosa widać było bolesne, czerwono-fioletowe wgniecenia. Szary garnitur wyglądał na tym chudym mężczyźnie na znoszony i za duży. Kołnierzyk białej koszuli był poźółkły, a chociaż niebieski krawat miał idealny węzeł,

wyglądał, jakby w każdej chwili miał się ostatecznie rozpaść. Robiło to wrażenie, jakby mężczyzna wraz z całym ubraniem mógł w każdej chwili eksplodować.

Znałem go i wiedziałem, że wszystko to stanowi zasłonę dymną. To był tylko pozór: stary, pomarszczony facet w niechlujnym ubraniu. Nie zdziwiło mnie zatem, kiedy wyciągnął do mnie rękę i przedstawił się donośnym głosem:

– Ketomaa, dzień dobry.

Saarinen dołączył do nas. Nawet nie spojrzałem w jego stronę, patrzyłem byłemu policjantowi prosto w oczy. Nic z nich jednak nie mogłem wyczytać. Zupełnie jakbym patrzył w niebo lub wodę: było to, co było.

– Aleksii Kivi – powiedziałem, puściłem jego dłoń i odsunąłem się nieco.

Saarinen wyciągnął swoją wielką łapę do policjanta.

– Henrik Saarinen. Dziękuję, że pan przyjechał.

Panowie potrzęsneli sobie dłonie. I bez patrzenia wiedziałem, że obaj mieli mocny uścisk ręki. Ketomaa uniósł lekko kąciaki ust w uległym uśmiechu.

– Piękne miejsce – rzekł.

– Dziękuję. To moje oczko w głowie. I dlatego pan tu jest. – Saarinen zwrócił się w moją stronę.

Ketomaa także musiał wykonać ćwierć obrotu, żeby stanąć twarzą do mnie. Stałem na swoim miejscu i nic nie mówiłem. Bardzo uważałem, żeby utrzymać opanowany, spokojny wyraz twarzy. Mój nastrój był daleki od tego stanu. Skoczyło mi tętno, bałem się, że tętnica szyjna pulsuje równie niezauważalnie, jak duży pies merda ogonem. W uszach waliło mi od przepływu krwi i czułem, że moje zmęczone, wygłodniałe, obolałe ciało może mnie w każdej chwili zdradzić. Wiatr od morza targał mi włosy, ale nie chłodził.

– Aleksii, na pewno nie masz nic przeciwko, że do naszych spraw wrócimy trochę później – powiedział mój pracodawca. – Muszę wejść na chwilę do środka i porozmawiać z panem detektywem.

– Naturalnie – odparłem. – Może wypakuję samochód? Muszę tylko wiedzieć, gdzie zanieść te rzeczy.

Henrik Saarinen spojrzał na mnie i uśmiechnął się.

– Nie trudź się. Zakupy i tak miały zostać w bagażniku. Możesz zająć się swoimi zwykłymi obowiązkami.

– A co takiego należy do twoich obowiązków? – zapytał zniecierpliwiony Ketomaa.

Spojrzałem na niego.

– Dozorca – odparłem i po chwili się poprawiłem: – Jestem dozorcą.

– Od razu poznać detektywa. – Saarinen uśmiechnął się do mnie, a jego mina znów zbliżyła się do pogardliwego, próżnego grymasu, który już tyle razy dziś widziałem. – Detektyw nikogo nie wyklucza z kręgu podejrzanych – powiedział i zwrócił się do byłego policjanta: – Z tego, co widzę, Aleksiiemu można zaufać. Rzadko się myślę w tych sprawach. Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że to jeden z najbardziej rzetelnych ludzi, jakich kiedykolwiek w życiu spotkałem.

Obaj patrzyli teraz na mnie. Czułem, jak ich spojrzenia oceniają moją twarz, przewidują moje reakcje. Wiedziałem, że widać po mnie zmęczenie, ogromne zmęczenie. Nie odzywałem się. Miałem tylko nadzieję, że twardo stoję na ziemi, w przenośni i dosłownie.

– Czy można ci ufać, Aleksii? – zapytał Ketomaa.

– Jasne – potwierdziłem. – Na sto procent.

– I na pewno nie jesteś w żaden sposób zamieszany w sprawy, z powodu których mnie tu wezwano?

Teraz przyszła pora, żeby Saarinen wtrącił się do rozmowy:

– Aleksii o niczym nie wie. Nie ma potrzeby go niepokoić.

Ketomaa nie spuszczał ze mnie wzroku. Nie miałem pojęcia, o co chodzi. Cała sytuacja nosiła wszelkie znamiona koszmaru, złego snu, w którym na próżno próbuje się przebierać nogami i machać

rękami.

– O jakie sprawy chodzi? – zapytałem.

– Nawet w takich pięknych miejscach jak to zdarzają się brzydkie rzeczy – powiedział Saarinen. – Możemy o tym porozmawiać później.

– O jakie sprawy chodzi? – Tym razem pytanie skierowałem do byłego policjanta. Nie żebym się spodziewał odpowiedzi, ale chciałem, żeby coś powiedział.

– Jestem zobowiązany utrzymać całą sprawę w tajemnicy, ale wy, panowie, możecie o tym później porozmawiać. – Ketomaa mówił śmiertelnie poważnym tonem. Brzmiał, jakby naprawdę każde słowo znaczyło dokładnie to, co miał na myśli.

Saarinen też już się nie uśmiechał.

– Dobra, pora na nas. Proszę za mną, panie Ketomaa.

Były policjant popatrzył jeszcze na mnie. Nadal nie potrafiłem nic wyczytać z jego miny ani z oczu. Odwrócił się. Był tak chudy, a marynarka taka obszerna, że obrót wyglądał, jakby wykonano go w dwóch etapach: najpierw obrócił się mężczyzna we wnętrzu garnituru, a dopiero potem przekręcił się materiał.

Odprowadzałem ich wzrokiem, aż zniknęli we wnętrzu domu. Duże czarne wejście połknęło ich szybko i bez problemu.

Czułem, że muszę natychmiast coś zjeść i odpocząć. Poszedłem do budynku gospodarczego, do mojego małego mieszkania na piętrze. Wszedłem po schodach i nacisnąłem klamkę; drzwi nie były zamknięte. W pokoju i w kuchni panowała cisza jak makiem zasiał. Zrobiłem sobie kanapkę i usiadłem przy oknie, żeby ją zjeść. Miękki chleb owsiany, pieprzowa metka i ser topiony smakowały wybornie, ale jednocześnie uwalniały od dawna poskramiany głód. Cały czas biegałem między blatem kuchennym a stołem, to dokrajając chleba, to go jedząc. Po szóstej kromce zaparzyłem sobie kawy i wypilem ją, nie czekając, aż wystygnie. Poparzyłem sobie język i przełyk.

Pomyślałem, że jestem zbyt zmęczony na rozmyślania, a jednak nie byłem. Urywki z dzisiejszych wydarzeń mieszały się w mojej głowie, a ja próbowałem ułożyć z nich spójną całość. Ketomaa tu przyjechał. Samo to budziło we mnie tysiące obaw. Na przykład, że zdradzi Henrikowi Saarinenowi, kim jestem i co tutaj robię. I właściwie, jak to możliwe, że znalazł się tutaj akurat w tej chwili? Zjawił się jako detektyw, co do tego nie było wątpliwości. Ale dlaczego? Jeżeli Saarinen potrzebował wynająć detektywa, jakim cudem padło akurat na emerytowanego policjanta? I dlaczego, do cholery, wynajął detektywa? Co takiego miał wyśledzić?

Czułem się wykończony. Bolała mnie każda cząstka ciała.

Najważniejsze pytanie: czy straciłem jedyną osobę związaną z moją przeszłością, jedyną, której ufałem? Czy byłem tak samotny w świecie, jak się tego czasami obawiałem?

Oparłem prawy łokieć na stole i starałem się utrzymać wzrok na zaparkowanym na podwórzu Citroenie. Myśl o zaśnięciu wydawała się niemożliwa, ale ciało wiedziało lepiej, czego potrzebuje.

□ □ □

Trzy pukania do drzwi, każde głośniejsze od poprzedniego. Ostatnie usłyszałbym nawet z Helsinek. Instynktownie spojrzałem przez okno, Citroen stał nadal na podwórzu. Podniosłem się i nieomal upadłem. Ból dał o sobie znać natychmiast, mostek i żebra przypominały o niedawnych ciosach. Oparłem się o ścianę i spojrzałem na zegarek. Przespałem półtorej godziny wsparty na prawej ręce, w ten sposób uśmierzając ból. Chwiejnym krokiem podszedłem do drzwi i zdrętwiałą ręką nacisnąłem klamkę.

– Nastąpiła zmiana w naszych planach – oznajmił Henrik Saarinen. – Później do tego wrócimy, teraz muszę jechać do Helsinek.

Dopiero co się obudziłem i chyba było to po mnie widać. Oczywiście Saarinen zasłaniały duże, czarne okulary przeciwsłoneczne.

– Wyglądasz, jakby coś cię zdenerwowało – powiedział. – Czy coś się stało? – Pytanie nosiło wszelkie znamiona empatii, ale kryjący się w kącikach ust zaczątek uśmiešku nie wskazywał na to.

– Nic takiego. Chyba się zdrzemnąłem. W jakich planach?

– Mieliśmy przecież spędzić ten dzień razem, jak zapewne pamiętasz. Muszę jednak jak najszybciej wrócić do miasta.

– Coś się stało?

Saarinen nie odpowiedział od razu.

– Nic, co by mogło wpłynąć na nasze sprawy.

– Na nasze sprawy?

– Jak już rano mówiłem, widzę w tobie kogoś więcej niż tylko dozorcę. Musimy później porozmawiać o twoich przyszłych obowiązkach. O innych sprawach też. Ale w tej chwili muszą one poczekać. Czas na mnie.

Coś mi się przypomniało.

– Samochód jest nadal zapakowany.

– No jasne. – Saarinen uśmiechnął się ponownie. – I tak zostanie. Nie potrzebuję auta. Ketomaa mnie podrzuci.

Teraz się wreszcie obudziłem.

– Detektyw Ketomaa?

Czarne okulary stanowiły zasłonę, za którą kryły się spojrzenia Saarinen, zmiany wyrazu twarzy, to, co naprawdę miał na myśli i co pozostawało niedopowiedziane. Miałem ochotę zedrzeć mu je z oczu i zobaczyć prawdę. Jeżeli taka w ogóle istniała.

– Tak. Czemu cię to dziwi?

Który z nas udawał lepiej? Który z nas wiedział, że ten drugi wie, że ten drugi wie coś, czego ten drugi jeszcze nie wie?

– Myślałem tylko o tych porannych zakupach. I samochodzie.

– Na wszystko przyjdzie właściwa chwila – powiedział Saarinen. – Powoli się do niej zbliżamy. Ta sprawa nie ma dla ciebie żadnego znaczenia. Pracujesz dla mnie. Jeżeli powiem, że do końca dnia masz wolne, to do końca dnia masz wolne.

– Jasne.

– Taka jest władza. O tym też później porozmawiamy. Miłego dnia.

Odwrócił się. Już przyzwyczaiałem się do tego miękkiego szybkiego ruchu. Choć nadal przyprawiał mnie o dreszcze. Stałem w drzwiach i patrzyłem, jak Saarinen zbiega po trzy stopnie naraz, zatrzymuje się i odwraca. Okulary odbijały jasne światło słoneczne i sprawiały, że na twarzy mężczyzny widać było dziwną mieszankę ludzkich rysów i krajobrazu.

– Dlaczego ten człowiek sprawia, że tak się zachowujesz? – spytał.

– Jak?

– Niepewnie i niezdarnie. Czy to wynika z jego osobowości, czy chodzi o to, że jest detektywem?

– Nie zauważyłem, żebym był niepewny...

– Ale ja zauważyłem. Widzę takie rzeczy. Ketomaa to mój znajomy. Nie martw się. Jest na naszych usługach.

Czarne okulary jeszcze przez chwilę patrzyły w moją stronę, potem Saarinen dotarł do końca schodów i zniknął.

Zamknąłem drzwi i zbliżyłem się do okna. Ketomaa podszedł do samochodu i przez chwilę stał odwrócony plecami do budynku gospodarczego. Chudy kark był jeszcze szczuplejszy niż wcześniej, a blada skóra jeszcze jaśniejsza. Henrik Saarinen schylił się przy wsiadaniu do samochodu, a były

policjant nadal stał obok pojazdu. Nie ruszył głową nawet o jotę, ale to wystarczyło. Wiedziałem, że wie, że jest obserwowany. Chwilę później opadł na siedzenie, citroen ruszył i okrążył podwórze.

Nie miałem wielu możliwości. Mógłbym się domagać wyjaśnienia wszystkiego, co moim zdaniem był niejasne, niesprawiedliwe i niewłaściwe. Ale nikt nie miał obowiązku wytłumaczyć mi czegokolwiek. Utrata samokontroli i poddanie się nieukierunkowanej, skumulowanej we mnie złości mogło zaprzepaścić szansę. Zniszczyć okazję, żeby wyjaśnić tę jedną sprawę, którą chciałem tutaj wyjaśnić.

Zrobiłem głęboki wdech i zdecydowałem się oprzeć na tym, co do tej pory mi zawsze pomagało: na cierpliwości i wyczekiwaniu na odpowiedni moment. Poczułem, że to więcej niż dobre rozwiązanie. Przyszedł mi przy tym do głowy nowy pomysł i postanowiłem natychmiast wcielić go w życie.



Młody śledczy, o którym kiedyś mówił Ketomaa w związku ze sprawą morderstwa Tanji Metsäpuro, nazywał się Sami Mansikka-aho. Nie był moim rówieśnikiem, chociaż z punktu widzenia emerytowanego policjanta tak się mogło wydawać. Był dziewięć lat starszy, miał szerokie barki, ciemne kręcone włosy, uważne niebieskie oczy i albo dla żartu, albo na poważnie hodowaną brodę. Zdążył już skoczyć po drugą filiżankę cierpkiej, żółtawej i dziwnie smakującej herbatą kawę, zanim jeszcze nawet usiedliśmy w chińskiej restauracji, żeby wypić pierwszą. Niecierpliwymi rękami wypompował napój z wielkiego termosu, podszedł do stolika i spojrzał mi w oczy.

– Nieco mnie to zaskoczyło – odezwał się. – Trzeba przyznać.

– Moja matka zaginęła dwadzieścia lat temu. Dziesięć lat temu badałeś sprawę Tanji Metsäpuro. Moim zdaniem te dwie sprawy mają ze sobą wiele wspólnego.

Mansikka-aho podrapał się w policzek równie niecierpliwie, jak wcześniej nalewał sobie kawę.

– Chodziło mi o nasze spotkanie – wyjaśnił. – Dzwonisz do mnie i mówisz, że Ketomaa cię rekomenduje i zapewnia, że szczerzy z ciebie gość i ogólnie do rzeczy, a potem prosisz mnie, żebym nic staremu o tym nie mówił. Nie żebym go zbyt często widywał. W ogóle go nie widziałem, odkąd przeszedł na emeryturę... Ile to już będzie... rok, dwa.

Oczy śledczego były zaczerwienione i błyszczące, jakby przed chwilą wtarł w nie cebulę. Zdaje się, że obaj byliśmy zmęczeni, każdy po nieprzespanej – z jakiegoś powodu – nocy.

Było popołudnie, pora lunchu dobiegała końca. Mansikka-aho złapałem na komisariacie, próbowałem porozmawiać z nim przez telefon, ale kiedy dowiedział się, o co mi chodzi, uznał, że woli spotkać się ze mną osobiście. Do Helsinek pojechałem land cruiserem Henrika Saarinenena, wbrew wyraźnemu zakazowi właściciela.

– Wiem, że to brzmi jak sprzeczność. Ale znasz moją przeszłość.

Siedzieliśmy w najdalszym boksie na sali. Policjant siorbał kawę, wargi zaciskały się na krawędzi filiżanki, a dźwięk był donośny. Za plecami Mansikka-aho rozpościerała się pusta sala restauracyjna, której okna wychodziły na parking. Szary bagażnik land cruisera wyglądał jak trumna, która czeka, aż ktoś do niej wejdzie.

– Wiem tyle, ile wiem – powiedział, z brzękiem odstawiając filiżankę na spodek. – Twoja matka zaginęła, kiedy miałaś trzynaście lat.

Zrobił krótką przerwę. Spuścił oczy na stół. Po chwili znów patrzył na mnie.

– Sprawę prowadził Ketomaa. Przez lata musieliście się spotykać, a przynajmniej rozmawiać, ponieważ wiesz o Tanji i o tym, że uczestniczyłem w tym śledztwie.

– A zatem wiesz, że wiem całkiem sporo. Chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o Tanji

Metsäpuro. Dzisiejszy...

– Moje pierwsze ciało. To znaczy pierwsze morderstwo.

– Wiem.

Mansikka-aho uniósł nieco brwi.

– W sprawie Tanji nie ma nic nowego – powiedział.

– Ale masz podejrzanego.

– Nie mogę ci mówić o takich rzeczach. Policja nie...

– Wiem, że to Henrik Saarinen.

Mansikka-aho odchylił się.

– Jeżeli Ketomaa powiedział ci o takich rzeczach, można to uznać za wykroczenie.

– Nikt mi nie musiał o tym mówić. Henrik Saarinen odpowiada za zniknięcie mojej mamy.

Czerwone oczy policjanta ani mrugnęły, jego spojrzenie pozostało absolutnie niezmienione. A jednak ze sposobu bycia Mansikka-aho coś zniknęło, odprężenie czy może bez troska. Zauważyłem to, chociaż w jego minie, gestach i sylwetce nic się nie zmieniło. Różnica widoczna była jedynie w przekrwionych oczach, które patrzyły w jeszcze większym skupieniu.

– I komu przedstawiłeś swoją teorię?

– Nikomu – odparłem. – Oprócz ciebie i twojego kolegi.

– I nikomu innemu?

– Nie. A czemu?

Mansikka-aho, zamiast odpowiedzieć, zadał mi pytanie:

– Jak Ketomaa na to zareagował?

– Powiedział, że choć rozmiar buta się zgadza, fason nie pasuje. Że nie każda woda to deszcz. I że można raz trafić w dziesiątkę, a potem już zawsze poza tarczę. I tym podobne. W skrócie tyle, że chociaż coś wydaje się prawdziwe, prawdą nie jest. Jak dobrze go znasz?

– Bez przesady, no może trochę – powiedział Mansikka-aho i chyba chciał jeszcze coś dodać. Ale tego nie zrobił. – Trochę – powtórzył.

Nie wiedziałem, co powiedzieć, więc spróbowałem kawy. Popiłem ze znajdującej się przede mną kałużą cierpkiej, nienadającej się do picia cieczy. Odsunąłem filiżankę na bok i oparłem łokcie na stole.

– A w ostatnim czasie? – spytałem. – Pracowałeś nad śledztwem w sprawie morderstwa Tanji Metsäpuro?

Mansikka-aho patrzył na mnie przez chwilę.

– Czy Ketomaa nie odpowiedział ci na te pytania? Skoro wcześniej dzielił się z tobą poufnymi informacjami, czemu nie miałby tego zrobić teraz? O ile wiem, nadal bierze jakieś detektywistyczne zlecenia, choć w zasadzie jest na emeryturze. Czemu do niego nie zadzwonisz?

Nie odpowiedziałem od razu. Mansikka-aho to zauważył.

– No, dlaczego?

– Dlaczego co?

– Dlaczego go o to nie zapytasz? Czyżby nie miał już obsesji na punkcie tej sprawy?

– Ketomaa? Nigdy nie miał. Wprost przeciwnie. Zawsze twierdził, że jestem na złym tropie.

Mansikka-aho popatrzył na mnie, jakbym zdarł z siebie koszulę i złapał lianę.

– Żarty sobie stroisz? Ketomaa nie robił do emerytury nic innego. Cały wolny czas poświęcał na twoją matkę i Tanję Metsäpuro. Niemal codziennie dręczył mnie pytaniami. Mówiłem mu to samo co tobie. Nie ma nic nowego.

Już miałem zapytać o Henrika Saarinena, ale nagle zmieniłem zdanie. Zapachy tłustego chińskiego jedzenia, muzyka, o której trudno było powiedzieć, czy to jeden puszczyany od nowa krótki kawałek, czy też niekończąca się piosenka, oraz policjant, którego przekrwione oczy były jak światła ostrzegawcze obcej maszyny. Po jego minie widziałem, że właśnie zauważył, że popełnił błąd. Powiedział coś, co

wywarło skutek odwrotny do zamierzonego. Co spowodowało tego doświadczonego policjanta? Słoneczny jesienny dzień zachęcająco wpadał do środka, poczułem, że powinienem wyjść i zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Muszę iść – powiedziałem.

– Zaczekaj – poprosił Mansikka-aho.

Zatrzymałem się.

– Jeżeli wiesz, co robi Ketomaa, lepiej mi o tym powiedz – oznajmił. – Jeśli nadal prześladowuje niewinnych ludzi, to trzeba z tym skończyć. To poważna sprawa.

W restauracji panowała cisza, jakby właśnie odwołano w niej przyjęcie.

– Rozumiem cię – kontynuował policjant zauważalnie łagodniejszym tonem niż do tej pory. – Wiem, że przeszedłeś piekło. To może prowadzić do różnych myśli. A jeżeli podsycy je jeszcze nieco zbikowany emeryt, to może dojść do błędnych interpretacji.

– Jak to podsycy?

Mansikka-aho oparł łokcie na stole.

– Ketomaa nie odszedł na emeryturę. Odesłano go. Przemyśl to. To się zaczęło już dawno temu.

– Co się zaczęło?

– Różne dziwactwa. Najprawdopodobniej zaraz po zniknięciu twojej mamy. Dawno temu. Prawie dwadzieścia lat.

– Jakie dziwactwa?

– Nie wolno mi o nich mówić. Ale powiedzmy, że wiązały się z taką obsesyjną potrzebą doszukiwania się powiązań między zdarzeniami i faktami, między którymi nie było żadnego związku.

Milczałem. Docierało do mnie, że popełniłem właśnie kardynalny błąd. Zmęczenie, zniecierpliwienie, rozczarowanie i podejrzewanie wszystkich i o wszystko wzięły nade mną górę.

– Oczywiście – odpowiedziałem. – Natychmiast ci powiem, jeżeli się czegoś o nim dowiem. Ale to brzmi naprawdę dziwnie.

– A te historie o przed chwilą wspomnianej osobie prywatnej... – drażył Mansikka-aho. – O panu Saarinenie. Najlepiej zapomnieć. Nie ma do nich żadnych podstaw.

– Naturalnie.

Mansikka-aho się uśmiechnął. W czerwonych oczach zapaliło się jeszcze dodatkowe światło.

– Dobrze, że się spotkaliśmy – rzucił. – Cieszę się, że do mnie zadzwoniłeś. Kto wie, co mogłoby się wydarzyć?

□ □ □

Rzeczy w bagażniku wydawały się, w pewnym sensie, odpychające. Niby były to tylko narzędzia, ale miały przecież jakieś zadanie. W przeciwnym razie Henrik Saarinen by ich nie kupował.

Pomyliłem się. Ketomaa był cały czas o krok – a nawet kilka – przede mną. Wygrzebałem telefon, wyszukałem numer starego policjanta i spróbowałem do niego zadzwonić. Już miałem mu zostawić wiadomość, ale się rozłączyłem.

Przejeżdżałem nad torami kolejowymi. Blokowisko dzielnicy Itä-Pasila wznosiło się przede mną niczym w science fiction dla ubogich. Po obu stronach wiaduktu biegły na północ i południe dziesiątki torów kolejowych. Część szyn była w świetle dnia uderzająco brązowa, pordzewiała i zapomniana. Najbardziej błyszczące ciągnęły się pod wiaduktem w kierunku stacji, która pyszniła się po lewej stronie przejazdu niczym enerdowski basen, wstydliva pamiątka szarego, kiepskiego budownictwa z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, kiedy czekało się, że może gotowy budynek zacznie kiedyś jakoś

wyglądać, zacznie żyć własnym życiem, jak to się stało w przypadku stuletnich kamienic.

Skręciłem w prawo i zaraz potem w lewo w ulicę Aleksisa Kivi. Wiedziałem, dokąd jechać. Nie było sensu dzwonić i mówić, że zaraz będę. Przeciąłem Sturenkatu, skręciłem we Fleminginkatu, minąłem bibliotekę, zjechałem nad brzeg morza po wschodniej stronie centrum i przyspieszyłem.

Dlaczego Ketomaa przez lata dawał mi do zrozumienia, że jestem na złym tropie, że dzwonią, ale nie wiem, w którym kościele? A w tym samym czasie wszystkimi sposobami pracował nad zaginięciem mojej mamy i morderstwem Tanji Metsäpuro. Aż wreszcie go wylali, jeżeli wierzyć słowom Mansikka-aho.

Musiałem dwa razy przejechać Liisankatu, zanim wreszcie znalazłem miejsce do zaparkowania. Land cruiser potrzebował dużo miejsca zarówno na długość, jak i szerokość, wzbudziło to moje wątpliwości co do znaczenia określenia miejski samochód terenowy. Olałem opłatę za parkowanie. W świetle dnia ulica była szersza i widać było, gdzie jej początek i koniec, w nocy wrażenie było zupełnie inne.

Wcisnąłem przycisk domofonu. Ponowiłem próbę. Sprawdziłem listę lokatorów i zacząłem rozważać kolejny krok, kiedy usłyszałem za plecami wesołe szczeknięcie. Mały biały piesek chciał się dostać do środka. Na drugim końcu smyczy znajdowała się kobieta w średnim wieku ubrana w obszerną wiatrówkę i okulary w grubych oprawkach. Nawet na mnie nie spojrzała, otwierając drzwi, i pozostawiła mojej decyzji, czy chcę wejść do budynku, czy zostać na zewnątrz. Poszedłem za nią na pierwsze piętro, gdzie mały biały pies zaszczeakał po raz drugi i poprowadził kobietę pod jej drzwi. Wspiąłem się na czwarte piętro i zadzwoniłem.

Wreszcie za drzwiami usłyszałem kroki. Ktoś się zatrzymał.

Drzwi pozostały zamknięte.

Wrzesień 2013

Następnego dnia poszedłem na brzeg. Morze kołysało się spokojne i niebieskie, na drzewach nie poruszał się nawet jeden liść. Po deszczu i czarnym niebie pozostały tylko wspomnienia: kilka kałuż tu i ówdzie i wilgotny zapach lasu dokoła. Postawiłem skrzynkę z narzędziami na ganku przed sauną. Nie było tam właściwie nic do naprawy. Chciałem trochę odetchnąć. Skrzynka stanowiła rekwizyt. Jeżeli ktoś by pytał, nadal byłem dozorcą i wypełniałem swoje obowiązki.

Ketomaa pozostawał nieosiągalny. Enni przyjechała wcześniej rano; świadczyły o tym świeże ślady opon skody na wilgotnym żwirze. Od Amandy nie miałem wiadomości. Żadnego wyjaśnienia, dlaczego nie otworzyła mi drzwi. Nie przeszkadzało mi to myśleć o niej. Przypominało mi o niej wiadro przy schodach na ganek, w którym tamtego burzliwego wieczoru znalazły się ryby i nóż. Od czasu spotkania z Mansikka-aho wpadłem w jakiś paranoiczny nastrój.

Siedziałem ze złożonymi dłońmi, modliłem się o cierpliwość i patrzyłem na morze. Wiele razy powtarzałem sobie, że wszystko jest w porządku, że posuwam się naprzód zgodnie z planem. Tak głęboko zatopiłem się w swoich myślach, że nie zwróciłem uwagi na kroki – regularne stukanie o deski na ganku – aż w końcu dotarło do mnie, że usłyszałem je o wiele wcześniej, niż zdołałem zarejestrować w umyśle.

Kalosze z długimi cholewami były czarne i wypucowane do połysku. Czyste, prosto ze sklepu były również zielone bojówki i granatowa kurtka myśliwska. Wszystko wyglądało jak spod igły. Podobnie nowy był pewien szczegół, który wzbudził we mnie niepokój. Prawą rękę oplatał biały, gruby bandaż. Opatrunek zaczynał się w połowie palców i chował pod rękawem kurtki, kciuk i opuszki palców pozostały odkryte. Rana musiała obejmować kłykcie oraz obie powierzchnie dłoni. Wyglądało to poważnie, ale najwyraźniej poza dłońmi wszystko było w porządku, ponieważ twarz Saarineny zdobił szeroki uśmiech.

– Naturalnie przy pracy – odezwał się. – Jakżeby inaczej. Przecież już późno.

Podniosłem się ze swojego miejsca. Saarinen zdjął okulary przeciwsłoneczne.

– Dzień dobry. – Przeszedłem na środek ganku. Z jakiegoś powodu spodziewałem się, że Ketomaa podąży o parę kroków za Saarinenem, ale to, oczywiście, nie była prawda. Pomysł, że Ketomaa miałby iść za Saarinenem wydawał się absurdalny, to tylko produkt mojej wyobraźni. Czy na pewno?

– Chyba padało tutaj cały dzień i noc? A może deszcz zaczął się dopiero pod wieczór?

– Nie zwróciłem uwagi. W nocy lało jak z cebra.

– Obudziło cię to?

Czy obudziło mnie?

– Chyba tak – odparłem i natychmiast zmieniłem temat. – Jak tam w Helsinkach?

– Czy deszcz zaczął się w dzień, czy dopiero w nocy? Chyba wiesz takie rzeczy, skoro pracujesz zarówno na zewnątrz, jak i w środku i spędzasz tutaj czas.

Oczy Saarineny były niezbadane jak zwykle. Pogardliwe spojrzenie nie zniknęło, ale patrzył na mnie teraz z ciekawością i szczerym zainteresowaniem.

– Prawdę mówiąc – zacząłem – chyba zasnąłem zaraz po waszym wyjeździe i spałem do wieczora. Wieczorem naturalnie padało.

– Spałeś w godzinach pracy?

W głosie Saarineny nie było irytacji ani zdziwienia. Wprost przeciwnie. Na jego twarzy pojawił się wyraz autentycznego rozbawienia.

– Czy powinienem ci to potrącić z pensji? – spytał, choć nie oczekiwał żadnej odpowiedzi. – Żartuję, Aleksy. Nie interesuje mnie rozliczanie cię z godzin pracy. Jestem od tego daleki. Lubię cię. Widzę w tobie wiele z siebie. Wiesz, czego chcesz, nie zajmujesz się błahostkami. A przede wszystkim jesteś gotów podjąć ryzyko.

Ostatnie zdanie wciąż brzęczało mi w uszach. Można było je rozumieć na tysiąc sposobów.

– Zaryzykuję zatem, chociaż istnieje groźba, że to nie moja sprawa, i zapytam, po co był tu wczoraj detektyw Ketomaa?

Saarinen znów spojrzał na morze.

– Skradziono mi coś, co chciałbym odzyskać.

Tomik poezji. To musiał być tomik poezji. W którym było imię mojej mamy. Który zatrzymałem dla siebie.

– O jaką kradzież chodzi? – spytałem. – Czyżby włamano się do posiadłości?

– Czy włamanie nie byłoby sprawą dla policji?

Saarinen postąpił parę kroków naprzód i oparł się obiema dłońmi o balustradę ganku, ale prawa ręka była wrażliwa. Najwyraźniej wzdrygnął się z bólu. Zabrał rękę z barierki. Jego twarz była dla mnie prawie niewidoczna, oprócz kawałka lewego profilu – policzka, kącika ust i brody. Zdradzały fale silnego bólu. Ręka powoli zawisła wzdłuż ciała, jakby Saarinen obawiał się ponownego zranienia.

Milczałem. Przed słońcem przetaczały się niemal prześwitujące obłoczki. Miałem nadzieję, że będzie mówił dalej. Po chwili rzeczywiście kontynuował:

– To osobisty przedmiot, który posiada wartość tylko dla mnie, i trudno jest to wyjaśnić komuś zatrudnionemu na publicznym stanowisku. Chodzi mi o to, że trudno byłoby kogoś zmotywować do odzyskania mojej własności.

– Rozumiem.

– Czyżby? – spytał, nie patrząc w moją stronę.

– Tak, rozumiem – odparłem. – Wynająłeś detektywa, ponieważ możesz go zmotywować pieniędzmi. Możesz mu zapłacić za dostarczenie przedmiotu.

– Nie do końca o to mi chodziło – powiedział Saarinen i odwrócił się. Zrobił to powoli, ponieważ najwyraźniej obawiał się o swoją prawą rękę. Niezależnie od tego, co się w nią stało, rana musiała być głęboka i rozległa, albo poważna, a przynajmniej bolesna.

Kiedy wykonał półobrót, oparł się plecami o barierkę. Morze zostało za jego plecami, duża głowa i odważne spojrzenie zasłoniły mi horyzont, wypełniły niebo.

– Miałem na myśli przedmiot. Chodzi o pamiątkę. Masz takie rzeczy? Które wydają się tylko tanimi, bezwartościowymi przedmiotami, które już dawno wyszły z mody i nie pasują do żadnego wystroju, ale przedstawiają wartość dla ciebie, ponieważ przypominają jakiś okres, jakąś osobę i otacza je czyjś dotyk, zupełnie jakby za sprawą jakiejś siły były czymś więcej niż tylko rzeczą: zepsuty samochód, stara portmonetka albo krzesło, na którym strach usiąść.

– Chyba każdy ma coś takiego.

– Ja pytam o ciebie.

Gdzieś w pobliżu darła się mewa, ale nie było jej widać. Pomyślałem o kokardkach, jednej związanej przez mamę i drugiej przez kogoś innego. O wazonie, do którego wrzuciłem obie, i oczywiście o książce, która przyciągnęła mnie do regału.

– Ja też.

– A zatem wiesz, o czym mówię.

Mewa znów wrzasnęła.

– Czy zakupy są nadal w samochodzie? – zapytał, jakby na chwilę zapomniał poprzedni temat

rozmowy.

– Tak jest. – Skinąłem głową.

– Świetnie. A klucze w pudełku w przedpokoju?

– Tak.

– A zatem wszystko jest naszykowane.

Nie wiedziałem, co miał na myśli. Jego wzrok nadal był skierowany prosto na mnie. Saarinen otaczało jasne niebo, które dodatkowo odbijało się w morzu, i sprawiało, że nie widziałem dobrze jego oczu. Powoli wyciągnął prawą obandażowaną rękę przed siebie i zatrzymał ją na wysokości piersi, jakby ją oglądał. Potem opuścił ją niespiesznie i podniósł głowę, najwyraźniej, żeby na mnie popatrzeć.

– Czy nie masz czasem wrażenia, że jesteś więźniem jakiejś myśli albo uczucia? Jakby w tym pięknym miejscu, w samym środku słonecznego dnia, wisiała nad tobą czarna chmura, a pod spodem znajdowała się bezdena, ciemna pustka? I choćbyś wciągał głęboko to świeże powietrze i delectował się wspaniałym krajobrazem, nic nie sprawi, że poczujesz się częścią tego piękna i tego świata.

– Chyba każdy...

– Ja pytam ciebie.

Doskonale wiedziałem, o czym mówi. Jednak przyznanie się było z jakiegoś powodu nieprzezwyciężenie odpychające.

– Ja też tak mam.

– Wiedziałem, że mnie zrozumiesz. – Przekręcił głowę tak, że nie patrzył już na mnie, lecz gdzieś między klony albo na skraj lasu. – Właściwie od zawsze cierpię z powodu tego uczucia. Z wyjątkiem krótkich, pojedynczych chwil. To można porównać do topienia się na suchym lądzie. Albo do zamknięcia w tak małym pomieszczeniu, że trzymany w ręce klucz na nic się nie zda, bo nie można się ruszyć. Albo do snu, w którym przed czymś uciekasz, ale nogi nie chcą cię słuchać, a krzyk nie pomaga, ponieważ usta nie chcą się porządnie otworzyć, język skołowaciał, a dźwięk jakoś nie chce się uformować.

Saarinen delikatnie poruszył zabandażowaną dłoń w bok, jakby chciał sprawdzić, czy ból nadal tam jest i czeka. Ostatecznie ręka pozostała na swoim miejscu. Doszedłem do wniosku, że musiała zabołec go równie mocno jak przed chwilą, kiedy próbował się na niej oprzeć o barierkę.

– Pozostaje tylko jedno pytanie: czy jesteś gotów zrobić wszystko, żeby się tego pozbyć? Choćby miało to oznaczać, że musisz stawić czoło niebezpieczeństwu i możesz stracić wszystko? Za to dostaniesz, może tylko przez krótki czas, może tylko na parę sekund, szansę, by oddychać wolno, na nowo odkryć świat.

Nie odpowiedziałem. Saarinen kiwał powoli swoją dużą głową.

– Pewnie, że jesteś. Wiem to i widzę. Takich rzeczy nie wpisuje się do życiorysu ani nie kładzie łopatą do głowy tym, co i tak tego nie rozumieją. To się albo czuje, albo nie. Długo walczyłem z moimi naturalnymi skłonnościami. Próbowałem wcisnąć się w formę, stać się kimś, kim nie jestem, zdawało mi się, że tak trzeba. Ale to niemożliwe. Sprawia tylko, że więzienie robi się jeszcze ciaśniejsze i duszne. Szarpanina tylko napina pęta, zacieśnia więzy. Czy ja mówię za dużo?

Przeszedł kilka kroków w moją stronę i zastygł w odległości dwóch metrów. Zapachy morza, mokrego lasu i nieodłącznie związanego z sauną palonego drewna mieszały się z wodą kolońską Saarinen, która przenosiła myśli z morskiego brzegu do błyszczących stalowych wind wieżowców, sal konferencyjnych o przeszklonych ścianach i sprawiała, że cała sytuacja wydawała się jeszcze bardziej absurdalna.

– Absolutnie nie – odpowiedziałem szczerze.

Przez chwilę patrzył na mnie w milczeniu, wytarł zdrową ręką z policzka jakiś brud lub kroplę deszczu, która może połaskotała go w twarz. W jego oczach było teraz oprócz ciekawości coś miękkiego i szczerego, co w innych okolicznościach uznałbym za chęć pomocy.

– Każdy chce być wolny, Aleksi. Każdy chce się wydostać z więzienia. Ale to się nie uda, zanim nie

zrozumie się, gdzie jest to więzienie. U każdego znajduje się ono w tym samym miejscu. Między uszami. Oskarżamy przeszłość o wszystko, co nam zrobiono, winimy rzeczy i osoby, które stanęły nam na przeszkodzie do czynienia tego, czego naprawdę chcemy. Wolimy być więźniami, niż wziąć odpowiedzialność za naszą wolność.

Prawie dwumetrowy mężczyzna mówiący spokojnym, beznamiętnym głosem brzmiał jak brat psychopata Paula Coelha. Najwyraźniej jednak naprawdę mówił to, co myślał, a mnie interesował każdy okrucieństwo informacji, każdy kawałek nitki, który prowadziłyby do kłębka. Właśnie rozważałem naturalnie brzmiące odpowiedzi albo pytania pomocnicze, które mógłbym wtrącić w te rozważania, kiedy Saarinen zafrapowało coś innego i zrobił kilka kroków w prawo naprzód. Przerazająco zręcznie wyjął z wiadra na ryby finkę Amandy i wyprostował się. Odwrócił się i przy akompaniamencie skrzypu desek podszedł do balustrady, zatrzymał się i stał tak plecami do mnie.

– A jednak jesteśmy gotowi na tak niewiele – powiedział, kładąc nóż na barierce. Ruch był uważny. Saarinen odsunął się teraz o jakieś pół metra.

Scena przypominała przygotowania do wprawek malarskich: przypadkowy, barczysty mężczyzna stoi plecami do malarza, balustrada, nóż, a w tle rozlewające się szeroko niebieskie morze. Zbliżyłem się do niego, kiedy usłyszałem, że coś mówi. Jego twarz nadal była zwrócona w kierunku brzegu.

– To już dwadzieścia lat, odkąd po raz pierwszy zrozumiałem, co muszę zrobić, żeby się uwolnić. Od tej pory podporządkowuję swoje życie temu celowi: planuję, czekam, aż wreszcie działam i przez chwilę czuję promienie słońca na twarzy, a moje myśli pędzą, lecą, jak powinny. Przez chwilę jestem wolny, wychodzę z więzienia, nie siedzę już zamknięty w ciasnej, dusznej, ciemnej małej beczce.

Milczałem.

– Widzisz nóż na balustradzie?

Odparłem, że tak. Ostrze błyszczało w słońcu, a rączka była żółta jak cząstka świeżej cytryny.

– Jak byś go użył? Jeżeli mógłbyś z nim zrobić, co tylko byś chciał? Czy użyłbyś go, żeby się uwolnić? Czy byłbyś na to gotowy?

Patrzyłem na finkę, na jej opływowy kształt i ostry koniec. Im bardziej się na niej koncentrowałem, im dłużej na nią patrzyłem, tym bardziej mnie kusila.

Coś z jej charakteru, przeznaczenia – by kłuć, kroić, filetować, przecinać i otwierać – zmuszało moją rękę do wyciągnięcia się w jej stronę, a gdzieś w moim umyśle rozkwitała i rosła wizja, a właściwie seria obrazów, scen, w których gonię Saarinenę, chwytam nóż, zaciskam dłoń na rączce tak mocno, że bieleją mi kłykcie, palce bolą i wreszcie – niczym w zwolnionym filmie – zamaszystym ruchem zadaję na ślepo cios Saarinenowi tylko po to, żeby mieć to już za sobą, żeby przyspieszyć nieuniknione.

Zmusiłem się do spokojniejszych myśli. O tym, po co się tutaj znalazłem. Saarinen odwrócił się powoli. Jego wielka twarz była skąpana w słońcu, które złociło ją i zmiękczało rysy.

– Aleksi, kim chcesz zostać w przyszłości?

To były słowa mojej mamy.

Sierpień 1993

Szminka mamy jest czerwona jak filmowa krew. Mama siedzi na krześle w przedpokoju ubrana w najlepsze ciuchy. Na jej nogach niczym czarne perły błyszczą szpilki. Nie usiedzą dłużej w miejscu niż sekundę albo dwie. Paznokcie błyszczą tą samą czerwienią co usta. Mama wyciera śnieżnobiały rękaw bluzki, jakby w nadziei, że jest tam włos albo chociaż pyłek kurzu. Co chwilę spogląda na zegarek.

Oboje czekamy: mama na kogoś, z kim spotkanie bardzo ją ekscytuje, a ja na podwózkę na mecz piłki nożnej. Spakowana sportowa torba leży w przedpokoju jak pies, który wyczekuje spaceru.

Z mamy bije zdenerwowanie, które stara się ze wszystkich sił ukryć. Nie jestem przyzwyczajony do takiego widoku. Zaczynam się niecierpliwić i potęguję tym dziwną atmosferę, która narasta już od rana.

Za oknem leje jak z cebra, deszcz rozbija tafle wody i wali w okna przy każdym podmuchu wiatru. To dlatego cały dzień siedzę w domu. Podobnie jak mama, która ma ostatni tydzień urlopu. Z jakiegoś powodu mam uczucie, że to ostatni dzień wakacji, chociaż jest środek tygodnia, a szkoła zaczyna się za dziesięć dni. I nie tylko ostatni dzień wakacji. Wydaje mi się, że coś jeszcze się kończy. Ale nie wiem co.

Mama wstaje z krzesła i przegląda się w lustrze. W odbiciu widzę jej oczy. W oprawie ciemnego makijażu są jak gwiazdy. Nasze spojrzenia się spotykają. Mama nie odwraca się, tylko patrzy na mnie z lustra. Próbuje się uśmiechnąć.

Z kim gracie?

Właśnie takie zachowanie mnie irytuje. To samo od rano. Już trzy razy zadała to pytanie. Jestem pewien, że mnie nie słucha, mimo to mówię:

Z Gnistanem.

Kolejne pytanie przekonuje mnie, że jednak dotarła do niej moja odpowiedź.

W Oulunkylä?

Tak.

W taki deszcz?

Tak.

Wiem, co powie trener i zebrani na boisku ojcowie. *Taki tam kapuśniaczek, chłopaki, na boisko, gramy.* To mi pasuje. Deszczowe i błotniste boisko jest dla mnie o wiele bardziej kuszące niż jakiegokolwiek inne miejsce, nieważne, czy daleko, czy blisko. Duszę się w czterech ścianach. Zamiast sufitu potrzebuję nieba. W tej samej chwili dociera do mnie, że moje zniecierpliwienie nie wynika wcale z deszczu i zamknięcia. Spoglądam na mamę i natychmiast narasta we mnie niepokój.

Dokąd idziesz?

Jej spojrzenie odbija się w lustrze, jak krążek o krawędź bandy na lodowisku.

Idę na spotkanie.

Z kim?

Z jednym znajomym. Wrócę mniej więcej o tej samej porze co ty.

Czemu nie powiesz, jak ten znajomy się nazywa?

Mama kończy czesanie włosów, odkłada szczotkę na bok, obraca się wokół własnej osi i patrzy na mnie. Nie uśmiecha się. Wygląda na zdecydowaną.

Powiem. Na pewno już dziś wieczorem. Myślę, że dziś wieczorem będę ci miała więcej do

powiedzenia.

Za tydzień kończę czternaście lat i rozumiem już co nieco z relacji międzyludzkich. Wiem, na przykład, że nie wszystko jest tym, czym się wydaje, i że niektóre sprawy potrafią się skomplikować, a ludzie mogą zdradzić coś, co normalnie pozostaje ukryte.

Co takiego?

Spojrzenie mamy poważnieje jeszcze bardziej.

Ty wiesz, co jest dla mnie najważniejsze. Ty. I nasz dom. Pamiętasz o tym, prawda?

Kiwam głową.

Zawsze chciałam chronić ciebie i nasz dom.

Staje przede mną i kładzie mi dłoń na ramieniu, tuż przy szyi. Wtarte w nadgarstek perfumy przynoszą zapach pomarańczy i bzu. Zagląda mi tak głęboko w oczy, że wszystko inne znika.

Nigdy nie przyprowadziłabym tutaj kogoś, kto nie byłby dla mnie ważny. Z tego samego powodu nie zdradziłam imienia tego znajomego. Tylko ważni ludzie mają imiona. Ale choćby nawet mieli imiona i przychodzili tutaj, nikt nie stanie między tobą a mną.

A potem mama robi coś, czego już dawno nie robiła. Przyciska dłonie do moich uszu i całuje mnie w czubek głowy. Myślę, że mam tam teraz ślad szminki, który może zobaczyć każdy, kto jest wyższy ode mnie. Deszcz staje się jeszcze bardziej zachęcający. Mama prostuje się, znów spogląda na zegarek, idzie do lustra, poprawia szminkę i zakłada zdjęty z wieszaka cienki płaszcz. Wokół szyi okręca czerwony szalik i bierze do ręki parasol. Ciągłe nie odpowiedziała na moje pytanie. Coś się we mnie gotuje.

Nie idź, mówię zaskoczony własną reakcją. W słowach, nad którymi w ogóle się nie zastanowiłem, kryje się zniecierpliwienie z całego dnia i zdenerwowanie. Dociera do mnie, że właśnie to chciałem powiedzieć.

Mama się odwraca. Uśmiecha. Uśmiech jest ciepły.

Zobaczmy się za parę godzin. Powodzenia na meczu.

Poczekaj, mówię i wkładam prędko adidas, a na ramię zarzucam energicznie torbę.

Co się dzieje?

Milczę. Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie. Nie wiem, co się dzieje i czy coś się dzieje. Po prostu muszę wyjść razem z nią. Schodzimy z czwartego piętra. Mamy zasadę, właściwie to nie zasada, a taka zabawa. Używamy windy tylko wtedy, jeżeli niesiemy coś ciężkiego, i to do góry. Teraz też przestrzegamy tej zasady, która nie jest zasadą.

Wyasfaltowane podwórko jest jak jezioro. Stoimy przy wyjściu z klatki schodowej.

Czy wszystko w porządku, Aleksis?

Nagle znajduję właściwe słowa. Ale akurat w tym momencie słychać klakson z saaba 900, który należy do ojca Vesy, i muszę biec.

Po drodze do samochodu moknę i na zawsze zapominam, co miałem mamie powiedzieć. No, może nie na zawsze.

Tylko na dwadzieścia lat.

Wrzesień 2013

Nie wszystko jest tym, czym się wydaje.

Niewypowiedziane słowa. Słowa, co do których mam wątpliwości, że miałyby jakiegokolwiek znaczenie i zapobiegły temu, co stało się później i co stać się musiało.

W powietrzu wisała jesień, morze połyskiwało i mieniło się niczym dywan utkany ze srebra. Henrik Saarinen czekał, co odpowiem.

– Pozostanę raczej tym, kim jestem – odpowiedziałem. – Dozorcą. Nie chcę nic innego. Nie chcę być kimś innym.

Saarinen odchylił głowę. Mężczyzna, który kochał własne myśli, własny głos i wpływ, jaki tym wywierał na ludzi w zasięgu jego słuchu i wzroku. Uwielbiał grę i zawody. Chciał mnie zwyciężyć na wszystkie sposoby. Gra trwała, dopóki nie zgodziłem się poddać.

– Odmawiasz rozwoju – zarzucił mi. – Chociaż nie wiesz, co mogę ci zaproponować.

– Choćbym wiedział, nadal będę dozorcą.

Uśmiechnął się. Uśmiech był jak zgniły owoc.

– Założymy się?

– Nie sądzę, żebym miał dość...

– Nie o pieniądze – przerwał mi Saarinen.

– A zatem o co?

Mewa, która, jak sądziłem, zniknęła, znów wrzasnęła. Nie wiadomo do kogo, bo leciała samotnie.

– Dzisiaj jest wtorek. W piątek wieczorem pojedziesz ze mną. Jeżeli to, co zobaczysz i czego doświadczysz, nie zmieni twojej opinii, ja się poddam. Jeżeli po tej nocy nadal będziesz chciał być dozorcą, a nie kimś innym, powiem ci, co chcesz wiedzieć.

Deski pod nami zaczęły wirować. Miałem wrażenie, że odrywają się od słupków, przenoszą na morze, gdzie kołyszą się, próbując nas z siebie zrzucić. Byłem pewien, że niebo zmieniło kolor, ciemniało, dopóki nie zrobiło się całkiem czarne i nie spowiła nas ciemność. Zawrót głowy trwał najwyżej pół sekundy, po czym znów stanąłem twardo na szerokich deskach i popatrzyłem na Henrika Saarinena.

– Skąd wiesz, że akurat to coś chcę wiedzieć? – spytałem.

– Po prostu wiem – odparł.

– Dlaczego nie powiesz mi tego od razu?

– To nie odpowiadałoby żadnemu z nas. Już wcześniej mówiłem, że widzę w tobie więcej niż tylko dozorcę. Widzę w tobie coś, czego ty sam nie widzisz. Wierzysz w przypadki?

Pytanie Amandy.

– Nie – odpowiedziałem.

– Cokolwiek by mówić, ja też nie. W piątek wieczorem o dziewiątej. Nie planuj sobie nic innego.

Ciekawość i zainteresowanie zniknęły z twarzy Saarinena. Zamiast tego pojawiło się spojrzenie nieznoszące sprzeciwu.

– Niech będzie – zgodziłem się. – W piątek wieczorem. Czy potrzebujemy...

– Nie musisz się troszczyć o nic prócz tego, żebyś był na miejscu. Dziesięć lat przygotowywałem

program na ten wieczór.

Po tych słowach Saarinen wyciągnął z kieszeni telefon i przyjrzał mu się. Nie słyszałem dzwonka ani wibracji, ale on najwyraźniej zobaczył na wyświetlaczu coś, co sprawiło, że zmarszczył brwi.

– Do piątku – pożegnał się, minął mnie i opuścił taras.

Po chwili w powietrzu unosiła się już tylko słodko-kwaśna mieszanka zapachu jego wody po goleniu i oddechu. Słyszałem kroki oddalające się w tym samym rytmie co wtedy, kiedy się zbliżały. Niebo było całkowicie niebieskie, jeśli nie liczyć tu i ówdzie rzuconych w powietrze obłoczków, które przypominały kawałki waty. Mewa znów się rozdarła. Przeleciała dokładnie nade mną, po czym zaczęła krążyć nad morzem i brzegiem. Jasnoszary ptak nie potrafił się widocznie zdecydować, czy zaufać swoim skrzydłom i poszybować nad bezmiarem, czy bezpiecznie latać w pobliżu stałego lądu.



Do końca dnia byłem zajęty pracą: wyczyściłem rynny w budynku sauny, porąbałem brzoźowe drwa, naoliwiłem suche, skrzypiące stare zawiasy i rozebrałem rusztowanie malarskie, które przestało już wiele zim przy zachodniej ścianie budynku gospodarczego i nie nadawało się do niczego innego, jak tylko na opał.

Z pozoru robiłem na pewno wrażenie bardzo zajętego i zatopionego w swoich zajęciach. Jednak praca fizyczna miała znaczenie drugorzędne.

Czekałem.

Wrzesień 2013

Czekałem, chociaż miałem wrażenie, że zaraz wyjdę ze skóry. Kiedy wreszcie wątpliwości zamienią się w twardą, niezbitą pewność? Czy zawsze konieczne jest trzęsienie ziemi, nagłe zdradzenie całej prawdy, czy nie wystarczy układający się kawałek po kawałku obraz?

Ketomaa nadal był nieosiągalny. Amanda nie odbierała telefonu.

Noc minęła powoli, pełna niespokojnych, dziwnych snów. Obudziłem się jakby na kacu, chociaż nie wypłem ani kropli.

Wczorajsze słowa i twarz Saarinen a wirowały mi w głowie. Nieustannie słyszałem jego głos, miałem przed oczami obandażowaną dłoń, a wszystko wskazywało na jedną i tę samą sprawę – napomknięcie o dziesięcioletnim oczekiwaniu, fakt, że wszystkie zakupy miały poczekać w samochodzie... no, po prostu wszystko. Sposób, w jaki Saarinen odnosił się do mnie: po ojcowsku, jakby rozmawiał z uczniakiem, jakby chciał pokazać mi coś, przez co, jego zdaniem, zmienię obrany w życiu kierunek. I najwyraźniej wiedział o mnie więcej, niżbym sobie tego życzył.

Pozmywałem naczynia, ubrałem się i właśnie miałem wyjść, kiedy usłyszałem kroki na schodach. Były charakterystyczne, a jednak mnie zaskoczyły. Nie słyszałem przecież samochodu. Poczekałem na pukanie, po czym otworzyłem.

Markus Harmala nie wyglądał, jakby przyjechał tu w sprawach służbowych. A przynajmniej nie był w garniturze. Zresztą nie prezentował się odpowiednio do pełnionej funkcji. Być może wynikało to z ubioru à la playboy z lat dziewięćdziesiątych – biała bluza z kapturem, wyblakłe, poszarpane dżinsy i śnieżnobiałe adidas – a może chodziło o mowę ciała, prężenie mięśni, które miało zastąpić pewność siebie albo usilne próby patrzenia na mnie z góry. Albo była to kombinacja tego wszystkiego, a ponieważ byliśmy równego wzrostu, sprawiało to wrażenie młodocianego mierzenia sił.

Nie miałem na to ochoty. Już i tak przesadziłem wtedy w nocy na ulicy. Postąpiłem nieroztropnie, brawurowo. Nie powinienem sobie na to pozwolić.

– Wtedy w Helsinkach nie dokończyliśmy pewnej sprawy, panie dozorco – oświadczył Markus Harmala.

Gestem zaprosiłem go do mieszkania. Stał na środku pokoju i rozejrzał się.

– Chyba nigdy tu nie byłem – powiedział. – Urocze miejsce. Lokum na miarę właściciela.

– Ja jestem zadowolony.

Porozglądał się, po czym znów spojrzał na mnie.

– Ach tak – mruknął, a po tonie głosu wywnioskowałem, że nie było to pytanie. Nie spuszczał ze mnie wzroku, spojrzenie było uporczywe. – Podoba ci się mieszkanie tutaj? Wykonywanie pracy dozorca?

– Tak.

– I przypadkiem przechodziłeś w nocy ulicą? Prawda?

Harmala wsadził ręce do kieszeni i przyjął ostentacyjnie wyluzowaną pozę.

– Tak – przytaknąłem.

Kiedy żaden z nas się nie odzywał, słyszałem wiejący w koronach wiatr, brzęczenie lodówki i własny oddech. Harmala odsunął od stołu krzesło i usiadł na nim. Chyba spodziewał się, że zrobię to

samo. Poszedłem w jego ślady. Jaśniejący na zewnątrz dzień rzucał blask na deski, z których zbity był stół. Słoje w drewnie stawały się jakby cieplejsze, przepływały faliście.

– Pracuję tu od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego – powiedział. – Kiedy skończyłem osiemnaście lat, zaproszono mnie na rozmowę kwalifikacyjną. Sam Henrik przeprowadził ją ze mną i zatrudnił. Osobiście. Znam tych ludzi i to miejsce.

Przez okno obok nas wlewało się do pokoju słońce i oświetlało tylko połowę twarzy Harmali. Teraz ukazała mi się w nowym świetle. Wydawała się dziwna już lata temu, kiedy śledziłem go, gdy przebywał w towarzystwie Saarinen. Ale wcześniej nigdy nie patrzyłem na niego pod tym kątem, w takim oświetleniu, nie dostrzegałam złotawej karnacji, rysów twarzy i linii włosów.

– W tym czasie wiele już widziałem – ciągnął. – Różne rodzaje sytuacji i ludzi. Tutaj, w pracy, ale też przy okazji. Wokół bogatych kręcą się rozmaite typy. – Znowu krótka, ciężka chwila milczenia. Harmala położył łokcie na stole. – Zwłaszcza wokół bogatych, młodych, ładnych kobiet.

Spojrzałem mu w oczy. Wiedziałem, że go to obchodzi.

– Nie znalazłem się tutaj z powodu Amandy, jeżeli to miałeś na myśli – oświadczyłem.

Wyglądał, jakby analizował moje słowa.

– Nadal tylko dozorca – rzucił w końcu.

– Tak.

Harmala oparł się na krzesło. Wyglądał, jakby ciągle szukał odpowiedniej pozycji, która pozwoliłaby mu panować nad sytuacją i przeciwnikiem. Zdecydował się patrzeć na mnie z głową zwróconą w stronę okna.

– To wszystko?

– Podobnie ja mógłbym spytać, czy jesteś tylko kierowcą?

Podrapał się po policzku w miejscu, gdzie spodziewał się zarostu.

– Powiem wprost – zaczął, unikając odpowiedzi na moje pytanie. – Możesz mydlić oczy Henrikowi, nawet Amandzie, ale mnie nie. Taki z ciebie dozorca, jak ze mnie armator.

Patrzyłem na niego. Myślałem o tym, co powiedział. Zaczął tu pracę w roku zniknięcia mojej mamy. Miał osiemnaście lat. Młody mężczyzna, w świetle prawa pełnoletni.

– Możesz to sprawdzić – powiedziałem. – Jestem stolarzem, dziesięć lat pracowałem w tym zawodzie. Zatrudniono mnie tutaj po serii rozmów kwalifikacyjnych. Elias Ahlberg powie ci na pewno to samo.

– Nie obchodzi mnie twoja przeszłość. Obchodzi mnie natomiast, żebyś się stąd wyniósł i... zostawił Amandę w spokoju, żebyś zniknął z jej życia i życia nas wszystkich.

– Odłóżmy Amandę na bok...

– Odłóżmy Amandę na bok – przedrzeźniał mnie Harmala. – Mówisz, kurwa, jak jakiś zakochany. Albo stąd zjeżdżasz i zostawisz ją, albo...

Zawiesił głos, patrzył na mnie przez chwilę, a potem wstał z krzesła. Skierował się do wyjścia, chciał chyba coś powiedzieć, ale nie dokończył, tylko trzasnął drzwiami na odchodnym.

□ □ □

Przed południem zwoziłem żwirek na brzeg koło pomostu i zsypywałem możliwie blisko wody. Cienka mierzewa miała być poszerzona i wzmocniona. Powietrze było rześkie, dzień jasny, pracowałem w samym podkoszulku. Sprawiało mi to przyjemność, mięśnie napinały się, pot lał się ze mnie strumieniami, czułem na skórze bryzę od morza i oddychałem pełną piersią. Odgrzałem w mikrofalówce przygotowane wczoraj przez Enni lasagne, zjadłem, popiłem dwoma kubkami kawy i wróciłem na brzeg.

Niebo stało się jakby ciut bardziej granatowe niż jeszcze godzinę albo dwie temu.

Jeżeli miałbym wybierać – lub jeżeli ktoś zapytałby mnie kiedyś o zdanie – wrzesień był moim ulubionym miesiącem. Światła nie brakowało, natura była taka subtelna, piękna i świeża, a oczyszczone przez nocne deszcze powietrze było jeszcze ciepłe; liście drzew mieniły się jak szalone, las pachniał wilgocią i zarazem sucho, a w bezchmurne dni niebo odurzało głębią błękitu. We wrześniu także miasta tętniły najmocniej życiem. Letnie lenistwo dobiegło końca, a zdmuchujący z drogi zimowy powiew zimna jeszcze nie nadszedł. Gorąc nie dusił, przejmujące zimowe wichury nie dokuczały. Dla mnie wrzesień był zawsze najbardziej optymistycznym miesiącem, wypełnionym obietnicami i otwierającymi się możliwościami.

Kiedy nadszedł wieczór, a moje prace dobiegły końca, przypomniałem sobie, co Enni mówiła wczoraj, gdy przyszedłem po jedzenie. Kiedy wszyscy, których obsługuje, wyjadą, ona także opuści posiadłość na dwa dni, a ja zostanę sam. Zapytała, czy mam w związku z tym jakieś pytania dotyczące majątku, a ja już miałem powiedzieć coś błyskotliwego, ale w ostatniej chwili zmieniłem zdanie. Podziękowałem za jedzenie i zgodnie z prawdą odparłem, że nie mam żadnych pytań i wszystko jest jasne. Patrzyła na mnie jakby w oczekiwaniu na kolejną gafę, na to, że może wypśnie mi się jeszcze coś moim zdaniem zabawnego i nadarzy się okazja, żeby mnie ofuknąć i potępić. Jednak nic takiego się nie stało. Może moje zachowanie wywarło na niej wrażenie. W oczach kobiety pojawił się nowy błysk sygnalizujący zaciekawienie i hardość.

– A jak ci się poza tym układa?

Po raz pierwszy w jej głosie zabrzmiało coś innego niż tylko brak akceptacji czy rozczarowanie. Odpowiedziałem, że wszystko idzie świetnie. Enni znów przyglądała mi się przez chwilę, ale jej przyjacielskie nastawienie znikło. Zupełnie jakby dostrzegła we mnie coś, co wcześniej umknęło jej uwadze.

– To dobrze – rzuciła. Z jej tonu wywnioskowałem jednak, że wcale nie uważała tego za nic dobrego. Dostrzegłem także, że chciała jeszcze o coś zapytać, o coś zupełnie innego, ale czas minął i udała się w swoją stronę, a ja w swoją.

Siedząc w oknie, oglądałem zachód słońca i zapalające się latarnie na podjeździe. Oblane żółtą poświatą podwórze przypominało złotą fałdę w krajobrazie. W ciemnościach dwór wydawał się większy niż w rzeczywistości. Na tle gasnącego fioletowego nieba przypominał mały zamek, który historia wyrzuciła na margines, co zresztą czyniła ze wszystkim innym.

Słońce zaszło. Okrągły, błyszczący księżyc usadowił się nad lasem.

Nie widziałem ani nie słyszałem odjeżdżającego samochodu Enni, ale w którymś momencie zniknął on z parkingu przed posiadłością. Odczekałem jeszcze pół godziny, po czym opuściłem mieszkanie, zszedłem po schodach na skraj dziedzińca, zatrzymałem się i rozejrzałem. Nie widziałem ludzi ani samochodów. Enni miała rację. Zostałem sam. Nareszcie.

Otworzyłem swoimi kluczami drzwi do dworu, byłem przygotowany na wpisanie kodu wyłączającego alarm i tu czekała na mnie niespodzianka. Enni zapomniała o włączeniu zabezpieczenia.

Przeszedłem z sieni do holu, skąd schody prowadziły na piętro, a po prawej stronie było wielkie przejście do sali. Nasłuchiwałem. Cały czas przyswajałem sobie dźwięki, zapachy, zwyczaje i proporcje tego domu. Miałem ku temu powody. Byłem przekonany, że dwór potrafi mi zdradzić coś na temat tego, co wydarzyło się dwadzieścia lat temu. Teraz jednak budynek milczał.

Już miałem zapalić światło, kiedy zmieniłem zdanie. W dłoni dzierżyłem latarkę dającą mocne światło, za oknem świecił księżyc, a ja odrobiłem pracę domową. Wiedziałem, że muszę uważać na progach, unikać mebli, a w głowie widziałem jasno plan budynku. Jeżeli ktoś kręciłby się po podwórzu i zobaczył zapalone światła, musiałbym się z tego tłumaczyć. Znowu. Nie, dziękuję. Zamierzałem zbadać miejsca, do których nie miałem prawa wstępu.

Najpierw pozwoliłem oczom przyzwyczać się do mroku. Widziałem już to miejsce w świetle

dziennym, teraz chciałem usłyszeć, co mi powie w nocnych ciemnościach. Wszedłem na piętro po schodach, unikając środkowej części, ponieważ wcześniej zauważyłem, że przy każdym stąpieniu potwornie skrzypi. Przemieszczałem się w świetle księżyca cicho i ostrożnie. Odróżniałem obrazy na ścianach, kształty krzesel i komód, wyczuwałem dywany i klepki podłogowe pod nogami. Stąpałem miękko i bezszelestnie, aż mnie to zdziwiło. Po co to robiłem, skoro i tak byłem sam we dworze? Cały czas przeszkadzało mi, że zastałem wyłączony alarm. Oddychałem głęboko, przekonywałem sam siebie, że oprócz mnie w budynku nikogo nie ma.

W księżycowej poświacie piętro przypominało muzeum. Antyki i stylizowane meble wyglądały jak ustawione na wystawie. Znów wybrałem trasę przy ścianie, ponieważ pośrodku podłoga skrzypiała i trzeszczała jak jakieś żywe stworzenie, kiedy się na nie nadeptnie. Ominąłem pokój gościnny. Na niego też przyjdzie później kolej.

Zatrzymałem się w drzwiach do sypialni Saarineny.

Ktoś przewrócił pokój do góry nogami. Szafki i szuflady były otwarte, a ich zawartość wyrzucono na kupy, które potem rozwleczono po podłodze. Z łóżka zdarto pościel, materac leżał rzucony o ścianę. Goła, antyczna, kwadratowa rama przypominała fundamenty małego domu. Stoliki odsunięto od ścian, zrzucano z nich wszystkie przedmioty, a same meble przewrócono do góry nogami. Z niektórych komód i szaf wyrwano całe szuflady. Regał świecił pustką, książki leżały u jego stóp na podłodze. Także półki wyrwano z murów. Ocalałe na ścianach obrazy wisiały tak krzywo, że wydawało się, że jest to zamierzone ustawienie. Szuflady stolika nocnego opróżniono do ostatniego opakowania środka nasennego. Pigułki błyszcząły w świetle księżyca jak małe kamyki.

Od wyjazdu Enni upłynęła godzina z hakiem. Do budynku wszedłem dziesięć minut temu. To się zdarzyło w międzyczasie.

Kiedy odzyskałem pewność, że znów potrafię się poruszać równie miękko i bezszelestnie jak przed chwilą, odwróciłem się powoli. Obiegnęłam wzrokiem górny hol. Nie zauważyłem, żeby ktoś się krył, poruszał za zasłonami, garbił za kanapą, czy też spokojnie czekał w fotelu. Nikogo nie widziałem, niczego nie słyszałem. Nie wyczuwałem niczyjej obecności.

Wszędzie indziej panował wzorowy ład i porządek, tylko sypialnia Henrika Saarineny sprawiała wrażenie, jakby przeleciał przez nią orkan.

Jeszcze raz obróciłem się, żeby popatrzeć na zdemolowany pokój. Wytężyłem słuch. Ponieważ nie mogłem donieść o bałaganie ani Saarinenowi ani policji, postanowiłem się ulotnić. Za chwilę.

Przekopany pokój wskazywał na dwie rzeczy. Henrik Saarinen posiadał coś, czego chciał ktoś inny, ale ten ktoś jeszcze tego czegoś nie znalazł. W przeciwnym razie przerwałby w którymś momencie tę demolkę. Pokój był przewrócony do góry nogami, toteż najprawdopodobniej poszukiwania okazały się bezowocne.

Zasunąłem żaluzje w trzech oknach. Zapaliłem latarkę i zacząłem od szuflad w stoliku nocnym. Moją uwagę zwróciły przede wszystkim środki przeciwbólowe i nasenne, ale z wyrzuconej na podłogę szuflady wypadły też inne rzeczy. Większość robiła wrażenie normalnej zawartości takiego mebla: stare, artystyczne, niezapisane pocztówki, dwa złote zegarki, notesy i kalendarze, chusteczki do nosa, krople do oczu, dwa różne kremy.

Długopisy z nadrukowanymi logo restauracji. Nazwa jednej z nich wydała mi się znajoma. Południowe Molo. Restauracja nad brzegiem morza. Włożyłem długopis do kieszeni.

Zauważyłem na podłodze poszewkę zdartą z poduszki, użyłem jej do przejrzania dzienników i kalendarzy. Wszystkie były puste. Każda stroniczka. Odrzuciłem poszewkę. Omiotłem latarką ramę łóżka, zajrzałem za wyrwane ze ścian półki i szuflady, przejrzałem wyrzuconą na podłogę zawartość regału. Nic nie zafrapowało mnie tak, jak znaleziony przed chwilą długopis.

Czas naglił, trzeba było się zbierać.

Zgasłem latarkę, oswoiłem się na powrót z ciemnością i odsunąłem żaluzje. Księżycowa poświata

wlwała się do sypialni. Pomieszczenie wyglądało tak samo, jak je zastałem. Wciąż ostrożnie i bezszelestnie przeszedłem do holu i wzdłuż ściany zacząłem posuwać się naprzód, minąłem pokój gościnny. Jedno spojrzenie w jego stronę w zupełności wystarczyło. Wszystko było na swoim miejscu, niczego nie ruszono. Przez duże szklane drzwi wpadało do holu światło i było niemal jasno jak w dzień. Wszędzie panował idealny porządek i jednocześnie idealna cisza. Uważałem, żeby stąpać wyłącznie po dywanie i czułem dumę ze znajomości domu oraz umiejętności poruszania się po nim bez wydawania jakichkolwiek dźwięków.

A potem poczułem coś na skórze. Strumień powietrza. Gdzieś musiało być otwarte okno lub drzwi. Zrobiłem szybką, bezgłośnie rundkę po piętrze. Nikogo, drzwi i okna zamknięte na głucho. Przez chwilę znów się przysłuchiwałem, ale docierały do mnie jedynie dźwięki wydawane przeze mnie i przez budynek, wszystkie wydawały się naturalne: każde skrzypnięcie i trzaśnięcie, jakie może wydać stary dom.

Wróciłem do górnej części schodów, obróciłem w ręce latarkę i złapałem ją mocniej, przygotowując się na to, co mogłem zastać na dole: zbite okno, otwarte drzwi, włamywacza.

Zrobiłem głęboki wdech, podniosłem prawą nogę, żeby postawić ją na pierwszym schodku na dół, kiedy ten zniknął. Poczulem dwa uderzenia w plecy i zamiast trafić nogą na szeroki stopień, stąpnąłem w nicość, wymacałem powietrze, a latarka wypadła mi z ręki.

Wrzesień 2013

– Potrzebujesz pomocy lekarskiej?

Świat jakoś nie chciał wrócić na miejsce. Kiedy przekręcałem głowę w prawo, ziemia wirowała w przeciwnym kierunku. Jeżeli patrzyłem prosto przed siebie, wszystko przechylało się o sto osiemdziesiąt stopni. Nie czułem lewej połowy twarzy. Palcami pomacałem policzek, na którym szorstki dywan zostawił głębokie wgniecenia.

Delikatne światło nowego poranka ukradkiem wpadało przez okna, jakby sprawdzało, czy to właściwa droga.

Przekręciłem się do pozycji siedzącej. Przypomniały mi się dwa uderzenia w plecy.

– Wszystko w porządku?

Już drugie pytanie, na które nie potrafiłem udzielić odpowiedzi. Karuzela w mojej głowie zwalniała. Przekrwione oczy policjanta Mansikka-aho rozpoznałbym także przy większej prędkości.

– Skąd się tu wziąłeś? – spytałem. Wargi mi spierzchły jak wysuszony przez słońce liść. Taki też miałem smak w ustach.

– Wszedłem drzwiami – odparł.

– Którymi drzwiami?

– Głównymi. Było otwarte. Wszedłem do środka. Zobaczyłem cię.

Spróbowałem dźwignąć się do góry i oparłem się na balustradzie.

– Całą noc tu byłeś? Sypiasz tutaj?

Nie odpowiedziałem. Przybycie policjanta nie mogło zwiastować niczego dobrego. Nie miałem siły na gadkę à la Marlowe.

– Jesteś sam w domu?

Mansikka-aho miał mnóstwo pytań. Nie potrafiłem patrzeć mu w oczy dłużej niż przez sekundę lub dwie, potem zawroty głowy powracały i musiałem się skoncentrować na utrzymaniu równowagi i oddychaniu. Przydałaby się szklanka wody. Zacząłem schodzić po schodach, dotarłem do holu na dole i postanowiłem udać się do kuchni. Spojrzałem za siebie po tym, jak sprostałem wyzwaniu, którym było przebycie całej sali. Mansikka-aho szedł za mną z rękami w kieszeniach skórzanej kurtki. Czy dopiero przyjechał? Z jego twarzy i zachowania trudno było cokolwiek wyczytać. Zupełnie jakby cały czas chował się za trzydniowym zarostem i zaczerwienionymi oczami.

Dotarłem do kuchni, odkręciłem kurek z zimną wodą i poszukałem możliwie dużej szklanki. Pragnienie zmieniło się w piekielnie palące. Piłem, a Mansikka-aho przyglądał mi się z boku. Gdyby minione dni nie były przepełnione zaskakującymi zdarzeniami, to tę chwilę uznałbym być może za szczególną i opisałbym ją tak wytartym określeniem jak surrealistyczna. Ale teraz była to już dla mnie normalka: kryminalny przygląda się, jak piję wodę ze szklanki magnata. Zegar na ścianie wskazywał wpół do ósmej.

– Wcześniej wstałeś – powiedziałem.

Stał twardo na dwóch nogach, ręce trzymał w kieszeniach i patrzył mi prosto w oczy. Wyglądał jak ktoś, kto nie spudłuje nawet o milimetr w każdych warunkach.

– A ty tu pracujesz. I wcale mi o tym nie powiedziałeś podczas naszego spotkania. Co tu się stało?

– Nic takiego – odparłem.

– Ach tak... I dlatego śpisz sobie na podeście schodów. Drzwi są otwarte i nikogo oprócz ciebie tu nie ma. Co tu się stało?

Czyżby Mansikka-aho nie był na górze?

– Nic takiego. Słabo się czułem już od rana i chyba zemdlałem.

– Kiedy?

– Przed chwilą – powiedziałem. – Zostawiłem drzwi otwarte, kiedy tu wchodziłem.

Z miny policjanta nie można było wywnioskować, czy uwierzył w moje słowa. Może zastanawiał się nad tym, co powiedziałem, a może nie.

– A Ketomaa? Jest tutaj?

– Nie.

– Ale wie, że tu pracujesz?

– Wie. Czy policjanta można zapytać o to, co robi i gdzie?

– Oczywiście.

– Co tutaj robisz?

– Próbuję ustalić, gdzie jest Ketomaa. Przecież mówiłem.

– Wy chyba zazwyczaj jeździcie parami? Jesteś sam?

– Dlaczego nie? Tu chyba nie jest niebezpiecznie.

Po drodze z holu do kuchni zdążyłem już pomyśleć, że wszystko przepadło i teraz Saarinen wreszcie dowie się, kim jestem i dlaczego się tutaj znalazłem. Mansikka-aho nie był jednak z natury papłą. I może nawet mówił prawdę, że jest tu z powodu Ketomaa.

– Skąd pomyśł, że on mógłby tu być?

– A jak myślisz? Oczywiście Saarinen. Czy on wie, kim jesteś?

– Nie.

– Jesteś pewien?

Mansikka-aho patrzył na mnie czerwonymi oczami. Ktoś powinien mu wreszcie zasugerować używanie kropli, lecz nie było to moje zadanie. Czy byłem pewien? Oczywiście, że nie. Ale w tej chwili nie było miejsca na domysły.

– Jestem – odparłem i spytałem wprost: – Zamierzasz mu powiedzieć?

Mansikka-aho przez chwilę milczał, a potem zapytał:

– Kiedy ostatnio Ketomaa tu był?

Słuchał, gdy opowiadałem w miarę możliwości zgodnie z prawdą o naszym krótkim spotkaniu na dziedzińcu. Kiedy skończyłem, poradził mi:

– Uważaj na te omdlenia. W niesprzyjających okolicznościach mogą ci poważnie zaszkodzić.

Odprowadziłem go do drzwi, gdzie czekał już jasny, słoneczny poranek, tak niesamowicie czysty, że miało się ochotę paść mu w ramiona. Drzewa stały w bezwietrznym powietrzu, spokojne i stabilne, jakby wierzyły, że na zawsze zachowają piękne czerwone i żółte liście.

Mansikka-aho rozglądał się na wszystkie strony, kiedy szliśmy do jego samochodu. Sądząc po minie, potrafił się całkowicie odciąć od ujmującego jesiennego krajobrazu. Twarz miał ponurą. Zanim wszedł do auta, dodał jeszcze, że powinienem natychmiast zgłosić, jeżeli zobaczę starego Ketomaa.

Obiecałem, że tak zrobię. Mansikka-aho włączył silnik i opuścił dziedziniec.

Patrzyłem za oddalającym się samochodem i dziwiłem się, jakim cudem udało mi się zachować twarz pokerzysty i spokój. Najpierw w środku, kiedy Mansikka-aho obudził mnie i zbombardował pytaniami, a przede wszystkim tutaj, na podwórzu, w czystym, łagodnym świetle. Stałem opanowany i gapiłem się na znikającego białego ford.

W kieszeni natrafiłem na znalezionej w sypialni Saarinena długopis. Ktokolwiek przyczynił się do mojego lotu ze schodów, w ogóle nie zatroszczył się o zawartość kieszeni. Włączyłem telefon. Siedem

wiadomości.

Stało się coś okropnego. Zadzwoń.

Wiem, że Harmala tam był.

Ojciec był tutaj.

Odbiło mu.

Gdzie ty, do cholery, się podziewasz?

Życzę ci, kurwa, dobrej nocy, ty chuju złamany.

Rozumiem. Jesteś takim samym dupkiem jak pozostali.



Kochać się z kobietą, która ma podbite lewe oko i spuchniętą górną wargę? Nie miałem takiego zamiaru, a jednak do tego doszło.

Po odebraniu esemesów pojechałem do Helsinek, zostawiłem samochód na zakazie przy Snellmaninkatu i zdeterminowanym krokiem poszedłem do mieszkania Amandy. Tym razem zostawiła drzwi otwarte. Znalazłem ją w sypialni i natychmiast zrzuciłem z siebie ubranie.

Przywarliśmy do siebie ciasno i gwałtownie. Jakbyśmy się bali, że to drugie może się oderwać albo uciec. Nie chciałem patrzeć na jej niebieskie, spuchnięte oko ani na przeciętą w samym środku górną wargę. Całowałem jej szyję i piersi z zamkniętymi oczami.

– Przyszedł późno wieczorem – opowiadała Amanda, kiedy w końcu się od niej oderwałem. – Około jedenastej. Zaskoczył mnie. On tu nigdy nie był, ani razu. A już na pewno nie tak późno. Powiedział, że koniecznie musimy porozmawiać. Zgodziłam się. No i najpierw pogadaliśmy. Normalna gadka między ojcem a córką. Co tam u ciebie nowego? Co zamierzasz zrobić ze swoim życiem? To znaczy on pytał mnie, zawsze pyta, ciągle pyta. Ja nie chcę wiedzieć, co on zamierza. A potem zaczął mi mówić, co powinnam zrobić. A ja nie znoszę tego. Nikt mi nie będzie rozkazywał.

Przez chwilę Amanda milczała. Odwróciłem głowę. Z powodu tego podbitego oka trudno mi było na nią patrzeć. Trudność polegała przede wszystkim na tym, jak Amanda podchodziła do śliwki pod okiem i strupa zaschniętej krwi na ustach. O dziwo, robiła wrażenie, jakby chciała się nimi pochwalić, jakby ją to bawiło. A może źle to wszystko zrozumiałem, ponieważ byłem o wiele bardziej wytrącony z równowagi, niż sobie z tego zdawałem sprawę.

– Powiedziałam mu, gdzie może sobie wsadzić te swoje rady. A potem jeszcze, że wcale się nie dziwię, że mama go zostawiła i wyjechała z kraju, żeby nie musieć widzieć i słuchać takiej świni. Wkurzył się. Zaczął mnie o wszystko oskarżać. Tłumaczyć, czego to on nie zrobił dla mojego dobra. No to go zapytałam, czy pieprzył się na prawo i lewo i rozsiewał swoje nasienie, żeby jego rodzinie wiodło się lepiej. Nie wiedziałam, że jest taki czuły na tym punkcie, ale chyba naprawdę trafiłam w jego czuły punkt, skoro mnie uderzył.

Wodziłem wzrokiem po ścianach. Po białych, rozległych, gładkich płaszczyznach, których prostota i jasność budziła we mnie tym większą zazdrość, im dłużej im się przyglądałem. Złotawe światło lampki nocnej przydawało im miękkości; aż miało się ochotę ich dotknąć.

– Uderzył mnie kilka razy – dobiegły mnie słowa Amandy. – Krzyczał i wyzywał.

Jej klatka piersiowa unosiła się i opadała. Mięśnie drobnego ciała były naprężone, chociaż leżała na plecach.

– Przebrała się miarka. Rozumiesz, Aleksii?

Żaluzje zasłaniały to, co zapewne byłoby niebem. Wnęka okienna wyglądała smutno bez dnia i bez nocy.

– Aleksi, czy ty mnie słuchasz?

– Oczywiście – odparłem, nie odwracając głowy.

– Co mówiłam?

– Przebrała się miarka – powtórzyłem i usłyszałem swoje słowa, jakby ktoś je nagrał na dyktafon, nieznośnie znajome, a jednocześnie zaskakująco obce.

Amanda obróciła się na bok. Wiedziałem, że na mnie patrzy.

– To nie pierwszy raz. Wiem, że dlatego mama go zostawiła. Bała się. Nic dziwnego, że się bała, skoro żyła i mieszkała z potworem.

– Co pamiętasz z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku? – spytałem, nie patrząc na nią.

– Przepraszam, co takiego?

– Rok dziewięćdziesiąty trzeci. Co pamiętasz? Twoja mama wyjechała dziewiętnaście lat temu, czyli w dziewięćdziesiątym czwartym. Co pamiętasz z poprzedzającego to roku?

– Czy ty jesteś nienormalny? Popatrz na mnie. Mam podbite oko i przeciętą wargę.

Odwróciłem głowę. Amanda Saarinen. Dziedziczka milionera. Śliwa i warga, jak u jakiegoś chuligana. Henrik Saarinen, moja mama, rok 1993. Wszystko zaczyna do siebie pasować. Byłem tak blisko, że aż mnie to przyprawiało o zawrót głowy. Jutro Henrik Saarinen będzie mój.

– Czy twoja mama kiedykolwiek mówiła, dlaczego się boi albo czego konkretnie się boi?

– Przed chwilą to powiedziałam. Bała się taty. Ja się go bałam. Nadal się go boję.

– To dotyczy twojego oka. – Położyłem dłoń na policzku Amandy. Z bliska dostrzegłem coś w lewym nozdrzu. Biała maleńka plamka. – I twojej wargi. Powiedz mi, co pamiętasz.

– Ojciec to świnia. Dość się nacierpiałam.

– Wierzę ci, ale interesuje mnie rok dziewięćdziesiąty trzeci.

Amanda znów przewróciła się na plecy.

– Każde żyło własnym życiem. Wtedy tego nie rozumiałam, ale teraz to wiem. Oboje mieli kochanków. A potem stało się coś takiego, że nawet ta stara wiedźma wzięła nogi za pas. Bała się, chociaż sama też była przerażająca. To znaczy, zdaniem małej dziewczynki. Ale to było wtedy, teraz nie jestem już bojaźliwą dziewczynką.

– Nie jesteś – przytaknałem. – Co takiego się według ciebie wydarzyło, że twoja mama ostatecznie odeszła?

Amanda zrobiła głęboki wdech i głęboki wydech, widziałem, jak jej klatka piersiowa unosi się i opada.

– Pamiętasz, Aleksi, jak zapytałam cię, czy wierzysz w przypadki?

– Pamiętam.

– Znalazłeś się w moim życiu w jakimś celu. Wierzę, że ojciec zrobił kiedyś coś strasznego. Coś potwornego. On nie może... nie może więcej...

Przerwała. Nakryła się kołdrą. W pokoju było chłodno. Do tej pory tego nie zauważyłem. Białe ściany wyglądały jedynie czysto i przyjemnie. Kiedy tylko uświadomiłem sobie temperaturę panującą w pokoju, mury stały się twarde i nieprzeniknione. Słowa Amandy intrygowały i zachęcały do kolejnych pytań. Powstrzymałem się ze wszystkich sił.

– Co takiego potwornego? – spytałem, starając się nie okazać, jak bardzo mnie to interesuje.

Amanda wyglądała, jakby czekała na to pytanie.

– Jestem pewna, że zranił jakichś ludzi, może nawet kogoś zabił.

W pokoju zapadła cisza. Nawet te normalne dźwięki, które zwykle słychać w kamienicach – ktoś spuszcza wodę, jakaś para się kłóci, dzieci tupią w podłogę piętro wyżej, ciężkawy rytm muzyki z *Garsoniery* – ucichły. Nic się nie ruszało, nic nie żyło. Czy wszystko tak się urywa, tak łatwo?

– Kiedy? – spytałem. – W dziewięćdziesiątym trzecim?

- Tak.
- Nie brzmisz pewnie.
- Ale jestem. To znaczy jestem pewna co do roku dwa tysiące trzeciego.

Amanda zwrócona była głową do wnętrza okiennej, plecami do mnie. Tak było dobrze. Podniosłem się na łokciach.

– Może tego nie pamiętasz – powiedziała. – Ale pisały o tym wszystkie gazety. Kobieta nazywała się Tanja Metsäpuro. Ojciec się z nią umawiał. A potem ją zabito. Nigdy nam o tym nie mówiono. Pamiętam, jak byliśmy kiedyś w domu, siedzieliśmy w sali i na stole leżała gazeta, może popołudniówka, a w niej duże zdjęcie tej kobiety. Kiedy ojciec zauważył, że na nie patrzę, odwrócił gazetę pierwszą stroną do dołu, żeby nie było tego zdjęcia widać, i spojrzał na mnie przerażającym wzrokiem. O tej sprawie nigdy nic nie mówiono.

Amanda nie patrzyła na mnie, nie widziała mojej twarzy.

- Pytałaś go kiedyś?
- Jasne, że nie. Mógłby ze mną zrobić to samo.

Odwróciła się i spojrzała na mnie.

- Nikomu o tym nie mówiłam.
- Czemu mówisz teraz?

Przyłgnęła do mojego boku, a usta przyłożyła do mojego ucha.

- Ponieważ ty możesz tej sprawie zaradzić.

Białe ściany oddalały się, dotyk jej ciała na mojej nagiej skórze parzył.

- Jak?
- Powiem wprost. – Mówiła tak cicho, że jej słowa niemal ginęły w oddechu. – Zabijesz go?

Wrzesień 1993

Takie wieczory mama nazywa domowymi, chociaż większość z nich spędzamy w domu, właściwie to o tej porze zawsze jesteśmy w domu, ale wieczór domowy nie liczy się bez filmu, który wybieramy albo wspólnie, albo ciągnąc zapałki o to, kto wybiera. Dzisiaj to mama wyciągnęła tę dłuższą.

Jest piątek, mama była w saunie, na głowie zakręciła wałki i chodzi po domu w szlafroku. Zjadłem zapiekankę własnej roboty – cztery parówki z sałatką ogórkowo-musztardową polane keczupem – bomba, której smak zostaje w ustach na wiele godzin.

Mama kładzie na talerzu tost, pokrywa go plasterkiem sera, nalewa sobie kieliszek wina i stawia oba naczynia na stole w salonie. Siada w fotelu, a ja włączam wideo.

Mama mówi, że to jej ulubiony film.

Obawiam się najgorszego.

Lubi stare filmy, większość z nich od razu mnie nudzi: przeskakujący czarno-biały obraz, trzeszczący dźwięk albo kolorowe ujęcia nieustannie paplających, sfrustrowanych głów zatopionych w niekończących się sfrustrowanych rozmowach.

Ten jest jednak inny niż cokolwiek, co do tej pory widziałem.

Jak zły sen, który chce się obejrzeć do końca.

Zaczyna się pościgiem. Policjanci gonią przestępcę po dachach wysokich domów. Jeden z policjantów poślizgnął się i wisi na rynnie, ryzykuje życie. Policjant w mundurze próbuje mu pomóc, ale spada i umiera. Ten, który wisiał na rynnie, wychodzi z tego cało, lecz rezygnuje z pracy w policji. Dawny kolega ze studiów odnawia z nim znajomość. Były policjant ma śledzić jego żonę. Dawny kolega, który teraz jest najwyraźniej bogatym biznesmenem, pyta, czy martwy może wziąć żywego we władanie.

Spoglądam na mamę. Kieliszek wina zatrzymuje się po drodze do ust.

Mężczyzna krąży za kobietą po San Francisco.

Mam wrażenie, że trwa to całą wieczność.

Podczas sceny, w której kobieta niespodziewanie skacze do morza, mama nie odrywa wzroku od ekranu.

Potem patrzy na mnie badawczo przez kilka sekund, uśmiecha się, unosi brwi, po czym dalej oglądamy film.

W połowie myślę, że to już koniec.

Mężczyzna śledził kobietę, uratował ją z topieli, poznali się i pocałowali. Ale kobieta ma kłopoty. Mężczyzna próbuje jej pomóc, zabiera ją w różne miejsca: do lasu, gdzie rosną olbrzymie drzewa, do hiszpańskiego klasztoru, do stajni. Nieustannie się całują i wciąż na nowo. Kobieta wymyka się mężczyźnie, wspina się na wieżę zegarową, rzuca się w dół i umiera. Mężczyzna ucieka.

Sprawdzam na magnetowidzie, ile czasu ten film już leci, a potem odszukuję na okładce opakowania długość nagrania. Jeszcze godzina.

Daleko do końca. Słyszę słowa mamy. Jej twarz jest niezbadana. To jej ulubiony film, tak powiedziała.

Film rzeczywiście ma ciąg dalszy.

Zły sen wciąż trwa.

Oglądania nie można przerwać.

Mężczyzna jest pacjentem w jakimś szpitalu psychiatrycznym i kiedy mówi do niego jego dawna dziewczyna, nie odpowiada. Dawna dziewczyna kocha mężczyznę, ale on nie kocha jej. Mężczyzna wychodzi ze szpitala i wszędzie widzi zmarłą kobietę. Na ulicy znajduje kobietę, którą zaczyna ubierać tak, żeby wyglądała jak ta zmarła.

Oczy mamy się zwężają. Podnosi nogi na fotel, oplata je rękami i zwiija się w małą, ciasną kulkę. W kieliszku jest jeszcze kropla czerwonego wina.

Kobieta pisze list, w którym do wszystkiego się przyznaje. Kobieta jest oszustką, jej mąż zabił swoją żonę. Kobieta drze list. Kobieta nie mówi mężczyźnie prawdy, kobieta nie mówi nic.

To jeszcze nie koniec.

To jeszcze nie koniec?

Przecież zagadka została rozwiązana!

Na koniec kobieta wygląda jak zmarła kobieta. Mężczyzna wygląda, jakby ostatecznie zwariował albo wyzdrowiał. Nie potrafię powiedzieć.

Mama ogląda film, mrużąc powieki, jakby bardzo się bała i zmuszała do oglądania go.

Czemu się ekscytuje, skoro widziała to już wcześniej i wie, co się stanie, pytam.

To są inne emocje.

To znaczy?

To opowiada też o czymś innym, niż tylko o tym, co się tam dzieje.

Ach, tak...

No, mówi mama.

Na filmie kobieta stoi przed lustrem i próbuje zawiesić na szyi naszyjnik. Prosi mężczyznę o pomoc. Mężczyzna staje za nią z tyłu i patrzy w to samo lustro. Rozpoznaje naszyjnik. Kobieta i mężczyzna jadą do hiszpańskiego klasztoru, w to samo miejsce, w którym tamta kobieta skoczyła z wieży zegarowej. Mężczyzna zaciąga kobietę na wieżę. Kobieta się przyznaje. Ktoś idzie na wieżę, zakonnica. Kobieta ucieka, rzuca się przez okno, uderza w dachówki i umiera.

Mężczyzna stoi na parapecie.

Koniec filmu.

Koniec filmu?

Patrzę na mamę.

Chyba ma mokre oczy.

Czuję się oszukany. Mówię to. Mówię, że historie powinny mieć porządne zakończenie.

Co to znaczy „porządne zakończenie”, pyta mama.

Nie wiem.

Nie umiem tego wyjaśnić.

Ale nie tak.

Dlaczego nie?

Nie tak, mówię cicho i z irytacją, winny nigdy nie zostanie złapany.

Czasem tak bywa, mówi mama, czasem winny nie zostanie złapany.

Wrzesień 2013

Kiedy wyszedłem na Liisankatu i skręciłem w Snellmaninkatu, przy której zostawiłem samochód, niebo żarzyło się na czerwono, a słońce było tylko cienkim plasterkiem roztopionego, bulgoczącego metalu na horyzoncie. Ciemniejący wieczór, długie cienie, mnóstwo kryjówek. Wszystko to powinno było mnie ostrzec o możliwych niespodziankach. A jednak się wzdrygnąłem, kiedy usłyszałem za plecami znajomy głos.

– Dokąd się wybierasz, Aleksy? Albo może, skąd wracasz?

Henrik Saarinen zaparkował swoją terenówkę za małą ciężarówką. To dlatego go nie zauważyłem. Teraz land cruiser naprawdę prowokująco wystawał zza ramienia swojego właściciela. Na twarzy mężczyzny nie było nawet śladu zwykłego uśmiechu i arogancji, jego spojrzenie było poważne, a oczy miały ciemniejszy odcień, jakiego nigdy przedtem nie widziałem.

– Przywiozłem Amandzie rzeczy, które zostawiła we dworze – powiedziałem.

Saarinen podszedł bliżej i zatrzymał się mniej więcej półtora metra ode mnie.

– I to wszystko?

Spojrzał na mnie nieco bardziej otwarcie, z uniesioną głową. Na prawej ręce nadal miał gruby biały bandaż. Tworzyło to mocny kontrast z czarnym rękawem skórzanej kurtki i przypominało nawiniętą na drzewce białą flagę. Nie spodziewałem się, żeby ją kiedykolwiek wywiesił. Nawet gdyby była to jego jedyna szansa.

– No – odezwał się. – Najważniejsze, że Amanda dostała swoje rzeczy.

Uniósł obandażowaną rękę. Może go zabolą i musiał nią poruszać.

– Nastąpiła mała zmiana w naszych planach – zakomunikował.

– Tak?

– Nie będziemy czekać. Samochód zostawisz tutaj.

Nie brzmiało to jak propozycja. Ostatnie, niemal poziome, promienie słońca ozłociły siwe włosy Saarinena, a jego czarna skórzana kurtka na chwilę zabłysła. Czy moja mama też tak łatwo poszła z tym mężczyzną? Dostała zaproszenie i przyłączyła się, o nic nie pytając?

Właśnie tak wszystko dzieje się w życiu. Wykorzystując naszą uwagę, brak zastanowienia, właśnie wtedy, gdy mamy co innego do roboty. I zawsze towarzyszy temu nasza dobra wiara.

Za każdym razem, kiedy myślałem o losie mamy – a mało było takich chwil, kiedy o tym nie myślałem – nie zwracałem uwagi na to, jak wyglądała jej śmierć, w jaki sposób umarła i ile to trwało. Z jakiegoś powodu nigdy mnie to nie zajmowało. Potrafiłem sobie wyobrazić różne okrucieństwa, tak jak każdy potrafi zrobić to w myślach. Byłem w stanie zrozumieć, że to się przytrafiło właśnie jej, ale chwila śmierci umykała z mojej głowy, jak magnes, który odskakuje od magnesu o tym samym biegunie.

Teraz czułem tę chwilę bardziej niż kiedykolwiek. Chwilę, kiedy człowiek opuszcza świat. W jednej chwili jest, a w drugiej go nie ma.

– Mogę spytać o jedną rzecz?

– Na miejscu.

– Dokąd jedziemy?

– Na miejsce.

Saarinen obrócił się, rzucił mi klucze; złapałem je w powietrzu. Obszedł auto, kiedy ja je otwierałem. Obejrzałem się jeszcze za siebie. Okna na ostatnim piętrze szeregu kamienic odbijały kolory nieba: fiolet, róż, a najmocniej ognistą i krwistą czerwień. Cienie osiągnęły już maksymalne rozmiary, mieszały się ze sobą i tworzyły czarne jeziora na bruku ulicy i asfalcie na chodniku.

Właśnie wsiedałem do samochodu, kiedy moje spojrzenie prześlizgnęło się po bagażniku. Zakupy z marketu budowlanego zniknęły.



Henrik Saarinen zapiął pasy i prawą ręką złapał za rączkę w drzwiach, jakby się spodziewał wyboistej drogi. Wyglądał na bardzo spokojnego, zważywszy, że niedawno pobił własną córkę.

Wydawał instrukcje, ale celu drogi nie zdradził. Zapalały się latarnie, tworząc w ciemniejszym wieczorze tunel światła. Pojechaliśmy na północ, a potem skręciliśmy na północny zachód. Opuszczaliśmy miasto. Po raz kolejny upomniałem sam siebie, dlaczego tu jestem i czemu się na to zgodziłem. Pragnąłem się zemścić, wyrównać rachunki. Nie chciałem, żeby ktokolwiek inny wmieszał się do sprawy. To miała być moja zemsta, moje zadanie. Chciałem mieć jasność, przyłapać Henrika Saarinena na gorącym uczynku, cokolwiek by to miało być. Chciałem powstrzymać go przed realizacją jego zamiarów, realizacją tego, co – jak przeczuwałem – już się zaczęło.

– Aleksi.

Zerknąłem w bok. Henrik Saarinen wyglądał, jakby ktoś go boleśnie uderzył. Płytki oddech, napięte ciało, wyczekujące spojrzenie.

– Czy masz wrażenie, że jesteś blisko? – spytał, jak zwykle nie oczekując ode mnie odpowiedzi. – Wiem, jak to jest, być blisko. Tak blisko, że ma się wrażenie, że to, czego się chce, jest na wyciągnięcie ręki. Że jedyne, co należy zrobić, to wytrzymać jeszcze trochę, a potem nie trzeba już nic, wystarczy zaakceptować swój udział, przyjąć to, na co zasługujesz. Z szerokim uśmiechem na ustach, z twarzą jaśniejącą blaskiem, z otwartymi ramionami. A w środku ma się pewność, że to się dzieje, że tak być powinno, że tak miało być. Że nareszcie wszechświat ustawił się co do milimetra we właściwej pozycji, nawet jeśli to nieprawda.

Saarinen zerknął szybko w moją stronę.

– Aleksi, wiem, kim jesteś.

Obie ręce trzymałem na kierownicy.

– Nic nie szkodzi – rzucił. – Wybaczam ci. Miałeś dobre intencje i mamy wspólny cel.

Jak szybko mógłbym odpiąć pas bezpieczeństwa i za coś złapać? Saarinen był szybki i zwinny jak na swój wiek i gabaryty.

– Aleksi Kivi, zostajemy na tej drodze.

Spojrzałem w lusterko wsteczne, a potem przed siebie. Jechaliśmy prostą drogą.

– Wiesz, jaka jest różnica między oczekiwaniem a spełnieniem? – zapytał.

Pokręciłem głową.

– Ty czekałeś lata – zaczął wyjaśniać Saarinen, a w jego głosie słychać było autentyczny i zarazem przesadzony zachwyt. – Ty coś wiesz. I ja coś wiem. Nauczyłem się lubić oczekiwanie. Dzięki niemu robimy wszystko jak najlepiej, ponad normę. Im trudniejsze, bardziej wymagające jest oczekiwanie, tym bardziej człowiek jest gotowy. Oczekiwanie nie usypia naszej czujności, orzeźwia, przygotowuje na to, co musimy zrobić, żeby pewnego dnia położyć kres oczekiwaniu.

Oblizwał wargi, jakby przed chwilą coś zjadł.

– Dobrą stroną oczekiwania jest także to, że można sobie wyobrazić, że pragnie się spełnienia. Im

bardziej jest ono atrakcyjne, im większe wiążemy z czymś nadzieje, tym przyjemniejsze staje się oczekiwanie. Na pewno się ze mną zgodzisz.

– A spełnienie? – spytałem. – W tym zakresie na pewno też masz doświadczenie.

Czułem na policzkach i skroniach jego spojrzenie. Trzymałem stopę na pedale gazu, przestrzegałem ograniczenia prędkości.

– Pod wieloma względami – przytaknął Saarinen.

Przecieliśmy trzecią obwodnicę aglomeracji i jechaliśmy dalej prosto. Słyszałem obok siebie jego oddech – płytki i świszający. Mijały minuty. Jesienny, ciemny las zagęszczał się po obu stronach drogi. Byliśmy w Espoo.

– Skręćmy w lewo za jakieś pół kilometra – polecił Saarinen.

Bez tej wskazówki na pewno bym ten skręt minął. W czarnym murze lasu była przecinka; wjechałem na wąską żwirową drogę. Reflektory samochodu omiały pnie drzew i krzaki. Na końcu drogi świeciła samotna lampa. Kilkaset metrów przed nami stała kombinacja typowego domu wolno stojącego z przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych i małej hali wyglądającej jak warsztat. Budynek był ciemny z wyjątkiem przymocowanej do ceglanego muru lampy. Wydawało się, że droga prowadzi prosto do budynku, ale niespodziewanie skręciła ostro w prawo i po stromym zboczku poprowadziła na tyły domu. Czujniki ruchu obudziły się i na podwórku zapaliły się dwie mocne latarnie.

Zatrzymałem samochód. Trawnik przed domem był porządnie wypielęgnowany, okna domu ciemne. Na prośbę Saarinena zgasilem silnik, wysiedliśmy. Wieczór był chłodny, zimno szybko docierało do gołych palców i szyi i łapczywie się w nie wgrzyzało. Było tak cicho, że nasze kroki na żwirze i drewnianych deskach tarasu rozbrzmiewały, jakby emitowano je w świat przez głośniki. Przy drzwiach wejściowych Saarinen odsunął mnie, przekręcił klucz w zamku i gestem zaprosił do środka.

We wnętrzu pachniało stęchlizną, najwyraźniej zadomowił się tu grzyb. Podniosłem rękę do włącznika światła i zapytałem:

– Ułatwimy sobie przejście?

– Oczywiście – przytaknął Saarinen. – Nie mamy złych intencji.

Zapaliłem światło. W tej samej sekundzie Saarinen sięgnął po coś ze stojącego w kącie stołu. Wyrwał przewód. Gwoździarka. Ta, którą kupiłem. Jego gwałtowny ruch porządnie mnie wystraszył. Ta sama trajektoria, którą widziałem już kiedyś wcześniej, albo tak mi się przynajmniej zdawało.

Długi korytarz prowadził do ciemnego wnętrza domu. Na prawo było przejście do salonu, a na lewo do kuchni. Mebli było dosłownie kilka. Raczej nikt tu nie mieszkał. Nawet przez myśl mi nie przeszło pytać, kto jest właścicielem budynku. Na pewno Saarinen, albo – co bardziej prawdopodobne – jedno z jego przedsiębiorstw.

– Na końcu korytarza – usłyszałem za plecami.

Ciemność nie działała na mnie zachęcająco, ale przebywałem w opuszczonym domu w towarzystwie mężczyzny z gwoździarką w ręce. Postąpiłem ostrożnie naprzód i zobaczyłem, że korytarz kończy się regałem, a po bokach są zamknięte białe drzwi. Różniły się od siebie tym, że te po prawej miały dwa zamki. Górny stanowiła kłódka, nowa i błyszcząca. Poza tym wyglądały na wzmocnione. Usłyszałem, jak Saarinen grzebie w kieszeni kurtki.

– Klucze – powiedział i podał mi pęk złożony z trzech różnych kluczy. – Tobie przypada zaszczyt ich otwarcia.

Wziąłem klucze do ręki i za pierwszym razem trafiłem na właściwy. Kłódka ciążyła w ręce, gromadziła się wokół niej złowieszczą karma. Nie czułem się tutaj bezpiecznie. Położyłem ją na regale. Otworzyłem zamek i zrobiłem wdech. O czym myślałem? O zaskakująco prostych sprawach: drzwi się otwierają, dzielą mnie dwa metry od dzierżącego gwoździarkę Saarinena, przez otwór w drzwiach wylewa się stęchlizna, mieszanka kwaśnego ludzkiego wydechu, jakby ktoś spędził noc w ciasnym pomieszczeniu, inne ludzkie zapachy, pot, mocz, strach, oczekiwanie i oczywiście zagrzybiały dom,

wilgotne ściany, pustka.

W pokoju było ciemno choć oko wykol. Jeżeli nawet było tu okno, szczelnie je zakryto.

– Włącznik jest po lewej – poinstruował mnie Saarinen.

Wymacałem na ścianie przycisk i wcisnąłem go. Lampa była boleśnie jasna i nie miała klosza, a w pokoju jedynym meblem był stary fotel ze sztucznej skóry w kolorze czerwonego wina. Przywiązany do fotela różnymi linami i kajdankami siedział w nim stary, żylasty, wysłany albo też wykopany na emeryturę były śledczy Ketomaa. Usta zaklejono mu taśmą, światło go oślepiało. Kręcił głową, co chwila mrużył oczy, bo przejście z egipskich ciemności w rześistą poświatę fotela dentystycznego wymagało czasu.

Dawną sypialnię zamieniono w celę. Okno zakryto płytą o grubości centymetra. Ściany obito miękkim materiałem i wyłożono szarą izolacją akustyczną, mimo że położenie budynku wcale tego nie wymagało. Podłoga pozostała niezmienniona – linoleum w kolorze zupy szpinakowej.

– Właż do środka, Aleksy.

Zrobiłem trzy małe kroki. Pokój miał na oko powierzchnię dwudziestu pięciu metrów kwadratowych. Krzesło ustawiono w najdalszym kącie pomieszczenia. Ketomaa próbował coś powiedzieć. Nic nie można było jednak zrozumieć; srebrna taśma ledwo umożliwiała przepływ powietrza przez nozdrza. Usłyszałem kroki Saarineny za plecami, a potem obok mnie. Wybrał miejsce strategicznie. Stał między mną a drzwiami, a jednocześnie znajdował się w tej samej odległości ode mnie, co od byłego policjanta. Czułem drżenie własnych mięśni. Czego się spodziewałem? Chyba jednak nie tego.

– Czy jesteś gotowy na kolejny krok? – zapytał Saarinen.

Ketomaa przestał się wić. Znów starał się otworzyć oczy. Próba była okupiona sporym cierpieniem. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Czy raczej, od czego zacząć.

– Mógłbyś odłożyć tę gwoździarkę?

Patrzyłem na Saarinenę i na leżącą na podłodze torbę z marketu budowlanego. Był w niej na pewno nóż.

Chyba nie usłyszał mojego pytania. Ściągnął skórzaną kurtkę, przerzucając gwoździarkę z ręki do ręki, jakby tańczył jakiś szybki, rytmiczny taniec. Na koniec powiesił skórę na klamce. Spojrzał na policjanta.

– I mógłbyś mi jeszcze wytłumaczyć, o co tu chodzi? – poprosiłem.

Teraz wreszcie zaczął mnie słuchać.

– Ten oto Ketomaa – wymachiwał gwoździarką w stronę więźnia – przez dwadzieścia lat mieszał się w moje sprawy.

– Bez powodu?

Ketomaa mrugał i potrząsał głową. Naturalnie rozpoznawał głosy. Obróciłem się, żeby popatrzeć na Saarinenę. Ten zaś spoglądał na mnie i tak mierzyliśmy się wzrokiem. Chyba bardzo się nie myliłem, myśląc, że wreszcie zobaczyliśmy prawdziwych siebie.

– O co ci chodzi? – spytał Saarinen.

– Odłóż tę gwoździarkę, to pogadamy – powiedziałem.

Postąpił wprost przeciwnie. Jeszcze mocniej zacisnął rękę na narzędziu.

– Nie rozumiem, Aleksy. Przecież to dla ciebie i dla Amandy, dla was.

Nie wiedziałem, o czym mówi. Na jego twarzy widoczne były co najmniej zmieszanie i złość. Wyprostował się jeszcze bardziej. Barki odgiął do tyłu do granic możliwości. Po raz pierwszy tego wieczoru zwyczajnie czułem prawdziwy strach.

– Zainwestowałem w ciebie – powiedział cicho Saarinen.

Mówił do mnie, chociaż jego spojrzenie skierowane było na byłego policjanta.

Potężny mężczyzna z gwoździarką w ręce. Na krześle skrepowany mężczyzna. Pokój-cela.

– Amanda – powiedziałem. – Mówiłeś coś o niej i o mnie. O naszym interesie.

Cokolwiek, byle tylko rozładować sytuację i zyskać na czasie, żeby zastanowić się nad kolejnym ruchem. Widziałem trzy możliwości: włącznik światła, narzędzia znajdujące się w torbie – może nóż, a może piła. Albo bezpośredni atak na Saarinen. Ostatnia opcja wydawała się najmniej pociągająca. Niemal czułem gwoździe zatapiające się w moje mięśnie, w ich włókna, w obolały brzuch.

Saarinen chyba się zastanawiał. To było coś nowego. Ogromny mężczyzna miał wątpliwości. Ketomaa nareszcie otworzył oczy. Kiedy odpowiadał na moje spojrzenie, wyglądał zaskakująco spokojnie.

– Chyba mogę ci zaufać – rzucił Saarinen.

– Oczywiście – odpowiedziałem tak szybko i przekonująco, jak tylko umiałem. – To wszystko spadło na mnie... jak grom z jasnego nieba.

– No tak, to dla ciebie coś nowego. – Mówił, jakby chodziło o nowe hobby. – Dla nas obu. Nowa, zaskakująca sytuacja. Na pewno pamiętasz, jak mówiłem, że widzę w tobie kogoś więcej niż tylko dozorcę.

Skinąłem głową. Zauważyłem, że Ketomaa nie odrywa ode mnie oczu. Zupełnie nie zwracał uwagi na Saarinen.

– Widzę w tobie idealnego męża dla Amandy. Męża, jakiego jej potrzeba. Który twardo stąpa po ziemi. Który sprawi, że Amanda przestanie... skończy...

Przypomniałem sobie jej podbite oko i rozerwaną wargę. Każde słowo, które cisnęło mi się na myśl, nie pasowało. Nie powinienem denerwować Saarinen. Zasłaniał sobą zarówno drzwi, jak i wyłącznik.

– A Amanda? Czy ona o tym wie?

Popatrzył na byłego policjanta.

– Nie – odparł. – I nie może się dowiedzieć. Dlatego właśnie musimy rozprawić się z panem Ketomaa.

– To znaczy?

– Próbowałem przemówić mu do rozumu – tłumaczył Saarinen, jakby Ketomaa nie był tu z nami, tylko gdzieś bardzo daleko. – Starłem się mu wytłumaczyć, jakie to krzywdzące, jeżeli nadal będzie przeszkadzał i rozprzestrzeniał swoje kłamstwa. I nie mówię wyłącznie o sobie. Zdążyłem się już przyzwyczaić do tego natręta i jego śmiesznych oskarżeń. Ale chodzi o innych.

– A czy nie należałoby jeszcze porozmawiać? Czy to nie lepsze rozwiązanie?

Ketomaa nie spuszczał mnie z oka. Był spokojny, znosił wszystko z godnością. Wyglądało na to, że akceptuje moją grę na czas. Z drugiej strony, biorąc pod uwagę okoliczności, nie miał innego wyjścia. Saarinen nie odpowiedział od razu. Patrzyłem na niego. Czy zdążyłbym skoczyć i zwalić go z nóg, zanim poczułbym na twarzy pół tuzina gwoździ?

– Próbowałem. Całą drogę próbowałem go przekonać, że całkowicie się myli co do mojej osoby. Że nie ma pożytku z rozpuszczania plotek i mogą tylko mu zaszkodzić. Dojechaliśmy tutaj. Trochę się zapędziliśmy. Dłuto przeszło przez moją dłoń na wskroś.

Saarinen podniósł obandażowaną rękę, jakby chciał pomachać. Z gwoździarką w dłoni wyglądał jak członek jakiejś grupy bojowników.

– Moim zdaniem nie mamy wyboru – oświadczył i przysunął gwoździarkę bliżej głowy byłego policjanta.

– Chwileczkę – powstrzymałem go.

– Aleksi, przed tobą świetlana przyszłość. Jedyne, co musisz zrobić, to pomóc mi w tej sprawie.

Wstrzymałem oddech. Gwoździarka zatrzymała się na skroni policjanta.

– Chciałbym o coś spytać – powiedziałem.

Saarinen spojrzał na mnie. Nie wyglądał już na wściekłego albo wahającego się. Wyglądał łagodnie. Nie wiedziałem, co mnie bardziej przeraża: stalowe gwoździe długości dziesięciu centymetrów

czy też wycelowany we mnie ojcowski, ciepły półśmiech.

– Jasne – rzucił cicho.

– Jeżeli Ketomaa od dwudziestu lat jest na twoim tropie, to na pewno ma ku temu jakiś powód.

– Aleksi, jeśli znalazłbyś detektywa Ketomaa, wiedziałbyś, że jest to opętany maniak, który uważa, że tym bardziej ma rację, im dłużej drąży jakąś sprawę...

– Dwadzieścia lat temu...

– Straciłem osobę, którą kochałem. Ale nie miałem z tym nic wspólnego.

Saarinen popatrzył na mnie. Coś wisiało w powietrzu. Przekrzywił głowę.

– A zatem?

– Nie – powiedziałem. Słowo, które jako pierwsze naturalnie przyszło mi do głowy.

– Nie? Aleksi, dziś wieczór może się odmienić całe twoje życie. Całe życie. Wiem, jak pożądasz

Amandy, jak jej pragniesz.

Pożądanie? Pragnienie? Czemu wciąż miałem w głowie tę myśl? Dlaczego wszystko musiało być tak poplątane i niejasne? Nawet przekonanie co do winy Henrika Saarinenego zniknęło właśnie w chwili, kiedy byłoby z niego najwięcej pożytku.

– To twoja szansa – kontynuował. – Potrzebuję pomocy. Ale dopiero na koniec. Jeżeli nie chcesz na to patrzeć, możesz zamknąć oczy.

– A gdyby tak zgasić światło – wybąkałem, nie zwracając uwagi na odbywającą się w moim umyśle walkę między sprzecznymi pomysłami.

– Może być – powiedział cierpliwie, jak się mówi do przyjaciół. – Gwoździe trafią do celu także po ciemku.

Zrobiłem krok w stronę wyłącznika i podjąłem decyzję. W tej samej sekundzie do Saarinenego dotarło, co zamierzam.

– Mogę wyłączyć... – Urwał w pół zdania.

Skoczyłem naprzód, barkiem wyrzuciłem go w bok. Udało mi się go porwać ze sobą. Próbowałem złapać rękę, w której trzymał gwoździarkę. Uderzyliśmy w ścianę. Upadliśmy na podłogę na prawo od starego policjanta, moje nogi znalazły się pod potężnie zbudowanym Saarinenem. Próbowałem go powstrzymać przed podniesieniem ręki.

Za późno.

Usłyszałem przynajmniej trzy wystrzały z gwoździarki. Ketomaa wydał z siebie zwierzęcy krzyk. Saarinen szybko się przekręcił i spróbował wyprostować, prawie udało mu się wstać. Zdołałem jednak chwycić go za barki i pociągnąłem. Poleciał w dół, a ja całym ciałem rzuciłem się na jego plecy. Saarinen zdołał dotrzeć do drzwi. Albo uderzył w wyłącznik światła, albo go przycisnął i światło zgasło.

Przez szparę w drzwiach wlewało się do środka słabe, żółte światło, które dochodziło z końca korytarza. Saarinen upadł na podłogę. Znow nie udało mi się porządnie uchwycić tego ogromnego mężczyzny.

Gwoździarka plunęła strzałami.

Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć.

Część trafiła w Ketomaa, ale w końcu udało mi się złapać rękę, w której Saarinen trzymał broń, i wycelować gwoździe w sufit. Na czworakach ruszyłem naprzód. Byłem ciut za szybki i niemal chybiłem, ale udało mi się kopnąć Saarinenego kolanem w brodę. Gwoździarka poszybowała na podłogę i wylądowała w cieniu w jednym z kątów pokoju. Rzuciłem się za nią.

Saarinen przekoziołkował w drugą stronę, wstał, nabrał rozpędu i kopnął mnie w żołądek. Na chwilę mnie zatkało. Szurałem ręką po ciemnej podłodze w poszukiwaniu gwoździarki. Kopnął mnie drugi raz. Czy widział, gdzie upadło narzędzie przemienione w broń?

– Aleksi – powiedział zdyszany głosem – To. Jest. Rozczarowanie.

Od tyłu oświetlała go blada, wąska smuga światła.

– Gdybyś. – Kopniak. – Wiedział. – Kopniak. – Co. – Kopniak. – Ja. – Kopniak. – Dla. – Kopniak. – Ciebie. – Kopniak. – Zrobiłem. – Kopniak.

Próbowałem się ruszyć. Straciłem orientację w kierunkach. Albo światło osłabło, albo też zacząłem tracić zmysły. Nie mogłem złapać tchu. Wszelkie próby były daremne, linoleum pod rękami falowało niczym wzburzone morze.

Wreszcie moja dłoń na coś trafiła. To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Nie pojmowałem, jak to możliwe, że Saarinen nie szukał gwoździarki. Przyjąłem jeszcze jedno kopnięcie, trafiło mnie w udo. Zaciśnąłem palce na rączce narzędzia i przewróciłem się na plecy. Wystrzeliłem gwoździe w kierunku smugi światła.

Saarinen najwyraźniej nie wierzył, że mi się coś takiego uda. Zobaczyłem dwa ciemne mignięcia przed pasem światła, a potem drzwi otworzyły się i ujrzałem w nich postać mężczyzny. Wycelowałem gwoździarkę w tamtą stronę i usłyszałem, że naboje trafiły w ścianę. Ukląknęłam.

Saarinen biegł korytarzem. Dźwignąłem się do pionu, doszedłem do drzwi. Przytrzymałem się za klamkę i wystrzeliłem gwoździe wzdłuż korytarza. Usłyszałem dźwięk uruchamianego silnika. Zobaczyłem światła na zewnątrz budynku. Po drodze do wyjścia obijałem się o ściany.

Wypadłem na podwórze i zobaczyłem oddalającego się land cruisera. Zrobiłem wdech, chłodne jesienne powietrze pobudziło płuca, rozjaśniło mi w głowie. Wróciłem do pokoju, w którym uwięziono Ketomaa, zapaliłem światło i przeraziłem się widokiem.

Gwoździe trafiły starego policjanta nie tylko w pierś, ale również w twarz. Głowa opadła do tyłu, policzki spływały ciemną krwią, Ketomaa wyglądał na martwego. Wyjąłem z reklamówki nóż, podszedłem do niego, uniosłem ostrożnie głowę mężczyzny i słuchałem. Wydawało mi się, że z nozdrzy wydobywa się słaby, ledwo wyczuwalny oddech. Oparłem mokrą od krwi głowę na swoim brzuchu, złapałem mocno policzki i poczułem na dłoni długi, mocny, sztywny gwóźdź. Zrobiłem obok ust nacięcie nożem.

Taśma odrywała się opornie. Wszędzie było pełno krwi, co utrudniało mi trzymanie śliskiej, lepkiej skóry. Zerwałem taśmę z ust. Dolna szczęka nieco opadła, usłyszałem, że Ketomaa oddycha. Zrobiłem krok w stronę drzwi, pogrzebałem w kieszeniach powieszzonej na klamce skórzanej kurtki Saarinen a znalazłem komórkę. To był najprostszy możliwy model, najtańszy, jaki jest jeszcze dostępny w sklepach. Nie posądzałem jego właściciela o skąpstwo, które mogłoby tłumaczyć taki wybór.

Zadzwoiłem po pogotowie, powiedziałem o wypadku przy pracy i rozłączyłem się natychmiast, wbrew instrukcjom dyżurnego.

Wyłączyłem telefon, wytarłem go i rzuciłem w kąt.

Miałem mętlik w głowie, chaotycznie wyrzucałem z siebie słowa do starego policjanta. Przeciąłem mu więzy, uwolniłem z krzesła i położyłem na zimnej podłodze. Był nieprzytomny i słaby, cały pokryty krwią, chudszy, niż pamiętałem, tak lekki, że było wręcz niemożliwe, by to z niego wypłynęła ta kałuża krwi, w której klęczałem i która nas otaczała. Nagle usłyszałem syrenę karetki pogotowia.

□ □ □

W lesie było ciemno, biegłem prędko. Moje buty przemokły i zmarzły mi stopy, spodnie przesiąkły krwią i błotem. Las ciągnął się o wiele dalej, niż sądziłem.

Po tym, jak usłyszałem nadjeżdżający ambulans, przycisnąłem uszy w pobliżu ust byłego policjanta i słuchałem, jak oddycha. Potem wstałem, poczekałem, aż samochód objedzie budynek i zatrzyma się przed otwartym przeze mnie wejściem. Zszedłem po schodach na dół, otworzyłem drzwi i przekradłem się wzdłuż domu do zaczynającego się tuż za rogiem czarnego, gęstego lasu.

Wiedziałem, że podejmuję duże ryzyko. Jeżeli Ketomaa nie będzie w stanie opowiedzieć, co się tutaj wydarzyło, będę podejrzany; wszędzie zostawiłem ślady, przede wszystkim na gwoździarce, którą najprawdopodobniej oblepiały odciski wszystkich moich palców. O DNA nie wspominając. Ale Ketomaa oddychał, kiedy wychodziłem. Opowie o Saarinenie, uwięzieniu i morderczych planach. A Saarinen... musiałem go znaleźć.

Jakie miałem inne wyjście? Patrząc na zbliżające się niebieskie światło, zrozumiałem, że jeżeli zostanę na miejscu, w ciągu pół godziny znajdę się w areszcie policyjnym. W budynku było tylko dwoje ludzi: zraniona, nieprzytomna ofiara i ja z narzędziem zbrodni obok. Kto uwierzyłby mi z miejsca, że milioner Henrik Saarinen chciał ożenić mnie ze swoją córką i w ten sposób zabierał się do sprawy. Nikt, przynajmniej dopóki nie udowodniono by obecności Saarinenena na miejscu przestępstwa, ale to zajęłoby tygodnie. Wstałem z mokrych od krwi kolan i postanowiłem, że jeżeli mam spędzić czas w areszcie śledczym, to dopiero po stanięciu twarzą w twarz z Henrikiem Saarinenem.

Gdy dotarłem do osiedla domków jednorodzinnych, starałem się pozostać poza światłem blasku latarni. Wreszcie znalazłem to, czego szukałem. Przekroczyłem rów będący granicą działki i zajrzałem przez oświetlone okna; odczekałem chwilę, upewniłem się, że nikt nie wygląda na zewnątrz. Pobiegłem do sznura, na którym suszyło się pranie, zwinąłem męskie dżinsy i bluzę z kapturem, po czym wróciłem do lasu. Wcisnąłem czyste ciuchy pod kurtkę, żeby się nie zabrudziły, i przez kwadrans kontynuowałem bieg. Dotarłem do większej drogi i z daleka zobaczyłem przystanek autobusowy pełen czekających ludzi. Ściągnąłem zakrwawione spodnie i koszulę i włożyłem wilgotne – za duże – dżinsy oraz granatową bluzę z logo Lions Club Espoo po prawej stronie na piersi. Opróżniłem kieszenie starych spodni, wepchnąłem portfel i komórkę do kieszeni za dużych dżinsów. W bluzie czułem się, jakbym miał na sobie worek mokrych ścierek kuchennych. Założyłem na nią kurtkę i poszedłem na przystanek.

Kiedy autobus nadjechał, zauważyłem, że jedzie do centrum Helsinek. To mi odpowiadało. Zapłaciłem kartą płatniczą za bilet i pozostawiłem po sobie jeszcze jeden ślad do rosnącej kolekcji materiału dowodowego, który w najgorszym wypadku miał się na mnie zważyć. Usiadłem na pierwszym samotnym, wolnym miejscu. Biła ode mnie wilgoć. Przemarzałem do szpiku kości. Zaciskałem zęby, które z chęcią poszczykałyby sobie. Miałem nadzieję, że słabe ciepło autobusu wkrótce przeleje się i na mnie. Nie słyszałem syren. To oczywiście jeszcze nic nie znaczyło. W okolicy prawdopodobnie roilo się od radiowozów. Ratownicy na pewno zadzwonili po policję, kiedy okazało się, że nie chodzi o wypadek podczas remontu, jak to wynikało z mojej relacji przez telefon. Telefon. Jeszcze jeden dowód przeciwko mnie. Nie miałem już siły, żeby liczyć, ile posunięć w ciągu ostatniej godziny dodatkowo mnie obciążało. Siedziałem w ukradzionym ubraniu, próbowałem się rozgrzać i obmyślałem kolejne działania.

Autobus krążył po osiedlach, które znałem jedynie z nazwy. Jeden po drugim zostawały za nami. Wjechaliśmy do Helsinek. Słowa Saarinenena nabierały w mojej głowie coraz to nowych znaczeń.

Widzę w tobie idealnego męża dla Amandy. Męża, jakiego jej potrzeba. Który twardo stąpa po ziemi. Który sprawi, że Amanda przestanie... skończy...

Aleksi, przed tobą świetlana przyszłość. Jedyne, co musisz zrobić, to pomóc mi w tej sprawie.

Straciłem osobę, którą kochałem. Ale nie miałem z tym nic wspólnego.

Gdybyś wiedział, co ja dla ciebie zrobiłem.

Autobus dotarł do dworca w centrum. Zdecydowałem, że podróż będę kontynuował drugim autobusem. Pojadę do posiadłości. Stamtąd zacznę. Przedtem musiałem jednak coś zjeść, a przynajmniej się czegoś napić. Bolał mnie brzuch, w gardle mi zupełnie zaschło.

Stałem na schodach ruchomych prowadzących do centrum handlowego i poczułem się najbardziej samotnym człowiekiem na całej kuli ziemskiej. Nie chciałem nawet myśleć, jak wyglądam w ubłoconych, przemoczonych adidasach, za dużych niemodnych spodniach i wystającej spod kurtki bluzie Lionsów. Nie wiedziałem, jak brudna jest moja twarz i w jakim nieładzie mam włosy. Próbowałem się przejrzeć w szybie autobusu, ponieważ bałem się, że może krew policjanta ubrudziła mi policzki, brodę, a nawet

czoło. Po raz kolejny wytarłem rękawem kurtki czubek nosa i wargi i przeciągnąłem po włosach ręką, łudząc się, że w ten sposób zaprowadzę na głowie porządek.

W centrum handlowym ogłoszono przez głośniki, że sklepy zostaną za piętnaście minut zamknięte. Czasu miałem akurat. Poszedłem do sklepu spożywczego, starając się nie rozglądać. W oczy aż za bardzo rzucały mi się szczęśliwe pary w czystych ubraniach robiące wspólne zakupy na kolację.

Znalazłem regał z kanapkami, wziąłem chleb z kurczakiem, sięgnąłem do sąsiedniej półki po colę. Jeżeli się pospieszę, to akurat złapię następny autobus. Skręciłem do kas i stanąłem jak wryty. Jeżeli zaschnięty na policzkach pot i brud by puściły, to szczeka opadłaby mi aż na mokre, zabłocone buciory.

Kiedy ostatnio się widzieliśmy? Czy to naprawdę było raptem sześć tygodni temu?

Nie byłem w stanie wydusić z siebie ani słowa, tylko gapiłem się jak sroka w gnat.

Ile można pomyśleć w ciągu jednej setnej sekundy? Ile można żałować? Ile rzeczy można sobie przypomnieć, które zrobiło się źle, w ilu sprawach się pobiłdzilo?

Spojrzenie Mii przesuwalo się z sekundy na sekundę jak nowa, miękko i szybko poruszająca się winda, która wjeżdżała na pierwsze, drugie i trzecie piętro.

Najpierw zdziwienie, częściowo miła niespodzianka, potem już tylko zdziwienie, jawna konsternacja, wreszcie szok i w końcu wstyd za mnie. Musiałem wyglądać jeszcze gorzej, niż się tego obawiałem. Miia popatrzyła w bok, gdzieś między regały, po czym znów na mnie. Miała na sobie czarny, półdługi płaszcz przeciwdeszczowy, czerwone dzinsy i wzorzysty szalik.

– Cześć, Aleks.

– Witaj – odparłem, starając się wymyślić, co jej powiedzieć. W głowie miałem pustkę. – Co słychać? Robisz duże zakupy?

Genialne, pomyślałem. Jednocześnie zobaczyłem zawartość jej koszyka. Sery, owoce, ryba, chleb. Może wybierała się w gości. Albo kogoś zaprosiła. Przypomniałem sobie długie wieczory w jej pięknym mieszkaniu. Inny czas, inny świat.

– W pewnym sensie. My... To znaczy na kolację. Wszystko dobrze, miło, że pytasz.

– Cieszę się – powiedziałem, w ręce trzymałem rozmiękłą kanapkę i przesłodzony napój o temperaturze pokojowej, które w porównaniu z goudą, manchego, brie, marynowaną sieją i chlebem żytnim przypominały raczej karę niż jedzenie.

– Co u ciebie słychać? – spytała Miia.

– Całkiem nieźle – odparłem. – Muszę coś przekąsić, zanim wskoczę do autobusu.

Przyglądała mi się; czułem, jak taksuje mnie od stóp do głów i z powrotem. Pomachała wolną ręką, jakby chciała mi pomóc dostrzec moją sytuację.

– A zatem to była ta twoja tajemnica? Postanowiłeś zostać bezdomnym?

Pokręciłem głową.

– Wcale nie jestem bezdomny.

– Nie?

Stałem mocniej na nogach. Chlupało mi w butach. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że bluza sięga mi już do połowy uda; przypominała brzydką spódnice. Nie mogłem jej jednak zdjąć, ponieważ koszula zaplamiła się krwią.

– To nie jest tak, jak wygląda – powiedziałem, znów gratulując sobie błyskotliwości. Skąd ja brałem te banały?

– Jasne, że nie. Jaki autobus?

– Co?

– Musisz coś przekąsić, zanim wskoczysz do autobusu. Przynajmniej tak powiedziałeś. Co prawda, mówiłeś mi różne rzeczy i we wszystkie wierzyłam. Dokąd jedzie ten autobus?

Zauważyłem, że ludzie obchodzą mnie z większym niż zwykle dystansem. Możliwe, że emanował ze mnie zapach potu, brudu i mokrych ubrań. Miałem ochotę wrzasnąć do Mii i innych klientów sklepu:

„Spróbujcie sami wyglądać jak człowiek, kiedy ktoś do was strzela z gwoździarki, kopie w brzuch i żebra, a wy uciekacie przed policją przez ciemny las, boicie się, przez dwadzieścia lat macie nadzieję i chcecie wreszcie sprawiedliwości dla matki, odebranej chłopcu, jakim kiedyś byliście!”.

– Do pracy – odpowiedziałem cicho.

– To ty jednak pracujesz.

– Oczywiście.

– Wyglądasz, jakbyś... Jakbyś nie pracował. Gdzie pracujesz?

– Nie mogę ci powiedzieć.

Patrzyła na mnie takim samym spojrzeniem jak wtedy u niej w mieszkaniu, kiedy moje serce pękało, wciąż na nowo, za każdym uderzeniem.

– Jasne, że nie. Zapomniałam, że pracujesz dla CIA. Aleksi, czy ty mieszkasz na ulicy?

Byłem tak zmęczony, że nie miałem siły się jej sprzeciwić albo próbować nowych wyjaśnień.

– Czy mógłbym do ciebie kiedyś zadz...

Nie zdążyłem dokończyć pytania, ponieważ zza regału wychynął porządnie ubrany trzydziestolatek. Stał obok Mii. Miał przeciętną budowę, szyję omotał nonszalancko, choć uważnie, eleganckim pasiastym szalikiem, nosił okulary w ciemnych oprawkach, a w policzkach miał dołeczki, które pogłębiały się szybko i często.

– To jest Olli – przedstawiła go Miia, zerkając prędko w bok. – A to Aleksi.

Olli wyglądał, jakby nauczono go pewnych zasad nie tylko w zakresie ubioru. Wyciągnął do mnie rękę; zrobiłem to samo. Pod koniec ruchu, tuż przed podaniem mi ręki, zawahał się. Zobaczył moją dłoń. Ja też popatrzyłem na nią, jakbym widział ją po raz pierwszy w życiu. Powodem musiało być ostre, zimne światło jarzeniówek supermarketu. Wyglądała, jakbym puszkował nią flaki, a potem pracował w ogrodzie. Co zresztą nie było dalekie od prawdy. Wymieniliśmy uściski. Olli cofnął swoje ramię i trzymał je teraz z dala od reszty ciała.

– Słyszałem o tobie – powiedział.

Miia odkaszlnęła.

– Same dobre rzeczy – dodał.

– Jasne – odparłem.

Jego spojrzenie podążało teraz tą samą drogą co wcześniej oczy Mii: od ubłoconych buciorów do brudnego czoła i z powrotem. Czuję się jak pokazowy egzemplarz nieudacznictwa, towar wybrakowany, dziwny relikw, szalony wyjątek z przeszłości rozsądnej kobiety.

– Musimy iść – odezwała się Miia. – Wszystkiego dobrego.

– Jasne, nawzajem – rzuciłem, nie kierując właściwie słów do nikogo.

Słyszałem naturalnie stare powiedzenie, że przed śmiercią przed oczami przelatuje człowiekowi całe życie. Tak też było. Patrzyłem za oddalającymi się plecami Mii, szukającą ramienia Olliego dłonią, dziarsko maszerującymi botkami i czułem, jak umieram.

Wrzesień 2013

Dwór był opustoszały. Kiedy tylko ujrzałem główny budynek, wiedziałem, że Henrika Saarinen tam nie ma, i jeśli chodziło o jego obecność, to mój przyjazd tutaj okazał się bezowocny.

Nocny wiatr dął równo w drzewach, ale poza tym cały krajobraz był nieruchomy, bez śladu życia. Okna majątku były czarne jak wjazd do tunelu. Słabe światło latarni oświetlało mury i wyróżniało budynek spośród reszty krajobrazu; odniosłem wrażenie, że dom się porusza. Przeszedłem cztery kilometry wzdłuż drogi i miałem aż nadto czasu na myślenie. Chciałem wziąć gorący prysznic, tak marzyłem o suchych, czystych ubraniach, że aż mnie wszystko bolało.

Według wszelkich znaków na niebie i ziemi, nie musiałem się spieszyć. Upłynie na pewno sporo czasu, zanim Ketomaa będzie zdolny do złożenia zeznań. W żadnym rejestrze nie było moich odcisków palców ani próbek DNA. Moja obecność na miejscu przestępstwa została by ujawniona, jedynie gdyby opowiedział o tym Saarinen. W to jednak nie wierzyłem. Nie wiem, jakie przestępstwa popełnił, oprócz torturowania byłego policjanta, ale na pewno nie był skory do meldowania się na policji.

W majątku było ciszej niż kiedykolwiek. Zrobiłem szybką rundkę po dworze, chociaż w głębi serca czułem, że nie ma to sensu. Zatrzymałem się w środku sali. Nagle wszystko wydało mi się takie odległe. Przybycie do majątku, pierwsze spotkanie z Amandą i Henrikiem, prace dozorczy. Czasy, kiedy wiedziałem, co robię. Ta myśl złapała mnie za gardło i mocno ścisnęła, noc pociemniała jeszcze bardziej. Trząśłem się z zimna. Pogasiłem światła i poszedłem do swojego mieszkania.

Rozebrałem się, wrzuciłem ubrania do worka na śmieci i go zawiązałem. Następnie wcisnąłem ten pakunek do szafki pod zlewem, sam nie wierząc, że co z oczu to z serca. Przez długi czas lałem na siebie strumień gorącej wody pod prysznicem, zużyłem dużo mydła i szamponu. Krew emerytowanego policjanta ściekała do odpływu, ale poczucie winy z powodu cierpienia starego przyjaciela nie chciało mnie opuścić równie łatwo. Wciąż powtarzałem sobie, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, działałem według tego, co wiedziałem, i pomogę mu, na ile tylko to będzie możliwe.

Po prysznicu podgrzałem w tosterze stary chleb, posmarowałem go zrobionym przez Enni pasztetem z łosia i wypłem kubek kawy. Wiele razy zastanawiałem się, czy zadzwonić do Amandy, ale coś mnie powstrzymywało. Może słowa Saarinen, a może potrzebowałem trochę czasu i dystansu do tego, co się wydarzyło.

Po jedzeniu patrzyłem przez okno, ale nic nowego nie zobaczyłem. Dwór pozostawał na swoim miejscu, błyszczał w nocy, długi niczym statek, milczący i pewny siebie. Jeżeli nawet miał jakieś tajemnice, nie zamierzał ich zdradzić. Przyjazd tutaj nie okazał się otwarciem skrzyni skarbów czy nawet odsunięciem kamienia do jaskini, na co wcześniej liczyłem. Jednak przyjechałem tu i wszystko, co się stało, stało się nie bez powodu.

Ketomaa wierzył w winę Saarinen. Ja wierzyłem w winę Saarinen. Saarinen uważał śledztwo policjanta za natręctwo. Saarinen pozwolił mi się do siebie zbliżyć.

Zgasiłem światło i położyłem się na łóżku. Krok po kroku ciemność nabierała kształtów.

Wcześniej rano, tuż po siódmej, znów poszedłem na przystanek. Słońce dopiero zaczynało wschodzić, jego światło słabo rozjaśniało horyzont różowymi promieniami. Czekałem na autobus w towarzystwie ciemnego, nieprzeniknionego lasu świerkowego, zgrabiłymi od chłodnego poranka palcami dotykałem komórki, przeglądając jej zawartość. Szukałem numerów, pod które mógłbym zadzwonić. Przejrzałem w internecie wiadomości w dziennikach popołudniowych i lokalnych gazetach, szukałem nagłówków albo chociaż krótkich notek o zdarzeniach z lasu i starym policjancie, ale niczego nie znalazłem. Nie mogłem nawet zadzwonić do szpitala, w którym, jak sądziłem, przebywał Ketomaa. Żadnych informacji nie przekazywano osobom obcym, nawet w tak zwanych zwyczajnych przypadkach.

Nadjeżdżał autobus. Zwolnił, gdy zamachałem ręką, i wreszcie się zatrzymał. Pasażerów było niewielu, podróż do Helsinek przebiegała bez zakłóceń. Siedziałem w drugim rzędzie i obserwowałem, jak słońce zmienia kolory od różowego, przez czerwony i żółty, wreszcie wspina się po nieboskłonie i zaczyna świecić mi w oczy.

Z dworca autobusowego poszedłem po samochód. Auto stało tam, gdzie je zostawiłem, pod wycieraczką znalazłem mandat opiewający na osiemdziesiąt euro. Wcisnąłem go do kieszeni kurtki. Włączyłem silnik i już miałem odjechać, ale zrezygnowałem. Zamknąłem auto i poszedłem do znajdującego się nieopodal budynku, w którym mieszkała Amanda. Zadzwoniłem przez domofon i czekałem. Żadnej odpowiedzi. Może było zbyt wcześnie. Nigdzie nie widziałem czarnej terenówki. Chciałem się zobaczyć z Amandą, stanąć z nią twarzą w twarz, spytać, gdzie mogę zastać Henrika Saarinen. Rozmowa przez telefon to nie to samo, zwłaszcza teraz. Wróciłem do samochodu i postanowiłem sprawdzić, czy dostanę drugi mandat. Dwie godziny później poszedłem do kawiarni przy Liisankatu, żeby zjeść maślany rogalik i napić się kawy. Udałem się do małej łazienki, popatrzyłem na siebie w lustrze. Wyglądałem lepiej niż wczoraj, kiedy spotkałem Miię. Marna pociecha. Myśl o Mii była bolesna i ponura.

Po południu dla urozmaicenia przestawiłem samochód. Znalazłem w okolicy nowy zakaz parkowania przy innym skrzyżowaniu. Po południu ze szkoły wysypywali się na ulicę młodzi ludzie, na oko czternasto-, siedemnastolatki, część pojedynczo, część grupami. Przypominałem sobie swoją samotność i wyobcowanie z tego okresu, wiszącą jak wyrok wiedzę, że już nigdy nie pójdę do domu i nic nie będzie jak kiedyś.

To uczucie już zawsze mi towarzyszyło, nie odstępowało mnie na boisku, w kinie, w towarzystwie dziewczyn, a później kobiet – samotny, wszędzie, zawsze. Być może dlatego zacząłem żyć podwójnym życiem – wewnętrznym i zewnętrznym. W środku szukałem prawdy, wypełniałem zadanie, to, którego efektem był fakt, że siedziałem teraz w samochodzie i czekałem. Na zewnątrz robiłem to samo co moi rówieśnicy: chodziłem do szkoły, uczestniczyłem w grach zespołowych, studiowałem, pracowałem. Może powinienem sobie pogratulować, skoro właśnie teraz te dwa beznadziejnie różne życia zaczynały w końcu splatać się w całość.

Życie nigdy nie jest takie, jak człowiek sobie wyobraża, że pewnego dnia będzie. Nic nie dzieje się tak, jak to się wcześniej wymyśliło. Pewne jest tylko to, że jedne dni przeminą i nie wiadomo, co przyniosą nowe.

Chwilę przed czwartą podniosłem wzrok. W bocznym lusterku pojawił się czarny range rover Amandy Saarinen. Nadjeżdżał od nabrzeża, niczym powóz docierający do nowego miasta, trzęsąc się na okrągłych kocich łbach. Posuwał się wolno, jakby siedzący na koźle stangret bardzo uważał. Sposób jazdy nie pasował do charakteru Amandy. Czarny, błyszczący bok terenówki wyminął mnie. Miejsce do zaparkowania znalazło się tuż przed wejściem do budynku, po drugiej stronie ulicy. Amanda chyba naprawdę zawsze dostawała to, czego chciała. Nie potrafiłem sobie nawet wyobrazić, jakie to może być uczucie.

Wysiadłem z samochodu, a kiedy szybko przechodziłem przez ulicę, poczułem, jak ścierpły mi nogi. Amanda siedziała w samochodzie w ciemnych okularach na nosie. Dotarłem do wejścia do kamienicy.

Sekundy i minuty mijały. Wreszcie Amanda otworzyła drzwi, wysiadła i dostrzegła mnie. Domyśliłem się tego, ponieważ nagle wyprostowała się i szybko rozejrzała. Tak robi człowiek, który widzi kogoś, kogo nie chce spotkać. A może to sobie tylko wyobraziłem.

Ubrała się całkiem na czarno, co dodatkowo ją wyszczuplało; czarny półdługi skórzany płaszcz był dopasowany, podobnie czarna bluzka, czarne spodnie i czarne kozaki. Skóra na twarzy i szyi wydawała się bledsza, niż ją zapamiętałem. Wargi miała spuchnięte i lekko fioletowe.

– Długo czekasz? – spytała. Zza ciemnych okularów nie było widać jej oczu. Sądząc po głosie, było to raczej pytanie retoryczne, stwierdzenie faktu.

– Powinniśmy chyba porozmawiać o kilku sprawach – odezwałem się.

– Tak się składa, że pomyślałam o tym samym.

Zadzwoiła trzymanym w dłoni pękiem kluczy, po czym wsunęła właściwy z nich w zamek. Ruszyłem na górę. Szedłem za nią, jak to już kiedyś miało miejsce, ale nie czułem tego samego oczekiwania co wtedy. Ani nic podobnego. Nie wiedziałem dlaczego. Zapewne powodem były wydarzenia poprzedniego wieczoru: Henrik Saarinen, ojciec Amandy, strzelający gwoździem w ludzi i uciekający przed pociskami. Ale to jeszcze nie tłumaczyło wszystkiego.

Amanda nie zdjęła kozaków, tylko w butach weszła do środka i skierowała się do kuchni, wyjęła z lodówki butelkę kalifornijskiego białego wina, nalała sobie kieliszek i ze szkłem w dłoni przeszła do salonu, po czym usiadła na kanapie. Okulary przeciwsłoneczne tkwiły na swoim miejscu. Usiadłem na fotelu naprzeciwko niej. Wieczne słońce igrało w szybach, tworzyło długie, ciemne cienie, które znikwały w mgnieniu oka.

– Kurwa, co za noc, kurwa, co za dzień.

Mógłbym powiedzieć to samo. Amanda zdjęła okulary. Podbite oko zrobiło się fioletowe.

– Najpierw budzą mnie nad ranem i nie mówią, o co chodzi...

– Kto cię obudził?

– Policja.

Spojrzałem na nią. Pociągnęła wina. Postanowiłem więcej jej nie przerywać i najpierw wysłuchać, co ma mi do powiedzenia. Dopiero potem opowiem jej, co mi się przytrafiło. Opowiem? Położyłem rękę na oparciu fotela i czekałem. Amanda trzymała kieliszek przed twarzą, patrzyła ponad nim na ciemną sypialnię.

– Tak w ogóle to między nami skończone – rzuciła, jakby mimochodem wtrącała uwagę o pogodzie.

Nie przerywałem jej. Pomyślałem o Mii, o wczorajszym upokorzeniu przed nią. Słowa Amandy przeszły mi jakoś bokiem.

– Na czym to ja stałam? – ciągnęła Amanda. – A tak, na tym, że budzą mnie i każą wpuścić do środka, a potem zadają różne dziwne pytania. Kiedy ostatnio widziałas swojego ojca? Czy mówił wtedy coś, co wydało ci się podejrzanym? Temu podobne. Nie informują mnie, o co chodzi, chociaż widziałam po nich, że coś się stało.

Łyk wina.

– Mijają dwie godziny, a oni ostrożnie zaczynają mi tłumaczyć, że mój ojciec próbował kogoś zabić. Pokazałam im to. Westchnęła i palcem wskazującym pokazała na oko, jakbym inaczej nie rozumiał. – Powiedziałam, że takie coś można zarobić nawet wtedy, kiedy on nie próbuje zabić. Potem mnie spytali, co wiem o Enni Salkoli.

Wino w kieliszku się skończyło. Amanda chyba zastanawiała się, czy pójść sobie dolać, czy raczej kontynuować powieść.

– Powiedziałam im, że o ile mi wiadomo, wiele razy przygotowywała staremu jedzenie. Na to oni spytali, czy moim zdaniem miał jakieś powody, żeby próbować zabić Enni. Na to ja, że jasne, że nie, jeżeli nie liczyć jednego przypadku zbyt skarmelizowanego wierzchu na *crème brûlée*.

Amanda znów na mnie spojrzała.

– A potem powiedzieli mi, że on próbował zeszłej nocy zabić Enni.

Starłem się połączyć w głowie sprawę, ludzi i wydarzenia, ale mimo wielu prób nic mi z tego nie wyszło. Siedziałem w milczeniu i czekałem na dalszy ciąg. Jej opowieść była zupełnie inna, niż przewidywałem. Wszystko było inne.

– Aleksi.

Podniosłem wzrok. Nie zauważyłem, że zatonąłem w myślach.

– Dlaczego tu jesteś?

Pokręciłem głową.

– Bez powodu – powiedziałem. – Tak... się złożyło, że akurat wtedy przechodziłem.

Amanda przyglądała mi się beznamietnie, jej spojrzenie było chłodne i uważne. Dlaczego akurat w takich chwilach przychodziły mi do głowy rzeczy, które normalnie udawało mi się utrzymać w ukryciu, pod powierzchnią. Myślałem o mamie. Na nowo analizowałem wydarzenia z opuszczonego domu, słowa Henrika. Wiedziałem, że powinienem wszystko opowiedzieć Mii. Niezależnie od tego, jak by to potraktowała.

– Wiesz coś na ten temat? – Amanda pochyliła się i oparła łokcie szczupłych rąk na kolanach szczupłych nóg; wyglądała jak skorpion. – Bo mnie się to wszystko wydaje bardzo dziwne.

Znowu pokręciłem głową.

– Nie – powiedziałem tak przekonująco, jak tylko potrafiłem. – A zatem Henrik próbował zabić Enni. Odniosła poważne obrażenia?

Amanda patrzyła na mnie, jakbym właśnie rozbił jej ulubiony wazon, zrobił coś niesamowicie niezgrabnego albo dziwnego.

– Nie, nic jej się nie stało. Obroniła się. To stary nie żyje.

Mrok nie wnikał do wnętrza, wpadał teraz strumieniami, zalewał je. Za plecami Amandy świat ciemniał, cienie zlewały się w jedno. Uświadomiłem sobie, że już nie widzę jej oczu. Potężny, zimny wiatr przewiewał mnie na wskroś.

– Tak mi przykro – powiedziałem.

– Czemu?

Amanda podniosła łokcie z kolan i odchyliła się na oparcie kanapy. Ubrana na czarno kobieta w ciemnym pokoju przypominała obraz sprzed dwóch wieków. Albo zły sen.

– No, że twój ojciec... Że on nie żyje.

– Czy nie tego właśnie chciałam?

Nie odpowiedziałem. Amanda rozczesywała włosy. Henrik Saarinen nie żyje. To już koniec. Dwadzieścia lat, a teraz koniec. Nie mieściło mi się to w głowie.

– Nie mów, że o tym nie myślałeś – odezwała się Amanda. – O tym, co będzie potem. Po tym, jak ojciec Amandy przestanie się wtrącać i dostaniesz Amandę, będziesz miał dostęp do kasy.

– Nie interesują mnie...

Wyprostowała się, uniosła nieco głowę.

– Pieprzony stolarz – powiedziała zimnym, zrównoważonym głosem. – Z Vallila. Dawny właściciel komisju. Gotów wleźć dziedzicze do łóżka. Wcale nie myślałeś o pieniądzach.

Nie widziałem jej twarzy, ale też wcale nie miałem na to ochoty. Przypominałem sobie nasze spotkania, rozmowy, wszystko, co się zdarzyło, i jak jedna rzecz prowadziła do kolejnej. Wszystko takie logiczne. I nie mogłem powiedzieć, żeby była to dla mnie niespodzianka. Znałem swoje słabości, wiedziałem, co będzie, jeżeli się im nie oprę.

– Teraz już naprawdę musisz iść – powiedziała Amanda. – Czekam na kogoś.

Październik 2013

W ciągu następnych dwóch tygodni dwa razy byłem wzywany przez policję na przesłuchania. Elias Ahlberg, prawnik Henrika Saarinen, namawiał mnie, żebym do odwołania kontynuował pracę dozorca w posiadłości.

Na przesłuchaniach odpowiadałem wyłącznie na zadawane mi pytania. Nie wrywałem się z własnymi spostrzeżeniami ani teoriami. Jak do tej pory nikt nie skojarzył mnie z wydarzeniami z opuszczonego domu, dowiedziałem się także, że Ketomaa na razie niczego nie zdradzi: z powodów zdrowotnych utrzymywano go w sypialni. I wbrew moim przypuszczeniom Mansikka-aho nie skontaktował się ze mną.

Kawałek po kawałku udało mi się ustalić, co zaszło między Henrikiem a Enni.

Henrik wpadł do niej do domu wytrącony z równowagi. Powiedział, że wplątał się w nielegalną sprawę, ale nie może iść z tym na policję. Nie przyznał się, co się wydarzyło ani skąd wraca. Domagał się, żeby Enni go ukryła, dopóki czegoś nie wymyśli. Rękawy miał poplamione krwią. Enni się przestraszyła. Chciała zadzwonić na policję, ale zdecydowanie jej tego zabronił. Mimo to spróbowała. Henrik wyszarpnął jej telefon z dłoni, a gdy próbowała uciec z mieszkania, zaatakował ją. Trafił ją w ramiona i uda, po czym się wycofał. Enni uciekła do kuchni, żeby stamtąd zadzwonić, ale Henrik poszedł za nią. Wpadła w panikę. Jej pracodawca krzyczał coś do niej o sprawach, których nie rozumiała. Bała się, że ją zabije. Henrik zacisnął pięści i skoczył na nią, złapał nóż. Henrik zatrzymał się. Długi, ostry nóż przeciął mu aortę i zatonął w sercu. Henrik Saarinen zmarł na miejscu.

Enni wkrótce uwolniono. Nie wróciła do pracy i więcej jej w posiadłości nie widziałem.

Amandy zresztą też nie. Nie miałem o niej żadnych wiadomości. Zauważyłem, że myślenie o niej przyprawia mnie o gęsią skórę i strach, że może zaraz pojawi się zniecka, wyskoczy niczym diabeł z pudełka. Za każdym razem, kiedy mi się przypominała, zaczynałem się nerwowo rozglądać. Cienie przybierały jej kształt, zmiany w krajobrazie, skrzypienie w sąsiednim pokoju zwiastowały jej nadejście.

Czułem się, jakbym dryfował, mimo że długie dni wypełniała mi praca. Jeżeli już naprawdę nie było nic do roboty, coś sobie wymyślałem. Szczególnie dobrze czułem się na brzegu, konserwując pomost i saunę. W pierwszym tygodniu października padało niespotykane mało, jak na tę porę. Niebo było jasne i błękitne, powietrze czyste i chłodne, a wiatr łagodny. Słońce uparcie dążyło do góry, ale każdego dnia docierało coraz niżej. Rankami dodawało do palety kolorów na nieboskłonie ciepłej czerwieni, różnych odcieni fioleto, rozpościerało szerokie pasy na przemian różu i czerni. Pracowałem na świeżym powietrzu, ruszałem wszystkimi czterema kończynami i... dryfowałem.

Dryfowanie przypominało wspomnianie. Jedno i drugie bolało.

Rozumiałem, że praca w posiadłości tylko pogarsza sprawę, ale wciąż nie mogłem się zdobyć na wyjazd. Przyjechałem tu z powodu Henrika Saarinen. Ten zaś nie żył. Dlaczego jeszcze nie złożyłem wypowiedzenia, co mnie tu trzymało? Nie wiedziałem. Henrik Saarinen zabrał ze sobą do grobu tajemnicę losu mojej mamy, tajemnicę znaczenia słów, które wypowiedział w obecności skrupowanego policjanta.

Barierka pomostu była pomalowaną na biało kratą o wysokości półtora metra, a morze surowo traktowało zarówno farbę, jak i drewno. Odnowienie barierki wydawało się odpowiednim zajęciem.

Można ją było odnowić za rok, dwa, a równie dobrze można było to zrobić w tej chwili. Rozbierałem więc białą konstrukcję. Właśnie wstałem, żeby się przeciągnąć, i popatrzyłem w kierunku dworu.

Ktoś otworzył podwójne drzwi na taras, wiatr trzepotał biało-żółtymi pasiastymi zasłonami. Kawałki materiału łopotały niespokojnie to na zewnątrz, to do środka, to wreszcie na boki. Przypominały języki wysuwające się z ust i oblizujące wargi. Przez chwilę im się przyglądałem, po czym ruszyłem do dworu.

Schody na taras domagały się zamiatania. Nawiane przez wiatr liście ciasno się ze sobą posklejały przy podstopniach. Część już zbrązowiła, część zaś zachowała jeszcze kolory świeżej żółci i mocnej czerwieni. Zasłony wypadły mi na spotkanie, kiedy wchodziłem do środka. Zatrzymałem się.

Sala wyglądała jakoś inaczej, chociaż wszystkie meble i proporcje pozostały takie jak przedtem. Nagle zauważyłem, co się zmieniło od rana: w wysokim szklanym wazonie pojawiły się mieczyki oszałamiające swoim mocnym zapachem. Stały w tym samym miejscu, w tym samym wazonie co tego dnia, gdy po raz pierwszy rozmawiałem z Henrikiem Saarinem. Z kuchni dobiegały znajome dźwięki, trzaskanie drzwi od szafek, szcęk naczyń o stół, dzwonienie szkła o drewniane podkładki, metaliczny brzęk sztućców.

Enni wyglądała jak zwykle: zatopiona w pracy, nieco zaskoczona moim widokiem. Miała na sobie białe tenisówki, wygodne ciemne dzinsy i bluzkę w kolorze zielonego jabłuszka. Na policzki wypłynął rumieniec od całej tej krzątaniny. Wszystko było takie normalne. Trudno było wyobrazić sobie śmierć Henrika Saarina i tę pełną energii kobietę jako jej sprawcę.

– Cześć – odezwałem się, jakbym nie chciał zaczynać od wyrazów współczucia i mówić, jak mi przykro. Nie mogłem się zresztą zdecydować, czy rzeczywiście jest mi przykro. Zresztą nie miało to większego znaczenia; co się stało, to się nie odstanie.

– Cześć – odpowiedziała Enni, nie odrywając się od pracy, którą aktualnie stanowiło napełnianie lodówki i szafek. Na podłodze stały torby z jedzeniem, a na stole koszyk, w którym kucharka przyniosła soki, dzemy oraz inne smakołyki własnej roboty. Wypełniła go po brzegi. Jeszcze przez chwilę kontynuowała pracę, po czym spojrzała na mnie.

– Elias z tobą rozmawiał?

Skinałem głową.

– Ustaliliśmy, że będę pracował do odwołania.

– To tak jak ja.

Wolałem nie pytać, co mogła robić kucharka w majątku, w którym jedyny stały konsument umarł. To nie była moja sprawa.

– Chcesz może o coś zapytać? – Enni wyprostowała się jak struna. Była wysoką kobietą, mierzyła ponad sto siedemdziesiąt centymetrów.

– O co? – rzuciłem, chociaż domyślałem się, co ma na myśli.

Zrobiła przyjazną minę. Czerwone policzki podkreślały jej gościnność.

– O to, co się wydarzyło. O Henrika.

Wzruszyłem ramionami.

– Chyba nie. To było na pewno... nieprzyjemne. To znaczy przykre.

– Nawet bardzo. Ale co miałam zrobić? Wszystkim to mówię.

– No pewnie, nie miałaś innego wyjścia.

Przez chwilę staliśmy w ciszy. Zupełnie jakbym czuł w kostkach i łydkach zimny przeciąg spowodowany przez morski wiatr wpadający przez otwarte drzwi i przedzierający się przez zasłony.

– Chciałabym, żeby Henrik nadal był gospodarzem w tym majątku – dodała Enni. – Ale on nie był sobą, kiedy do mnie przyszedł. To nie był on. To był ktoś zupełnie inny.

Dostała już wszelkie możliwe oferty pomocy kryzysowej, terapii, specjalistów, przepisano jej leki. Mówiła do mnie więcej niż kiedykolwiek i o czymkolwiek. W którymś momencie musiałem zapytać, co

mówił Henrik, czy wspominał coś o mnie, co robił. Ale właśnie w tej chwili Enni oderwała ode mnie wzrok i rozejrzała się, jakby ktoś umieścił ją niespodziewanie pośrodku kuchni.

– Muszę wracać do pracy, ty na pewno też – powiedziała, schyliła się do plastikowej torby i wyciągnęła z niej jedzenie. – Życie toczy się dalej. Trzeba żyć, trzeba jeść, trzeba pracować. Cokolwiek by się działo, życie toczy się dalej. Nie ma innych możliwości.

Nie odpowiedziałem jej. Chyba nie miałem nic szczególnego do powiedzenia. Stałem już w drzwiach i patrzyłem, jak jesienne, słabe światło pada pod kątem na podłogę w sali, kiedy usłyszałem głos Enni.

– Aleksi.

Enni wyciągnęła z koszyka słoiki, ułożyła je w wieżę i trzymając je w objęciach, poszła do lodówki. Mówiła, jednocześnie układając je na półkach i w szufladach.

– Wieczorem możesz przyjść po jedzenie. Zostawię dla ciebie przygotowaną porcję. Możesz zabrać do siebie, co tylko chcesz.

– Dziękuję.

– Nie ma za co – usłyszałem jej głos z lodówki. – To ważne, żebyśmy się dogadywali. Jestem pewna, że Henrik by sobie tego życzył.

Wróciłem do pracy na brzegu. Spokojne morze pobłyskiwało i migotało aż do zachodu słońca. Kiedy kolory znikły i zapanował mrok, a z krajobrazu pozostały jedynie kontury podobne do zębów piły, pobierałem narzędzia, zaniósłem skrzynkę do sauny i usiadłem na chwilę na tarasie. Dolatywały do mnie dźwięki delikatnych igraszek fal z przybrzeżnymi kamieniami i pomostem, brzmiące, jakby ktoś wysypywał na parkiet koraliki z torebki bez dna. W ciemnościach lepiej było słyszeć także inne dźwięki. Po moich krokach na żwirze można było poznać zachłanność wygłodniałego mężczyzny. Już prawie zapomniałem popołudniową rozmowę z Enni, ale teraz przysłała mi ona znowu do głowy. Właściwie to do żołądka.

Dwór znów robił wrażenie opuszczonego, jakby Enni wcale nie pojawiła się tutaj w ciągu dnia. Wszedłem przez drzwi kuchenne, zapaliłem światło i ruszyłem prosto do lodówki. Enni powiedziała, że mogę wziąć wszystko, na co mam ochotę. W małej formie przyrządziła zapiekankę z kapusty i mięsa, w której brakowało jedynie wąskiego paska. Kucharka naprawdę działała zgodnie ze swoją maksymą: żyła dalej, kontynuowała gotowanie, choćby jadła tylko jedna osoba – ona sama. Wziąłem z szafki talerz i nałożyłem sobie słuszną porcję zapiekanki. Wkładałem go właśnie do mikrofalówki, kiedy postanowiłem, że zjem w domu przy własnym stole. Przy okazji wezmę trochę jedzenia do swojej lodówki, przede wszystkim produkty śniadaniowe.

Na podłodze nadal stał wiklinowy koszyk. Załadowałem do niego wiktuały: dżem agrestowy do jogurtu, sok jabłkowy, sałatkę grzybową i oczywiście domowej roboty pasztet z łosia, którego tłusty, mięsny smak doskonale komponuje się z dobrze wypieczonym tostem. Spakowałem jeszcze trochę rzeczy, a na wierzchu położyłem talerz z zapiekanką. Kosz był pełen i ciążył mi w ręce, kiedy zamykałem za sobą drzwi, szedłem przez oświetlone latarniami podwórze i trawnik do swojego budynku, wspinałem się po schodach i wreszcie dotarłem do mieszkania.

Jeżeli czasem odczuwałem samotność, to dzisiaj wyłaziła ona ze wszystkich kątów. Była w pustym krajobrazie wokół dworu, w martwych ludziach, w dźwięku mojego oddechu. Robiłem wszystko, by czuć, że jestem częścią społeczeństwa, świata. Gorący prysznic, świece w oknie, włączone radio, ciepłe jedzenie. Parowało i pachniało. Światło świec miękko falowało przy lekkim przeciągu. Odbijało się w szybach i zwielokrotniało na ścianach, a zapiekanka z kapusty i mięsa była puszysta i sycąca. Może Enni miała rację, że życie toczyło się dalej.

Chwilę trwało, zanim umysł zarejestrował to, co dostrzegły oczy. Mój wzrok krążył między wazonem na parapecie a zostawionymi przy zlewozmywaku słoikami i wekami, przesuwając się od dna wazonu do słoika z pasztetem. Początkowo nie wiedziałem, co takiego przyciąga moją uwagę. Kiedy to

wreszcie pojąłem, niemal wyplułem jedzenie z powrotem na talerz.

Sierpień 1993

Mama zatrzaskuje za sobą drzwi. Łupnięcie dzwoni mi jeszcze przez chwilę w uszach i stopniowo cichnie, jakby gdzieś daleko jeszcze zamykano drzwi. Tata Vesy odwiózł mnie saabem po meczu, wziąłem sobie jedzenie. Siedzę przy stole i czytam *Lucky Luke'a*. Daltonowie właśnie uciekają z więzienia, kiedy mama z hałasem wchodzi do mieszkania. W pokoju jest tylko jedno źródło światła. Zwisająca nad stołem lampa z plastikowym kloszem. Mama stoi na granicy kręgu światła, tak że nie widzę jej twarzy. Czarne buty błyszczą równie mocno, jak kiedy wychodziła. Nie spacerowała w nich po dworze.

Jak tam mecz?

Wygraliśmy cztery do dwóch.

To świetnie, mówi głosem, który nie brzmi tak jak wtedy, gdy mówi naprawdę to, co myśli.

Czy cały czas padało? – pyta.

Prawie.

Mama zdejmuje z szyi czerwony szalik.

Zjadłeś wszystko?

Prawie. A ty, dobrze się bawiłaś?

Stoi z czerwonym szalikiem w rękach, okręca go wokół prawej dłoni.

Zależy, jak na to spojrzeć. Nie mogę powiedzieć, że wygrałam cztery do dwóch.

Deszcz wali w parapet za moimi plecami. Co ja takiego miałem powiedzieć, zanim mama wyszła?

Nie pamiętam.

Co się stało? – pytam.

Mama milczy przez chwilę.

Chcesz usłyszeć? – odzywa się w końcu.

Kiwam głową.

Jedzenie było pyszne. Widok piękny. Restauracja nad brzegiem morza.

To chyba całkiem fajnie.

Jasne.

Mama zdejmuje płaszcz i wieszka go na wieszaku. Siada na krześle w przedpokoju, ściąga buty i stawia je pod krzesłem. Potem prostuje się i patrzy na mnie. Widzę jej twarz.

Nie jest fajnie, że ludzie nie są ze sobą szczerzy. To ważne, żeby być szczerym, Aleksu. Mówić prawdę, być takim, jak się mówi, robić tak, jak się obiecało.

Widzę, że mama jest wytrącona z równowagi. Czuję to. Robi wszystko, żeby zachować spokój, ale jest zła, wściekła. Jak wówczas, gdy z łazienki nad nami przeciekła do naszej woda i mama musiała przypilnować, żeby fachowcy przeprowadzili remont jak należy, a nie tak jak na początku, kiedy wszystko sknocili i przez dwa tygodnie musieliśmy mieszkać w pokoju kominkowym segmentu należącego do koleżanki mamy z pracy.

Wstaje z krzesła i podchodzi do stołu.

Nie zjadłam głównego dania. Dojem chyba po tobie.

Dlaczego?

Co „dlaczego”?

Nie zjadłaś głównego dania.

Mama zastanawia się chwilę.

Nie mówmy o tym.

Nadal na nią patrzę. Wzdycha.

Pewna pani, odzywa się w końcu, o której nikt mi nie mówił, była dla mnie bardzo, bardzo niemiła.

Tam, w tej restauracji?

Ona tam pracuje.

Co ci zrobiła?

Nic mi nie zrobiła. Ale widziałam, co zrobiła mojemu znajomemu.

No, co takiego?

Ręce mamy się zatrzymują. Patrzy na nie, otwiera i zamyka dłonie, które są równie małe jak moje.

Coś, czego nie powinnam była widzieć. Przypadkiem akurat wtedy wyszłam z toalety.

Ale co ona zrobiła?

Jaki ty jesteś dociekliwy!

Sama spytałaś, czy chcę usłyszeć, a ja powiedziałem, że tak.

Niepokój, że dzieje się coś złego, który towarzyszył mi już przed wyjściem mamy, powrócił. Czuję zimno w żołądku, chociaż przed chwilą zjadłem gorącą zapiekankę z makaronem.

Co zamierzasz zrobić? – pytam.

Mama jest teraz w naszej ciasnej kuchni i zagląda do lodówki.

Dobrze, że jest jeszcze tyle zapiekanki. Przebiorę się i zjem.

Co zamierzasz zrobić? – ponawiam pytanie.

Mama zamyka lodówkę, odwraca się i patrzy na zewnątrz przez małe okno w kuchni. Nie widać z niego nic oprócz ściany sąsiedniego bloku, która pociemniała od deszczu, a na dole zrobiła się żółtawa tam, gdzie oświetlają ją latarnie uliczne. Mama prostuje plecy i kładzie ręce na blacie.

Mam już dość tego, że pewne sprawy pozostają niewyjaśnione. Tę zamierzam wyjaśnić. Powiem tej kobiecie, że chcę się z nią spotkać, i zapytam, czemu zrobiła to, co zrobiła.

Kiedy?

Jutro. Ale dopiero po południu. Zgadnij dlaczego?

No, dlaczego?

Mama odwraca się od okna, patrzy na mnie, uśmiecha się i nareszcie wraca do siebie. Jakby wcześniejsza złość uleciała przez okno w czającą się tam ciemność i rozpuściła na deszczu.

Ponieważ dzisiaj będziemy oglądać do późna telewizję i jeść popcorn.

Trudno jest się uśmiechać, kiedy żołądek się przewraca, i trudno jest przełykać, kiedy przełyk jest suchy i napuchnięty. Próbuję się uśmiechnąć i chyba moje starania zostają nagrodzone. Mama idzie się przebrać do sypialni, po drodze kładzie mi rękę na ramieniu.

Nic nie widzę, ale jestem przekonany, że w tej chwili jest coś, co zdecydowanie muszę zrozumieć, a przynajmniej zapamiętać.

Mimo to na dwadzieścia lat zapominam słowa mamy.

Powiem tej kobiecie, że chcę się z nią spotkać, i zapytam, czemu zrobiła to, co zrobiła.

Październik 2013

Szum i szmer wydobywały się z mojego wnętrza. To nie był wiatr w koronach drzew, żwir pod moimi butami ani morze w oddali. Sadziłem długie, ciężkie kroki, było ciepło i spokojnie jak na tę porę roku.

Mały domek stał przy drodze, jakby czekał, aż ktoś go gdzieś podwiezie. Był w połowie oświetlony. Okna na ganek oraz te po prawej stronie świeciły ciepło i w ciemnościach wieczoru tworzyła się wokół nich łagodna poświata. Lewa część domu pozostawała w uśpieniu, tkwiła w ciemnościach, jakby stanowiła osobny budynek. Zatrzymałem się, odetchnąłem głęboko i pomacałem kieszeń.

Dwadzieścia lat.

Wszedłem na ganek, nacisnąłem biały przycisk przykręcony do framugi drzwi. Z domu dobiegł przeraźliwy pisk. Usłyszałem kroki, drzwi się uchyliły. Za chwilę otworzyły się na oścież i ciepłe światło przeniknęło październikową ciemność.

– Aleksi, czekałam na ciebie.



Wieczorną herbatę i jasnobrązowe okrągłe herbatniki ustawiono elegancko na stoliku w salonie. Stała tam także lampa na miedzianej nóżce, która przez zielony szklany klosz filtrowała do pokoju ciepłe, lekko zabarwione światło. Kompozycji strzegły rozstawione po obu stronach stołu skórzane fotele z oparciami w kształcie masywnych końskich podków. Niemal całą podłogę pokrywał perski dywan, który gotów byłem uznać za oryginalny. Z parapetów zwisały rośliny obficie wyposażone przez naturę w liście, na komodzie stała stylowa wieża hi-fi, a po obu stronach mebla z podłogi wyrastały czarne głośniki emitujące muzykę klasyczną, najwyraźniej Wagnera. Zwisający z sufitu antyczny żyrandol był zgaszony, pokój oświetlała wyłącznie lampa na stoliku i dwie lampy stojące, których fikuśne klosze przywodziły na myśl stare zdjęcia i muzea historii wystroju wnętrz.

Pokój był mały, ale wygodny.

Usiadłem na wskazanym mi fotelu i czekałem na filiżankę herbaty. Unosiła się z niej para, jakby chciała się stamtąd za wszelką cenę uwolnić. Poczekalem, aż napełni się druga filiżanka, a imbryk powróci na swoje miejsce obok lampki. Wyciągnąłem z kurtki kokardki i położyłem je na stole.

– Jedna pochodzi z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego, a druga jest nowa – powiedziałem.

Kokardki były identyczne. Leżały na ciemnym drewnie, przypominając motyle z uszkodzonymi skrzydłami. Oderwałem wzrok od stołu i popatrzyłem w kierunku drugiego fotela.

– Kiedy zauważyłeś?

– Pół godziny temu. Tę trochę ciemniejszą – wskazałem na kokardkę – trzymam od dwudziestu lat. Tę drugą znalazłem dziś wieczorem na słoiku z pasztetem.

Enni przekręciła głowę tak, że widziałem jej profil. Trzymała filiżankę na wysokości piersi.

– I to wystarczyło?

– Jasne, że nie. Ale przywołało wspomnienia. Sprawy sprzed dwudziestu lat. Sprawy, które widziałem i o których słyszałem. Jak mówiłaś o Henriku. Gdzie pracowałaś. W tej restauracji nad brzegiem morza. Jak sama przygotowujesz jedzenie i wiążesz na nim kokardki. Tak jak dwadzieścia lat temu na jednym prezentowym cieście. Bo już dwadzieścia lat temu miałaś obsesję na punkcie Henrika, byłaś o niego zazdrosna aż do ostatniej chwili. Powinienem to zauważyć już przy pierwszym spotkaniu. Ale całą uwagę poświęcałem tylko jemu. Zawsze go podejrzewałem, nie przyszło mi do głowy, żeby się rozejrzeć wokół niego, może wtedy zobaczyłbym ciebie.

Mój głos brzmiał tak spokojnie, że niemal obco. Nie byłem pobudzony, raczej zmęczony.

– Moja mama chciała się z tobą spotkać – ciągnąłem. – Zrobiła, jak powiedziała, dotrzymała obietnicy. Daleko jej było do ideału, ale dotrzymywała obietnic. Jestem pewien, że skontaktowała się z tobą. Mogę się domyślać, dlaczego tego nie sprawdzono. Na pewno zadzwoniła do restauracji i później błędnie to zinterpretowano. Potem wstała zza biurka, wyszła z pracy, wsiadła do twojego samochodu i wtedy coś się stało. Był październik, padało, całe śledztwo rozpoczęło zbyt późno, więc mogłaś odjechać i nikt nie mógł stwierdzić dokąd.

– Czy ktoś jeszcze o tym wie?

Głos Enni brzmiał neutralnie, jakby pytała o pogodę kogoś, kto akurat spogląda przez okno.

– Nie – odparłem. – Chcę wiedzieć, co się stało mojej mamie.

Dmuchała w filizankę. Nie wiem, czy uśmiechnęła się przy tym, czy też uniesienie kącików ust wynikało z dmuchania. Para zniknęła, jakby się przestraszyła.

– Henrik mi mówił, że jesteś synem tej zaginionej kobiety – powiedziała.

Milczałem. Enni upiła łyk herbaty. Mięśnie twarzy zadrżały, najwyraźniej napój był za gorący. Filizanka zadzwięczała o spodek.

– Jak ci się tutaj podoba? – zapytała.

– Przepraszam?

Odwróciła głowę na tyle, że widziałem teraz jej całą twarz. Światło podświetlało ją od dołu, podkreślając zmiany, które ostatnimi czasy nastąpiły. Enni postarzała się, policzki nieco się zapadły, w kącikach ust pojawiły się głębokie, widoczne bruzdy. Najbardziej zmieniły się oczy. Spojrzenie wypełniał smutek na tyle, na ile było to możliwe bez udziału łez.

– To miejsce. – Zamachała ręką.

– Domowo tu.

– Domowo – powtórzyła Enni. – Dwadzieścia trzy lata, tu mieści się wszystko, co zdobyłam.

Milczałem.

– Nie uważam, żeby to było dosyć. Powiedziałam Henrikowi, że to nie dość. Powtórzyłam to dwa tygodnie temu, kiedy przyszedł do mnie po pomoc, jak zwykle to robił, kiedy zaplątał się w kłopoty z innymi kobietami. Tak było przez dwadzieścia trzy lata, naprawdę. I zawsze go przyjmowałam, pocieszałam, dawałam, czego chciał, bo mi przysiągł. Tym razem też mówiłam do niego cierpliwie, ale on znów mnie nie słuchał.

Przez chwilę siedzieliśmy w ciszy. Enni nie spuszczała ze mnie wzroku. Między nami parowały filizanki.

– Co się stało z moją mamą? – zapytałem.

Usadowiła się głębiej w fotelu. Patrzyła przed siebie, może na komodę i stojące na jej straży głośniki. Wagner grzmiał.

– Spotykaliśmy się przez jakiś czas z Henrikiem. Byliśmy szczęśliwi. A przynajmniej ja byłam. Mówił, że on też. Teraz już nie wiem, czy w to wierzyć. Poznaliśmy się, kiedy kupił restaurację, w której pracowałam. Nie wolno mi było nikomu mówić o naszym związku. Henrik był zawsze tajemniczy, o niczym nigdy nie wolno było nikomu nic mówić. A potem pojawiła się ta kobieta, twoja matka.

Enni nie patrzyła na mnie, chociaż jej głowa była skierowana w moją stronę.

– Zaczął zachowywać się oziębło w stosunku do mnie. Zabraniał mi się ze sobą kontaktować. Wiesz, jak to jest? Musisz wiedzieć, Amanda też cię już na pewno tak potraktowała.

Przyglądała mi się. Różnica polegała oczywiście na tym, że ja nie byłem zakochany w Amandzie. Byłem... No właśnie, co?

– A potem przyszli razem na kolację właśnie do tej restauracji, która była naszym miejscem – ciągnęła Enni. – Serce mi pękło. Dwa tygodnie temu, kiedy Henrik wpadł tu roztrzęsiony, w zakrwawionej koszuli, dotarło do mnie, że przez dwadzieścia lat żywiłam urazę. Nie zapomniałam i nie wybaczyłam niczego. Powiedziałam mu to. Powiedziałam, że wszystko skończone.

Enni położyła ręce na kolanach. Zrobiła głęboki wdech, potem wydech.

– Tamtego wieczoru, dwadzieścia lat temu, kiedy twoja mama wyszła do toalety, podeszłam do Henrika i powiedziałam mu, co o nim myślę. Potem spoliczkowałam go i wylałam mu kieliszek wina na spodnie, w to miejsce. Wiedziałam, że kiedy kobieta wróci, wyjdą, a Henrik będzie musiał się wytłumaczyć. Pewnie teraz zapytasz, dlaczego po tym wszystkim zatrzymał mnie przy sobie i czemu ja zostałam przy nim.

Patrzyła na mnie, ale nie oczekiwała, że zadam pytanie.

– Taka jest miłość, czasami. Tak to jest, kiedy wie się o czyichś sprawach, a ten ktoś nie chce, by trafiły do publicznej wiadomości. Pokazać ci?

Nie zdążyłem nic powiedzieć, a Enni już zrobiła dwa szybkie kroki do komody, schyliła się, odsunęła najniższą szufladę, wyjęła z niej teczkę i podała mi. Wziąłem ją do ręki, ale nie otworzyłem.

– Zapytam jeszcze raz – powiedziałem na tyle spokojnie, na ile byłem w stanie. – Co się stało?

– To ma związek z tym.

Enni stała pośrodku pokoju. Otworzyłem teczkę. Album z fotografiami. Na niektórych zdjęciach młoda Enni i Henrik Saarinen. Inni ludzie. Z łatwością rozpoznawałem Enni, Henrika, Amandę, Markusa Harmalę z różnych okresów, w różnych ubraniach, fryzurach, okularach przeciwsłonecznych. Parę wspólnych zdjęć. Nic szczególnego, żadnych perwersji: żadnej skóry, gumy, jedzenia odchodów, zwierząt. Nic, czym można by kogoś szantażować. Po prostu ludzie we dworze, pod kryształowym żyrandolem, w letnim słońcu, w łodzi na morzu, przy suto zastawionym stole.

Zamknąłem teczkę i odłożyłem ją na stół.

– Czekałem dwadzieścia lat – powiedziałem. – Przyjechałaś po mamę do pracy. Co się stało?

Nie patrzyła mi w oczy. Wyglądała na kogoś, komu odebrano coś nieodwołalnie. Znałem to uczucie.

– Umówiliśmy się. Przyjechałam samochodem do niej do pracy. Wsiadła. Próbowaliśmy rozmawiać. Próbowaliśmy jej wytłumaczyć, że Henrik jest mój, ale ona nie chciała tego przyjąć do wiadomości. Machnęłam ręką, chyba trochę za szybko. Może pomyślała, że ją uderzę. Spróbowała zadać mi cios. A ja... miałam ze sobą nóż. Do samoobrony... Wzięłam go z pracy. Zadziałałam instynktownie. Nic nie pamiętam, a przynajmniej niewiele. Dotarło do mnie, że stało się coś złego. Zdenerwowałam się. Włączyłam silnik i odjechałam.

Enni była, jak na kobietę, dość barczysta. Moja mama to była przy niej waga piórkowa, zbyt wiotka, niemożliwie drobna.

– Działałam pod wpływem instynktu – tłumaczyła Enni. – Przyjeżdżałam tutaj z Henrikiem. Zauważyłam, że skręcam na tę drogę. Wyjechałam z Helsinek z twoją mamą na przednim siedzeniu. Dopiero kiedy tutaj dotarłam, uświadomiłam sobie, że wcale tego nie przemyślałam, nie zastanowiłam się, czy może ktoś tu jest. Ale nikogo nie było, a ja jechałam właśnie do pracy. Wykopałam w lesie głęboki dół i pochowałam ją. Wróciłam do Helsinek. Nikomu nigdy nie pisałam nawet słowem o tym, co się tego dnia stało. Nikt mnie nie pytał. Henrik traktował mnie jak ścianę, do której mówił, i materac, na którym uprawiał seks. Policja przez chwilę się nim interesowała, ale to wszystko.

Wzbierało we mnie uczucie, którego nie mogłem nazwać głęboką satysfakcją z wyjaśnienia tajemnicy ani też wzbierającym pragnieniem zemsty za wyrządzone zło. Był to raczej smutek i jakaś

bezgraniczna samotność. Zobaczyłem, że Enni cofnęła się o dwa albo trzy kroki i stała niemal przy samej komodzie.

– Opowiedziałś o tym Henrikowi? – spytałem.

– Większość. Nie zdążyłam...

Straciłem osobę, którą kochałem. Ale nie miałem z tym nic wspólnego.

– To dlatego on się na ciebie rzucił, prawda?

– Powiedziałaś, że zrobiłam to z jego powodu. Nie zrozumiał.

– Pewnie, że nie zrozumiał! – Nareszcie poczułem falę wściekłości. Wkrótce opanuje ona mój umysł i wypełni głowę. – Zrobiłaś to dla siebie. Byłaś zaborcza i zazdrosna. Nie jesteś żadnym filantropem, zabrałaś małemu chłopcu mamę.

Wstałem. Przypomniałem sobie dwie rzeczy, które teraz się połączyły: Enni zręcznie posługująca się nożem w kuchni, przyczyna śmierci Henrika Saarinen. Prawa dłoń Enni wsunęła się za jej plecami do górnej szuflady. Kiedy zrobiłem krok w jej stronę, zamachnęła się.

Długi, błyszczący, ostry nóż ciął powietrze pewnie, bez zbędnych ruchów. Przesuwał się energicznie i z determinacją w kierunku mojej klatki piersiowej. Enni zrobiła krok w moją stronę, ja też posunąłem się o krok naprzód. Udało mi się uniknąć ciosu w pierś, ale nie zdołałem się całkowicie odsunąć.

Błyszczące ostrze zatoneło w moim lewym ramieniu, przecięło koszulkę i kurtkę, jakby przebijało balon. Enni natychmiast wyciągnęła nóż. Widziałem jej twarz. Skoncentrowane spojrzenie, zimne oczy.

Zrobiłem unik, jednocześnie prąc naprzód. Ostrze noża znów się do mnie zbliżało.

Złapałem Enni, lewą ręką otoczyłem jej szyję. Nóż ciął powietrze przed moim nosem, a ona wrzeszczała. Stałem za nią, przesunięty lekko w bok. Prawą ręką próbowałem złapać jej prawą dłoń.

Nóż trafił mnie w przedramię, przeciął rękaw i skórę. Enni była profesjonalną kucharką, sama ostrzyła swoje narzędzia. Udało mi się złapać jej rękę. Ścisnąłem nadgarstek. Zaskoczyła mnie siła, jaka tkwiła w rękach tej kobiety, w jej ciele. Lewą dłonią złapała za oplatające jej szyję ramię, znalazła odpowiednie miejsce i ścisnęła. Miałem wrażenie, jakby ktoś darł mi ramię na strzępy.

Krzyknąłem.

Enni skoczyła.

Odwróciła się i cięła nożem prosto przed siebie. Podniosłem rękę, żeby osłonić pierś. Nóż rozciął mi prawą dłoń. Enni zrobiła to samo co wcześniej: cofnęła nóż. Ruch był szybki, ale mnie nie trzeba było więcej. Skoczyłem naprzód, wycelowałem w korpus. Enni odsunęła się w bok. Trafiłem ją tylko częściowo. Znów złapałem za jej prawą rękę i pociągnąłem.

Oboje straciliśmy równowagę. Chwyciłem ją ze wszystkich sił. Nie udało mi się wyrwać jej noża. Mój uścisk nie był dość silny, przeszkadzał ból w lewym ramieniu i w prawej dłoni.

Enni jednak się przewróciła.

Moje obie ręce znalazły się na nadgarstku ręki z nożem.

Skręt.

Ostrze skierowało się w górę dokładnie w tej samej chwili, kiedy oboje uderzyliśmy o podłogę, ja bokiem, Enni brzuchem. Wycelowany do góry nóż trafił ją w szyję.

Enni dyszała.

Podniosłem się na kolana. Ostrze noża wystawało z karku. Enni wiła się i nadal dyszała. Każdy dźwięk był słabszy od poprzedniego, nóż trafił ją w sam środek szyi. Przestała więc się i leżała nieruchomo na podłodze z włosami rozsypanymi naokoło głowy.

Na nagiej szyi widać było stare, długie blizny, jakby ktoś próbował pociąć szyję Enni pazurami.

Wagner grzmiał.

Wstałem, ociekając ciepłą krwią na dywan.

Przełom października i listopada 2013

Las był cichy i cienisty, cała przyroda oczekiwała na zimę. Podtrzymałem starego policjanta za ramię, kiedy przechodziliśmy przez wielkie korzenie. Poruszał się i tak powoli, ale szczególnie trudno było mu w miejscach, które wymagały schylenia się i prostowania. Słońce przebijało się od czasu do czasu przez woalkę chmur i korony drzew, jakby zapalane wiatrem, a potem gasło. Oczywiście musiały co chwila dostosowywać się do zmiennych warunków i zawsze były o krok spóźnione.

Lewy policzek i cała szyja policjanta były pokryte szwami i plastrami. Gwoździe pozostawiły po sobie rany, które zabiły się bardzo powoli. Długi okres śpiączki i pobyt w szpitalu uwidoczniły się w bladości i ogólnym osłabieniu. Zbliżaliśmy się do przekopywanego przez policję terenu.

Podczas drogi właściwie nie rozmawialiśmy. Decyzję o przyjeździe do posiadłości podjęliśmy wspólnie, ale zrodziła się ona raczej spontanicznie niż w wyniku długiej dyskusji. Kiedy Ketomaa wybudził się ze śpiączki, opowiedziałem mu o tym, co zaszło u Enni w domu, o wszystkim, czego się dowiedziałem i co zrozumiałem. Słuchał. Potem opowiedział mi, jak Henrik Saarinen zwabił go do opuszczonego domu i wygrał bójkę. Kiedy spytałem, co Saarinena do tego skłoniło, Ketomaa odparł, że nie jest pewien. Jednym z powodów mogły być koligacje rodzinne, które detektyw odkrył i które mnie też zaczynały się powoli rysować, kiedy opadło ze mnie poruszenie, a beznadziejne poszukiwania dobiegły końca. Byłem ślepy, pomyślałem, ale miałem ku temu powód.

Po kilku dniach Ketomaa wrócił do domu. Zadzwoił do mnie i zaproponował małą wycieczkę, jeżeli nie miałem zaplanowanych na dzisiaj prac remontowych. Odpowiedziałem, że stolarz, którego dwa razy próbowano zaszytytować, nie ma wiele pracy i możemy wyruszyć choćby zaraz.

Zamiast wjechać do posiadłości, skręciliśmy w wąską dróżkę tuż przed wjazdem na dziedziniec. Zawsze wyglądała jak jedna z wielu ścieżek przecinających łąki i lasy należące do majątku. Teraz nie można jej było przeoczyć, wyglądała jak wjazd do ogromnego tunelu. W ziemi widoczne były ślady opon wyłobione przez potężne maszyny: koparki, ciężarówki i, oczywiście, nieoznakowane samochody policyjne.

Auto zostawiliśmy tam, gdzie urywała się większość śladów. Dalej po terenie mogły jeździć tylko specjalnie do tego przystosowane pojazdy.

Ketomaa dostał zadyszki. Zatrzymał się. Byliśmy blisko. Cel naszych poszukiwań znajdował się, moim zdaniem, za następnym wzniesieniem.

– Byłeś już tutaj? – spytał Ketomaa. Mówił niewyraźnie. Nie mógł za bardzo poruszać zuchwą ani mięśniami policzków.

– Nie.

– Chcesz tu zaczekać?

– Nie.

Już nic nie mówił, tylko ruszył w dalszą drogę. Szedłem obok niego. Dotarliśmy na wzniesienie. Obaj dyszeliśmy. Jeżeli ja się spociłem i z trudem łapałem oddech, to co dopiero ten stary policjant. Nie zważając na wiatr, poluzowałem szalik, rozpiąłem kurtkę.

Nieco w dole widać było czarny, wyrównany przez koparki teren wielkości kortu tenisowego. Słońce znów wyjrzało zza chmur.

– Już niedaleko – powiedział Ketomaa, jakby czytał w moich myślach.

– Tak, chyba tak – odparłem i przyjrzałem się stojącemu obok mnie mężczyźnie. Bolało mnie ramię i dłoń. – W pewnym sensie cały czas na właściwym tropie.

Od brzegu morza dzieliło nas jakieś pół kilometra. Drzewa pogubiły liście. Świerki wyróżniały się jasnozielonymi plamami, a im dalej rosły, tym bardziej przypominały choinki zapachowe przyklejone do szarego krajobrazu.

Czarna plama – przekopany teren – znajdowała się pod nami. Nie wiedziałem, na co patrzę. Chciałem tu przyjść, chciałem zobaczyć to miejsce. W zasadzie byłem gotów zawrócić. Wiejący od południa wiatr dął prosto w twarz.

Ketomaa podniósł nagle prawą dłoń i przycisnął ją do boku, mniej więcej na wysokości nerek.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

– Na ile to możliwe w przypadku pacjenta chorego na raka, do którego strzelano gwoździami.

– Usiądziemy?

– To zaraz minie – rzucił.

Przysunąłem się do niego, w każdej chwili gotów go podtrzymać, gdyby stracił równowagę.

– Powiem ci, jeżeli będę potrzebował pomocy.

– Jasne – powiedziałem i odsunąłem się od niego o krok.

Wiatr przewiewał mi kurtkę. Wkrótce będzie wszystko jedno, w co się człowiek ubierze; mroźny, uparcie wiejący wicher przedostanie się przez każdą warstwę po kolei.

– W gruncie rzeczy wszystko jest tak, jak myślałem – odezwał się Ketomaa. – Oczywiście, najłatwiej jest mądrzyć się *post factum*, ale czasem nie ma innej możliwości. Tak gdzieś czytałem.

Musiałem zapytać:

– Dlaczego tu przyszliśmy?

Odwrócił głowę. Niebieskie, łzawiące od wiatru oczy przyzwyczajały się do patrzenia z bliska.

– Jak się czujesz? – spytał.

– Wątpię, żeby moja mama chciała...

– Przepraszam, nie o to mi chodziło – przerwał mi Ketomaa. Wyglądał, jakby było mu autentycznie przykro. Przynajmniej twarz miał smutną. A może była to zmarznięta twarz starego człowieka.

– Pamiętam, co słyszałem kiedyś w saunie na Harjutori. Zmarła właśnie matka pięćdziesięcioletniego mężczyzny i ten przyszedł do sauny. Kiedy zaczęła się o tym rozmowa, wszyscy faceci przyznali, jakie to straszne przeżycie, kiedy umiera matka. Zapadła cisza. Potem ktoś powiedział, że tak to już jest, że ojcowie przychodzą i odchodzą, ale matka jest tylko jedna.

Ketomaa spojrział na mnie. Chyba obaj się uśmiechnęliśmy, na tyle, na ile pozwalały na to warunki atmosferyczne i krajobraz.

– Jest mi oczywiście przykro z powodu tego, co się stało. Ale, moim zdaniem, to ważne, że tu przyszliśmy i zobaczyliśmy to, co widać. Że obaj na to patrzymy.

Odwrócił się i spojrział w drugą stronę. Ja też to zrobiłem.

Samochodu nie było widać. Droga była dłuższa, niż to sobie wyobrażałem.

– Chodzi mi o to, jak to jest, stać tu, fizycznie – powiedział Ketomaa. – Jakie to uczucie w nogach. A co dopiero, jeżeli miałbyś przynieść tutaj nieprzytomną osobę, nawet lekką, znieść tam na dół i wykopać dół głęboki na półtora metra.

Znow się odwrócił, a ja ponownie zrobiłem to samo; patrzyliśmy na czarny, grobowy krajobraz.

– Las został oczyszczony, ziemia udeptana – kontynuował Ketomaa. – Jest dzień, świeci słońce. A i tak idzie się ciężko. Jaki to musi być wysiłek po ciemku, w deszczu, kiedy szuka się ścieżki, a nogi grzęzną w błocie, ziemia się zapada i jest ślisko.

Profil byłego policjanta przypominał starego ptaka. Długi, suchy dziób, twarz rzeźbiona tysiące razy przez niepogodę.

Przypomniałem sobie siłę Enni, szybkie, ostre ruchy rękami. To prawda, że była silna jak wół, ale przecież i to miało swoje granice. Nawet kiedy była młoda. Nie wśród mokrej, ciemnej, październikowej nocy.

– Nawet silna kobieta nie dałaby sobie rady sama – odpowiedziałem. – Enni musiała mieć pomoc.

Ketomaa skinął głową.

– Przychodzi mi do głowy sprawa Tanji Metsäpuro – rzucił.

– Jak to?

– Tanję też zaniecono daleko. Na jej ciele znaleziono ślady świadczące o tym, że ktoś musiał się dobrze napracować, żeby wyrzucić ją do morza. Nigdy tego nie podano do publicznej wiadomości. Teraz znów mi się to przypomniało, kiedy tak tu stoimy.

Ketomaa wziął głęboki oddech.

– I jeszcze druga sprawa – dodał. – Tanji wyrwano z prawego ucha kolczyk.

– Czy to się jakoś wiąże?

Wzruszył chudymi ramionami.

– Może... Kto wie?

– Twoim zdaniem, tak. – Przyglądałem się zmarszczonemu czołu starego policjanta i zaciśniętym ustom.

– Moim zdaniem obie rzeczy wskazują na to, że w przypadku Tanji chodziło o coś zupełnie innego, niż się domyślano. Przede wszystkim ten kolczyk. Jeżeli ktoś chciałby się nad nią znęcać, to dlaczego nie oberwał obu uszu? Widziałem wiele takich przypadków. Ale Tanji oberwano tylko jedno. A po drugie, niesiono ją długo, zanim została wrzucona do morza. Jeżeli miałbyś zabić, zrobisz to daleko od miejsca, w którym chcesz ukryć ciało, czy raczej blisko, ponieważ ryzyko wpadki jest o wiele mniejsze?

Ketomaa patrzył na mnie. Miał mokre oczy, krople leciały z nich rzęsiście; otarł je wierzchem dłoni.

– Dziesięć lat po mojej mamie – powiedziałem, jakbym kontynuował myśl policjanta. – Prawie ten sam wzór. Jakaś kobieta, w której Henrik Saarinen zakochuje się, zadurza czy co tam chcesz. Kobieta znika. Kiedy jej ciało zostaje odkryte, zwłoki i miejsce znalezienia wskazują na to, że sprawca nie działał w pojedynkę ani też z rozmysłem. Wiemy także, że Henrik Saarinen może równie dobrze o niczym nie mieć pojęcia. Może to, co nam powiedział, było prawdą. Wszystko. Może oznacza to, że tak jak policja podejrzewała, sprawa Tanji wiąże się jednak z narkotykami.

Ketomaa przytaknął moim słowom. Chyba się nawet uśmiechnął.

– I może ktoś pomógł w transporcie zwłok – dodał.

Widziałem, że marznie. Czas do domu.

– Może wcale nie byliśmy tak daleko od prawdy – powiedziałem, biorąc go pod ramię, chociaż początkowo trochę się opierał.

Przełom października i listopada 2013

Dekolt Amandy Saarinen był jeszcze głębszy i szerszy. Ciemna szminka przypominała kolorem mięsz spadającej z gałęzi dojrzałej wiśni.

– Jestem tobą nieco rozczarowana – oświadczyła. – Zawsze myślałam, że należysz do grona mężczyzn, których wystarczy raz odesłać z kwitkiem.

Czarne włosy lśniły, piersi pchały się jedna na drugą. Amanda skrzyżowała ręce na kolanach i wyglądała na dokładnie tak niezadowoloną i niecierpliwą, jak można sobie było wyobrazić kogoś, kto niespokojnie oczekuje na spadek po milionerze.

– Miło cię widzieć, Amando. – Siedziałem po drugiej stronie stołu. Kanapa, na której usadowiła się Amanda, lśniła nowością. Nie wyglądała na tanią. – Miło widzieć, że zdążyłaś otrzeć łzy – dodałem.

Patrzyła na mnie jak na górę starych śmieci.

– Wiem, że bierzesz kokainę – oznajmiłem. – Nic nie szkodzi. Tanja też tak robiła, zanim poznała Henrika Saarinen. Pamiętasz chyba Tanję Metsäpuro, jego dziewczynę?

W spojrzeniu Amandy nic się nie zmieniło. Oczy pozostały nieprzeniknione, niezainteresowane. Zacząłem mieć wątpliwości, czy słusznie zrobiłem, przychodząc tutaj; miałem do dyspozycji tylko garść kiepskich spekulacji, teorii o tym, jak sprawy mogły się potoczyć. A jednocześnie po drodze czułem pewność, która przyprawiała mnie o klucie w boku. Teraz zwątpienie wlewało się we mnie jak zimna woda. Upominałem siebie, po co tu przyszedłem. To jeszcze nie był koniec.

– Swego czasu Tanja dostała mały wpis do kartoteki – powiedziałem. – Nic poważnego. Posiadanie narkotyków. Przyłapano ją na zażywaniu kokainy. Szczególnie interesujące jest, kogo przy okazji skazano w tej samej sprawie. Twojego byłego męża. Na pewno to pamiętasz.

Amanda uśmiechnęła się, ale w jej minie nie było nic przyjaznego.

– Jesteś zupełnie pomyłony, Aleksii. Życie w samotności naprawdę źle ci robi. Otworzyłam ci drzwi, ponieważ twoja matka umarła i tak dalej. No, po prostu żał mi cię.

Złożyła ręce, niczym nauczycielka albo opiekunka do dzieci pochyliła się do przodu, jakby chciała pokazać, że zamierza wstać; lekcja czy też bajka, choćby nie wiem jak interesująca, skończyła się. Ale ja jeszcze nawet nie zacząłem.

– Amando, przecież ty nie żałujesz nikogo. Prosiłaś, żebym zabił twojego ojca. Otworzyłaś mi, bo się boisz. Zresztą całkiem słusznie.

Analizowała moje słowa. A może tylko na mnie patrzyła. Nic w jej spojrzeniu ani minie nie wskazywało na to, która wersja była prawdziwa. Jeżeli którakolwiek w ogóle była. Pochyliła się jeszcze bardziej.

– Kim ty jesteś? Jak śmiesz?

Byłem dozorcą. Synem swojej matki. Dwadzieścia lat czekałem na sprawiedliwość.

– Kiedyś się zastanawiałem, w jaki sposób Henrik Saarinen poznał Tanję. Przecież to dość zaskakujące zestawienie, podstarzały milioner i samotna matka w wieku jego córki. Pytanie nasuwa się samo: skąd się znają, gdzie, do cholery, mogli się spotkać? Tutaj nieocenioną pomocą okazał się album Enni ze zdjęciami. Na pewno pamiętasz, że uwielbiała robić zdjęcia. To całkiem zrozumiałe, skoro byliście jej rodziną. Na swój sposób.

Wyciągnąłem z kieszeni zdjęcie, które wyrwałem z albumu Enni. Ujęcie pochodziło z jachtu Henrika Saarinena. Początek dwudziestego pierwszego wieku, może lato dwa tysiące pierwszego albo dwa tysiące drugiego. Opalone pary, biały pokład, w tle błękitne fale i promienie słońca migoczące w morzu. Wyciągnąłem fotografię przez stół w kierunku Amandy, na ile sięgały moje ręce.

– Początkowo większość tych osób była mi zupełnie nieznana – wyjaśniłem. – Musiałem poprosić mojego wylanego poprzednika o pomoc. Był bardzo chętny do współpracy, jak się zapewne domyślasz. Znasz ich wszystkich oczywiście. Po lewej stronie jesteś ty ze swoim byłym mężem, a obok jest druga para. Tanja Metsäpuro i jej mąż. Kokaina. A stojący po prawej stronie Henrik Saارينen nie ma o tym pojęcia. Spotyka Tanję Metsäpuro zaledwie parę razy i zadurza się w niej. Co za ironia, prawda? W istocie to ty przedstawiłaś Tanję swojemu tacie.

Amanda oparła się i założyła lewą nogę na prawą. Łokieć umieściła na oparciu i położyła palce na skroni. Wyglądała na zafrapowaną.

– Mów dalej – zachęciła.

– Już prawie kończę, Amando.

– A zatem zaraz padnie suma.

– Jaka suma?

– Ta, której zażądasz.

Pokręciłem głową. Gdy patrzyłem na Amandę, coś do mnie dotarło. Już nigdy w życiu nie będę pożądał takich jak ona. Właściwie to powinienem jej podziękować.

– Już mówiłem, że nie chcę twoich pieniędzy. Nie chcę ani ciebie, ani twoich pieniędzy.

– Każdy czegoś chce.

– I tu się zgadzamy.

– Więc czego ty chcesz?

– Żebyś mnie wysłuchała i powiedziała, czy mam rację.

– A jeżeli tego nie zrobię?

– To twój wybór. Możesz najpierw posłuchać, a potem podjąć decyzję.

Amanda milczała. Potraktowałem to jako zgodę na wysłuchanie mnie. To mi wystarczyło.

– Idę o zakład, że wkrótce po tym, jak to zdjęcie zostało zrobione, po pierwszym spotkaniu, Henrik zadzwonił do Tanji. A może było jakoś inaczej. To właściwie bez znaczenia. Tanja się rozwiodła. Ona i Henrik zaczęli się spotykać. Pewnego dnia przedstawił ci ją jako swoją dziewczynę. To był oczywiście prawdziwy szok.

Nadal żadnej reakcji.

– Znałaś przecież Tanję z innego środowiska, razem wciągałyście kokę, imprezowałyście i uprawiałyście seks zbiorowy, jak to się w takich okolicznościach zwykle robi. Ale przecież nie możesz o tym powiedzieć tacie. Nie lubisz Tanji. Myśl o tej pazernej karierowiczce doprowadza cię do szału.

Przez twarz Amandy przemknął chyba cień życia. Może jakieś wspomnienie. A może była tylko zirytowana, znudzona.

– Zaczynasz jej grozić – ciągnąłem. – Na wszystkie sposoby. Wreszcie Tanja się wycofuje. Trudno ci uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Że ktoś nie jest tak zachłanny, tak pozbawiony skrupułów jak ty. Że ktoś się poddaje i wycofuje. Henrik i Tanja rozstają się, ale pewnego wieczoru ty i Tanja znów się spotykacie.

Odetchnąłem głęboko. Docierałem do najsłabszego ogniw. Możliwe, że porywałem się z motyką na słońce.

– Może to było umówione spotkanie na parkingu nocnego klubu, a może coś innego. W każdym razie zjawiasz się tam i nadal nienawidzisz Tanji, która przychodzi na spotkanie, bo myśli, że już ci przeszło. Na parkingu albo gdzieś indziej sprawa wymyka ci się spod kontroli. Nieco przesadzasz z kokainą i zabijasz Tanję.

Amanda lekko rozchyliła usta, dojrzała wiśnia pękła, wargi się rozdzieliły.

– I to wszystko na podstawie jednego zdjęcia – powiedziała. – Moje gratulacje.

Położyłem dłonie na pokrytych skórą oparciach krzesła. Nieprzyjemnie było czuć gorącą, wilgotną skórę na tapicerce, ale trzymałem ręce dalej tam, gdzie spoczęły. Odpowiedziałem na spojrzenie Amandy, jej uwagę postanowiłem puścić mimo uszu. Zaszedłem już tak daleko po moim chwiejnym moście, że jeżeli chciała mi wyjść naprzeciw, wolałem na nią poczekać.

– Chcesz, żebym teraz ja coś powiedziała? – spytała.

Zamachałem spoconymi dłońmi na tyle, żeby można to było zinterpretować jako zachętę. Odgarnęła z twarzy czarne włosy, poprawiła potargane kosmyki. Jej paznokcie były długie i błyszczące.

– Każdy może myśleć i mówić, co mu się podoba – rzuciła. – Skorzystałeś z przysługującego ci prawa. Chcę tylko powiedzieć, że Tanja wcale nie była mistrzynią odmawiania sobie i udręczania się. Wcale z niczego nie zrezygnowała.

– To co w takim razie? – spytałem, starając się wyglądać na jak najbardziej zaskoczonego.

– Chciała wrócić do dawnego życia, to wszystko. Z niczego nie zrezygnowała. Menda jedna. I niczego nie rozumiała.

– Czyli wprost przeciwnie do ciebie, bo ty wszystko rozumiesz.

– Spójrz, gdzie ja mieszkam, a gdzie Tanja.

– Pobiłyście się?

Przez chwilę Amanda nie odpowiadała. Potem się uśmiechnęła. Widziałem tę minę już wcześniej, na twarzy Henrika Saarinen. Uśmiech niemal zapierający dech zepsuciem i arogancją.

– Co za idiotyzmy przychodzą ci do głowy! Już myślałam, że udało ci się coś odkryć, ale nie. Jesteś Aleksii Kivi, wkrótce bezrobotny stolarz, ostatnia oferta. Kiedy tylko przejmę majątek, z jakiegoś powodu nie będzie cię już na liście płac. Nic nie możesz nikomu udowodnić.

– Co ci tak wesoło? – spytałem, patrząc na jej poszerzający się uśmiech.

– Jak dobrze wycelowałaś i jak bardzo chybiłaś! Masz tylko tę swoją historyjkę. Nie pobiłyśmy się, nie było o co. Kolczyk tej dziwki zaplątał się po prostu w suwak mojej kurtki. Może przez to naderwane ucho ktoś pomyślał, że była bójka. Ale to nie tak. Tanja przyszła po kokę. Przez dłuższy czas była czysta, ale potem zadzwoniła do pewnego znajomego po prochy. Przyszła na parking, zobaczyłam ją i wyjęłam paralizator.

Do pewnego znajomego.

Wykonałem kilka brawurowych kroków po moim kruchym moście, poprawiłem domek z kart. Ale teraz działałem z większą precyzją.

– I co się potem stało? – spytałem.

– Nic szczególnego. – Amanda wzruszyła szczupłymi ramionami. Piersi ścisnęły się jeszcze mocniej. – Pozbyłam się jej. Ale, jak już mówiłam, tak sobie tutaj tylko rozmawiamy, niczego mi nie zdołasz udowodnić.

– Jasne, że nie – potwierdziłem. Wcale nie musiałem nikomu niczego udowadniać. Jedyne samemu sobie.

– To już koniec tej minirozprawy – oświadczyła Amanda i opuściła obie nogi na parkiet. Oparła ręce na kolanach, jej ramiona uniosły się jak u dzikiego zwierza, przedziałek między piersiami zrobił się niemal zupełnie czarny, a twarz stężała. – Rozumiesz chyba, że to ostatni raz, kiedy się widzimy.

Milczałem. Wstałem i zerknąłem w kierunku sypialni.

W kącie pokoju zobaczyłem stolik, przy nim fotel, a na oparciu dzinsy. Męski fason. Jasne, modnie poszarpane. Pewien charakterystyczny styl, do którego pasowała opalenizna z solarium, wyrzeźbione na siłowni ciało i żel we włosach. Przypomniałem sobie, dlaczego Henrik Saarinen chciał się pozbyć starego policjanta.

Przypomniałem sobie, że kiedy wchodziłem do mieszkania, moją uwagę zwróciła inna część

garderoby na podłodze w przedpokoju. Pionierki. Widziałem je już kiedyś w ciemnościach industrialnych zabudowań w Roihupelto.

Kiedy połączyłem to wszystko w głowie, przypomniałem sobie także inne rzeczy: spotkanie na pomoście w majątku, ładowanie jachtu, kroki w mieszkaniu Amandy, kiedy mi nie otworzyła drzwi, i wreszcie słowa samego Henrika Saarinena.

Który sprawi, że Amanda przestanie... skończy...

Słyszałem gdzieś, że gdy człowiek znajduje rozwiązanie swojego problemu, na chwilę staje jakby ponad nim, widzi wszystko, absolutnie wszystko, o wiele wyraźniej niż kiedykolwiek.

– Ukłony dla Harmali – powiedziałem. – To znaczy, ty jesteś z nim po imieniu. Przekaż zatem Markusowi moje pozdrowienia, powiedz mu, że wiem, że uczestniczył już swego czasu w pochówku mojej mamy i że brał udział w zabiciu Tanji Metsäpuro, a przynajmniej pomagał w transporcie zwłok do morza.

– Już ci mówiłam. – Amanda podeszła bliżej. Poczułem jej perfumy, które kiedyś, dawno temu, przyprawiły mnie o zawrót głowy, rajcowały, wprost nie mogłem wytrzymać z podniecenia, co stanie się za chwilę. Teraz zapach ten był tak zjełczały, że aż chciało mi się wymiotować. – To jest tylko niezobowiązująca rozmowa. Może stało się tak, jak mówisz, a może było zupełnie inaczej, niż myślisz. Ale nawet gdybyś miał rację, niczego nie możesz udowodnić.

Spojrzałem w jej lodowate oczy.

– Oszukałaś mnie, pobiłaś żelaznym prętem, próbowałaś mnie namówić, żebym zabił twojego ojca. Zasłużyłaś na to, że co wieczór idziesz do łóżka z własnym bratem.

Nadal żadnej reakcji. Przynajmniej z wierzchu. Mimo to byłem pewien, że Amanda wstrzymała oddech. Twarz jej skamieniała. Całe ciało zastygło jak skała.

– Jak sądzisz, dlaczego twój ojciec osobiście zatroszczył się o zatrudnienie osiemnastoletniego chłopaczka? – spytałem. Twój tatuś był między młotem a kowadłem. Markus to jego syn. Pewien emerytowany policjant to wyszedł i omal nie stracił życia z tego powodu. Henrik nie chciał, żeby Markus się o tym dowiedział, ani nie mógł za bardzo powiedzieć o tym tobie, skoro wiedział, że się z nim pieprzysz. I, oczywiście, teraz, kiedy fakt ten jest wreszcie powszechnie znany, wiadomo, że Markus ma prawo do spadku.

Na chwilę zapadła cisza. Tak, Amanda naprawdę wstrzymała oddech. Lodowato zimne oczy nic nie widziały.

– Gratuluję wam obojgu – dodałem jeszcze. – Jesteście siebie warci.

Wyszedłem.

Dokładnie zamknąłem za sobą drzwi, dosłownie wgniotłem je we framugę.

Mimo to wrzask rozwścieczonej kobiety niósł się aż na ulicę. Jestem pewien, że słyszałem go jeszcze, wjeżdżając na nadmorski bulwar.

Listopad 2013

– Miia Hietala przy telefonie.

Głos w słuchawce, cztery słowa, a ja znów byłem tam, gdzie spotkaliśmy się miesiąc temu, w alejce sklepu spożywczego, w nieodpowiednich, zakrwawionych, brudnych ciuchach.

– Cześć, tu Aleksy.

– Cześć.

– Czy dzwonię nie w porę?

– Trochę. Czego chcesz?

W tle szum, gwar, muzyka.

– Przeprosić cię – powiedziałem. – Wytłumaczyć.

– Nie musisz nic tłumaczyć.

– Ja myślę inaczej. Rozumiem, że ciągle jesteś na mnie wściekła. Nie szkodzi.

– Nie jestem wściekła. W ogóle o tobie nie myślę.

– Ale ja o tobie myślę. Cały czas.

Szum w tle nabrał kształtów: bar, damskie towarzystwo, Marvin Gaye, Sexual Healing. W ułamku sekundy już to sobie wyobrażałem: wieczór w kobiecym gronie, twarze błyszczące od makijażu, ciemne oprawy oczu, połyskujące usta, kieliszki wina, wysokie szklanki z koktajlami, głośne rozmowy, śmiech, spojrzenia, to, co się za nimi kryje.

– Poczekaj chwilę, Aleksy, dobrze?

Szum został w oddali. Miia wyszła. Stukot obcasów po podłodze rozbrzmiewał mi w uszach.

– Teraz – usłyszałem. – Wyszłam do holu. Chciałam powiedzieć, że nie chcę, żebyś więcej do mnie dzwonił.

– Rozumiem. Ale kiedyś prosiłaś, żebym ci o sobie opowiedział.

– To było wtedy. Teraz sytuacja się zmieniła.

– Chodzi ci o Olliego? – spytałem, zanim w ogóle zdążyłem się zastanowić.

– Dobry Boże. Jak śmiesz? Być zazdrosnym pół roku po tym, jak mnie zostawiłeś?

Sądziłem, że jestem dobrze przygotowany, uważałem, że mój umysł jest spokojny i dzwonię tylko w jednym celu. Byłem pewien, że nie jestem zarozumiały. Będzie, co ma być, cokolwiek Miia powie.

– Przepraszam – rzuciłem. – Chciałem ci tylko opowiedzieć, co się stało i czemu musiałem tak postąpić, jak postąpiłem.

– Tajny agent.

– Co?

– Brzmisz tak samo jak wtedy.

– Ale teraz już mogę o tym mówić.

– No to mów.

– Na pewno byłoby lepiej, gdybyśmy się po prostu spotkali...

W tle usłyszałem inny stukot obcasów o podłogę, więcej wesołych głosów, a jednocześnie narastał we mnie niepokój.

– Wszystko zaczęło się dwadzieścia lat temu, kiedy zamordowano moją mamę – powiedziałem

i poczułem, że jednak marnie się przygotowałem. Fakty i wydarzenia kłębiły się w mojej głowie. Wiedziałem, że muszę uważać na słowa. Na szczęście przez chwilę żadne z nas się nie odzywało.

– Aleksy, przepraszam, ale muszę o to zapytać. – W głosie Mii pojawił się nowy ton, ostrożny. – Czy ty mówisz poważnie? To znaczy, czy to, co mówisz, to prawda?

Czy to prawda?

To było coś więcej niż tylko prawda.

To było całe moje dotychczasowe życie.

– Tak. Nie miałem pojęcia, jak o tym mówić, i chyba nadal tak do końca nie mam. Chciałbym, żebyś wiedziała, skąd to się wszystko wzięło. Dwadzieścia lat temu zaginęła moja mama i dopiero niedawno udało mi się ustalić, kto ją zabił.

– Och, Aleksy.

– To bardzo długa historia...

– Nie, wcale nie.

Czekałem, nie ponaglałem jej. Słyszałem walenie swojego serca, szum na linii. Minęło jeszcze kilka sekund.

– Właśnie się zaręczyłam. Wczoraj. Teraz oblewamy to z przyjaciółmi.

Przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć.

Wreszcie się odezwałem:

– Moje gratulacje.

– Dziękuję. Aleksy, bardzo mi przykro z twojego powodu, z powodu twojej mamy. Tak bym chciała... Może nie tak od razu, ponieważ my... Ale kiedyś...

Usłyszałem radosne okrzyki, muzykę. Wszystko to działo się w tym samym mieście.

– Może któregoś dnia – powiedziałem i usłyszałem w myślach, co naprawdę mówiłem: byłem więźniem własnej obsesji, zrobiłem to, co musiałem zrobić, i to nas rozdzieliło.

– No właśnie – odparła cicho Mii. – Któregoś dnia, Aleksy.

– Tak.

– No nic. Myliłam się. Przepraszam.

– Nie masz mnie za co przepraszać. Nic nie szkodzi. Któregoś dnia...

– No właśnie. Któregoś dnia...

Listopad 2013

Gdybyś
(kopniak)
wiedział
(kopniak)
co
(kopniak)
ja
(kopniak)
dla
(kopniak)
ciebie
(kopniak)
zrobiłem
(kopniak).

Listopad 2013

Elias Ahlberg zadzwonił w chwili, kiedy rozpakowywałem kartony z rzeczami. Sprawa była krótka: miałem jak najszybciej przyjść do niego do biura na Yrjönkatu przy skwerze Diany. Rozejrzałem się, oceniłem, że już niewiele rzeczy wymagało rozpakowania, ustawienia czy przesunięcia. Zapytałem, czy pasuje mi za pół godziny. Zapraszam, odpowiedział.



Kancelaria prawnicza Eliasa Ahlberga, do niedawna prawej ręki Henrika Saarinen, znajdowała się na piątym piętrze stuletniej kamienicy. Były to wysokie pomieszczenia dokładnie na wysokości koron drzew. Spoglądając z okna, miało się rzeczywiście wrażenie, że cienkie, ostre końce gałęzi przebijają podłogę i łaskoczą stopy niczym zimne, wścibskie palce. Nie mogłem jednak zbyt długo delektować się tym uczuciem, ponieważ do pokoju wszedł Ahlberg.

Po raz ostatni widziałem go pół roku temu. Siwy sześćdziesięciolatek w ciemnym garniturze, za który można by zapewne kupić samochód osobowy, wyglądał, jakby znów miał ze mnie zdjąć miarę, tylko jeszcze nie powiedział, w jakim celu. Świdrująco niebieskie oczy patrzyły prosto na moją twarz, ale nie robiły wrażenia wścibskich. Coś takiego można było osiągnąć przez dwadzieścia lat praktyki.

– Herbaty, kawy, soku? – zaproponował, kiwając głową w kierunku stołu zastawionego termosami, butelkami, szklankami i filiżankami. – Usiądźmy.

Odłożył trzymaną w ręce teczkę na stół, nalał kawę do dwóch filiżanek, a wszystko to robił tak płynnie, że można było na to patrzeć bez końca, chociaż kawa parowała już w naczyniach, z których jedno znalazło się przede mną.

– Testament Henrika Saarinen – odezwał się Ahlberg z drugiego końca stołu. – Ostatnia wersja. Na pewno o niczym nie masz pojęcia?

Pokręciłem głową.

– Nie.

Ahlberg przyglądał mi się jeszcze przez chwilę. Nie było w tym ani aprobaty, ani niezadowolenia.

– Henrik zmieniał testament kilka razy – powiedział, otworzył teczkę, przyjrzał się dokumentom, chociaż wszystko wskazywało na to, że doskonale zna ich treść. – Ostatnie poprawki zrobił na kilka dni przed śmiercią.

Kolejne spojrzenie, ja też na niego popatrzyłem. Przypomniała mi się rozmowa kwalifikacyjna. Ahlberg należał najwyraźniej do prawników, którzy potrafili czytać między wierszami to, co zostało niedopowiedziane.

– Dodatkowa wzmianka, którą wpisał, dotyczy ciebie. Jak wiesz, Henrik Saarinen był majątnym człowiekiem. Najwięcej kapitału zgromadziła oczywiście nosząca jego imię spółka Saarinen Capital Oy. Jak dobrze jest ci znana jej działalność i udziały?

Wiem o niej wszystko, pomyślałem.

– Coś tam słyszałem, oczywiście – powiedziałem. – Ale mnie płacono za bycie dozorcą, a nie

skarbnikiem.

– No tak.

– Chodzi mi o to, że na pewno nie mam o wszystkim pojęcia, ale trochę wiem.

– No tak.

Spojrzenie. Przerwa.

– Zgodnie z ostatnią wolą Henrika Saarineną udziały w spółce mają zostać sprzedane po jego śmierci i rozdzielone w sposób określony w testamencie. Zostałeś uwzględniony w tym podziale i przypadająca ci część stanowi prawie równo pięć procent.

Spojrzenie.

– W procentach wydaje się, że to niewiele.

Ręka wyrównuje gładki papier.

Z dolnych krawędzi okien wyrastają kruczoczarne, obdarte przez jesień gałęzie.

– Właśnie organizujemy sprzedaż – kontynuował Ahlberg. – Nie da się tego załatwić tak od ręki. Udziałów jest tak dużo, że trzeba znaleźć wielu zainteresowanych. Zgodnie z obecnym planem transakcje powinny zostać sfinalizowane w ciągu sześciu miesięcy. Wtedy też będzie dokładnie wiadomo, ile wynosi przypadająca ci kwota. Ale jeżeli chcesz, mogę ją oszacować choćby w tej chwili. Pragnę w tym miejscu jednak zaznaczyć, że jest to tylko wartość szacunkowa, która opiera się na dzisiejszej wycenie wartości spółki. Wszystko się może zdarzyć, jak zapewne wiesz.

Naprawdę mogło się zdarzyć cokolwiek.

– Mogę zadać jedno pytanie?

Ahlberg odłożył na stół trzymany w prawej ręce długopis, jakby to był nóż chirurgiczny. Ledwo zauważalnie odchylił się na krześle.

– Naturalnie. Jestem do twojej dyspozycji.

– Przepraszam, słucham?

– Postanowienia testamentu. Jestem do twojej dyspozycji na czas wykonania testamentu – wyjaśnił.

Kolej na moje spojrzenie, czytanie między wierszami.

– Czy po Henriku zostało coś jeszcze?

– Bardzo dużo – powiedział Ahlberg. – Majątek Kalmela, oczywiście. Poza tym mieszkania, trochę dzieł sztuki.

– Chodziło mi o list albo jakąś wiadomość, w której by coś wyjaśniał.

Adwokat pokręcił głową. To był pierwszy taki ruch w ciągu naszego spotkania. Pierwszy, który nie był idealnie płynny.

– Nic nie wiem na ten temat – odparł.

– A czy Henrik może powiedział, dlaczego uwzględnił mnie w testamencie?

Znów pokręcił głową, tym razem zupełnie inaczej.

– Nie.

Zastanawiałem się chwilę.

– No dobrze. Kim są pozostali spadkobiercy?

– Nie mogę ci tego powiedzieć.

– Chociaż jesteś do mojej dyspozycji.

– Owszem.

Elias Ahlberg odwrócił głowę, popatrzył w kierunku okien, może przez nie wyjrzał.

– Pewne zapisy zostały już zakwestionowane – odezwał się Ahlberg. – Nastąpiło małe zaskoczenie.

Amanda Saarinen. Markus Harmala.

Kochankowie. Siostra i brat.

Ich spór o spadek nie rozwiąże się w jednej chwili.

– Nie ma to żadnego wpływu na twoją część – kontynuował Ahlberg. – Twój udział jest

w testamencie dokładnie określony i całkowicie jednoznaczny.

Oczy adwokata powróciły do mnie.

– Chciałbym też przekazać ci moje kondolencje z powodu twojej matki. Trudno mi uwierzyć, że coś takiego się stało.

Nie chciałem o tym rozmawiać. Dwadzieścia lat mnie to napędzało, omal nie zabiło.

– Skontaktuj się pan ze mną, jeżeli będzie coś nowego. Sprzedaż albo coś w tym stylu.

– Naturalnie.

Wstałem. Elias Ahlberg również. Znów wszystko było płynne, zamierzone. Obszedłem stół. Ahlberg wyciągnął do mnie dłoń.

– Dziękuję za służbę, Aleks. Jestem pewien, że Henrik powiedziałby to samo.

Uścisnąłem rękę, popatrzyłem Eliasowi Ahlbergowi w oczy. Byłem gotów do wyjścia. On jednak nie rozluźnił uchwytu. Miał mocną dłoń, dość ciepłą, miękką łapę drapieżnika.

– Czy naprawdę ani odrobinę nie interesuje cię, jaka jest wartość twojego udziału?

Chciałem, żeby mnie puścił. Wyczuł to, a ja wysunąłem dłoń.

– Biorąc pod uwagę ceny obowiązujące dzisiaj – zaczął i uśmiechnął się, ostrożnie, ledwo zauważalnie, po raz pierwszy w ciągu naszego spotkania. – Prawie równo cztery miliony euro.

Listopad 2013

Na ścianie z cegły wisiał Jezus, obok białej trumny czerwieniła się wiązanka róż. Ksiądz powtarzał to, co mu powiedziałem, organista siedział ociężale na swoim miejscu.

Dzięki ci za każdą chwilę mojego życia. Dzięki za światło dnia i ciemność.

Siedziałem sam w pierwszej ławce i było mi nieco zimno. W niedzielne popołudnie słabiutkie listopadowe słońce zaszło za ceglana ścianę, nie ogrzewając nikogo ani niczego, i sprawiło, że mur wyglądał na starszy niż w rzeczywistości.

Nie wiedziałem, czy mama lubiła tę pieśń, nigdy nie rozmawialiśmy o pieśniach kościelnych ani o pogrzebach. Po prostu żyliśmy, byliśmy żywi, istnieliśmy, aż nagle jedno z nas przestało.

W przeciwieństwie do tego, co czytałem lub słyszałem, nie czułem, żebym zamykał jakiś rozdział i zaczynał nowy. Nie byłem na skraju starego i u początku nowego.

Wprost przeciwnie.

Wszystko toczyło się dalej. Życie toczyło się dalej.

Będę żył. Będę pamiętał.

Nie odczuwałem szczególnej satysfakcji z tego, że osoba odpowiedzialna za śmierć mojej mamy nie żyje. Zmarli nie wiedzą, co to jest kara, tylko żywi mogą ją ponieść.

Pamiętałem i zawsze będę pamiętał.

Takie jest zadanie pamięci. Dawać nam życie, jeżeli je nam zabrano.

Mama będzie istniała tak dopóty, dopóki będę wspominał zapamiętane tysiące obrazów, chwil, słów, które wcale nie są obrazami, chwilami i słowami w rozumieniu tego świata.

Przez dwadzieścia lat próbowałem przyzwyczać się do myśli, że mama nie żyje, że jej nie ma.

Tylko po to, żeby zrozumieć, że ona będzie istnieć tak długo jak ja, każdego dnia, z których jeden będzie tym ostatnim.

Nie zastanawiałem się już, co by mi powiedziała, gdyby wiedziała, że jej czas dobiega końca, gdyby wiedziała, co się stanie, kiedy zejdzie po schodach, otworzy drzwi i wsiądzie do samochodu.

Wszystko zostało powiedziane.

Wszystko było jasne.

Dała mi życie, starała się ze wszystkich sił i poniosła klęskę. Takie jest ludzkie życie. Nie dosięgamy tego, dokąd zmierzamy. Plamimy się, psujemy się, tonimy. Jeżeli nie pochowamy kogoś razem z sobą, możemy się cieszyć.

Mama powiedziała kiedyś, że mogę zostać, kim zechcę.

To nie była prawda. Ani wtedy, ani teraz.

Ale ważne było, że to powiedziała. To mówiło wszystko: jak bardzo mnie kochała, jak bardzo wierzyła, że mogę wziąć los we własne ręce.

Promienie słoneczne oświetliły trumnę mamy.

Życie jest i w jednej chwili przemija.

Coś sprawiło, że podczas pieśni odwróciłem głowę i popatrzyłem za siebie.

Ketomaa miał być jedynym żałobnikiem oprócz mnie. Ale daleko za nim, w ostatnim rzędzie, przy drzwiach siedział ciemnowłosy mężczyzna, którego twarzy nie widziałem dokładnie. Jego

powierzchność wskazywała na to, że znalazł się we właściwym miejscu: czarny garnitur, granatowy lub czarny krawat, biała koszula. Chyba nie zauważył, że jest obserwowany. Głowa pozostawała nieruchoma i założyłem, że spojrzenie jest wycelowane prosto przed siebie.

Nie rozpoznałem go, chociaż było w nim coś znajomego. Złapałem kontakt wzrokowy ze starym policjantem i ruchem oczu próbowałem dać mu znać, żeby się obejrzał. Nie udało mi się i dałem sobie spokój.

Pieśń skończyła się, uroczystość dobiegła końca. Wstałem i odwróciłem się. Mężczyzna zniknął. Ketomaa patrzył na mnie pytająco. Może moja mina wskazywała na zaskoczenie. Kaplica ziała pustką, kiwnąłem do policjanta.

Nie wiedziałem, dlaczego czułem to, co czułem.

ANTTI TUOMAINEN

**CZARNE
JAK MOJE SERCE**

FENOMENALNY KRYMINAL KRÓLA GATUNKU **HELSINKI NOIR**